

WRACA SPRAWA SZPIEGA RUBCOWA



TERLIKOWSKI U MASONÓW



MAGDALENA OGÓREK O SKANDALICZNEJ AUKCJI W NIEMCZECH



RZĄD TUSKA BEZRADNY WOBEC DYWERSJI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

48 (678) 2025
24–30 listopada 2025

CENA: 12,90 ZŁ
(w tym 8% VAT)



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694 9 772544 269502 48

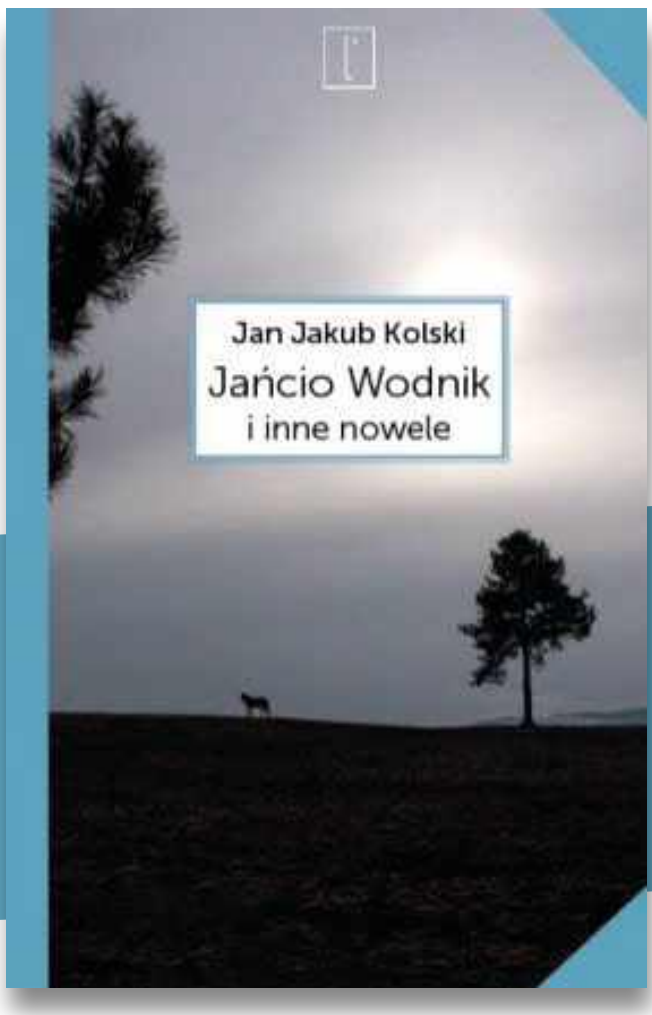
Numer w sprzedaży do 1 XII 2025 r.

WYNOCHA!

AMBASADOR RFN MIGUEL BERGER SZYDZI Z POLSKICH OFIAR OKUPACJI. JEŚLI POZWOLIMY MU U NAS ZOSTAĆ, NIEMCY WYGRAJĄ WOJNĘ O PAMIĘĆ. JEJ CELEM JEST UCZYNIENIE Z POLAKÓW WSPÓŁSPRAWCÓW ZBRODNI

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ SIECI

100 książek w prezencie



Wspaniałe opowiadania, proste postaci i historie, a takie niezwykłe...

| literatura piękna | nie tylko dla wielbicieli filmów Kolskiego | 336 stron

Książkę **„Jańcio Wodnik i inne nowele”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę tygodnika SIECI za **375 zł.**

To najlepsza cena, bo płacisz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie, podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

ZAMÓW JUŻ DZIŚ NA: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**



Jeśli nie korzystasz z internetu, opłać prenumeratę na poczcie, podając nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290 (Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia), a w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 14-16

eprasa.pl b3ca89e6a7

Chwilowy triumf starego komucha

Włodzimierz Czarzasty powiedział mi to kiedyś osobiście, dlatego z taką pewnością określam go „starym komuchem". Otóż pan przewodniczący stwierdził, że wcale nie obraża go taka nomenklatura, bo młodych komuchów po prostu nie ma, więc jakim on ma być?

Takie pogawędki to specjalność Czarzastego. Jest piekielnie inteligentnym człowiekiem, mówi (gdy chce) piękną i barwną polszczyzną. Ma naprawdę szeroki repertuar – od poezji po siarczyste przekleństwa. I poczucie humoru. Słowem – wszystko, by swoimi opowiastkami lub ripostami po prostu uwodzić. To dlatego młodsi rodacy mają go za fajnego gościa w jaskrawym sweterku, który swoją wyrazistością zazwyczaj rozświetla pomieszczenie, do którego wchodzi. Słowa „komuch" już pewnie nie rozumieją, bo to było dawno i dzisiaj opowieści o latach PRL są niestety równie realne, jak w komediach Barei. Coś tam było nie tak, absurd gonił absurd, ale ogólnie to śmiesznie, a nie strasznie.

To m.in., dlatego Jerzy Urban spędził swoje ostatnie lata jako młodzieżowy idol. Śmieszny dziadzio z internetu, który nigdy nie gryzł się w język. Imponował wulgarnością, której przecież nikt nigdy nie słyszał od swojego dziadka. Udało się odegnać od siebie wspomnienie choćby nagonek na ks. Jerzego Popiełuszkę, już wówczas nazywanych seansami nienawiści.

Oderwanie tych postaci od korzeni, od całego zbrodniczego systemu, z którego wyrosły, jest największym sukcesem tego środowiska. Mam nadzieję, że chwilowym, bo przyzwoity umysł domaga się sprawiedliwości. Dzisiaj jej nie ma, została zmięta i wyrzucona do kosza. A wybór Włodzimierza Czarzastego to splunięcie w twarz porządnym opozycjonistom. To są tacy ludzie – warto to podkreślić – dla których raz kogoś upokorzyć to za mało. Dlatego jak już Sejm przepchnął komucha na marszałka, to ten marszałek dołożył sobie nie mniej obrzydliwą postać na stanowisku szefa Kancelarii Sejmu. Marek Siwiec, przez lata trochę zapomniany, a kojarzony głównie z tego, że publicznie drwił z Ojca Świętego Jana Pawła II, dzisiaj mówi, że nie było w tym nic obraźliwego. Że nawet rozmawiał o tym z papieżem i ten nie zgłaszał pretensji. A ja państwu powiem, że choć od „całowania ziemi kaliskiej" przez Siwca po wyjściu z helikoptera minęło już 28 lat, ja wciąż dobrze to pamiętam i wciąż mam ten sam odruch wymiotny. I ten gość będzie dzisiaj pilnował porządku w polskim parlamencie.

Dzisiaj Tusk jest słaby. Zależy od Czarzastego. Ale ma walutę, którą może mu płacić. Fotel marszałka to wystarczające złoto, by Czarzasty złożył Tuskowi wiernopoddańczy hołd. Zadeklarował przecież, że jest i będzie najtwardszym elementem koalicji rządzącej. Bo w swej przebiegłości wie, że lewica już nie obejmie samodzielnych rządów i polityczny byt może mieć tylko przy Tusku. Koalicja 13 grudnia to dla nich wymarzony twór.

Owszem, byli już w historii Polski marszałkowie: Włodzimierz Cimoszewicz, Józef Oleksy czy Marek Borowski. Też komuchy, i to stare. Mieliśmy premierów: Leszka Millera, Marka Belkę i prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Ale to było jakiś czas temu. W międzyczasie przydarzyła nam się wspaniała kadencja Sejmu bez lewicy (2015–2019). I komu to przeszkadzało? Okazuje się, że Donaldowi Tuskowi, który na komuchach buduje swój najtwardszy elektorat. Nieraz podawał im już tlen, choćby zapraszając na listy do europarlamentu niektórych z wyżej wymienionych i ich towarzyszy. Tylko dlatego za jego rządów byli esbecy tak wysoko podnoszą głowy i żądają przywrócenia przywilejów. Nie wstydzą się ani komunistycznej przeszłości, ani usługiwania Sowietom, ani ofiar stanu wojennego. Dzisiaj jest czas kubańskich cygar i zmrożonej ruskiej wódki. Ale – wierzę w to głęboko – po tej libacji przyjdzie kac. Gigant.



Precz z komuną!

Marcin Wikło

Autopromocja

eprasa.pl b3ca89e6a7

SIECI

spis treści



3 Chwilowy triumf starego komucha
Marcin Wikło



46 Kijów pod ścianą
Marek Budzisz



53 Wielki powrót
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

5 **WYJŚĆ Z POSTKOMUNIZMU**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **WYKOLEJENI**
Krzysztof Feusette

9 **„MIĘDZYNARODÓWKA" W SEJMIE**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **SZCZYT KLIMATYCZNY COP30 W BELÉM, CZYLI HIPOKRYZJA W TROPIKACH**
Daniel Obajtek

13 **PESYMISTYCZNY SCENARIUSZ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA LECHA POTYŃSKIEGO**
Michał Korsun

16 **CZY TO JUŻ OKUPACJA, CZY JESZCZE NIE?**
Jan Pietrzak

16 **ŚLEPE PAŃSTWO NA AUTOPILOCIE**
Samuel Pereira

17 **„DYPLOMACJA" PO NIEMIECKU**
Arkadiusz Mularczyk

18 **POLAKU, UCZ SIĘ SAM**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 **WYSŁANNICY DIABŁA**
Stanisław Janecki

24 **KOLEKCJONERZY KOŚCI**
Magdalena Ogórek

KRAJ

27 **BEZRADNI WOBEC DYWERSJI**
Piotr Gursztyn

30 **POWRÓT RUBCOWA**
Konrad Kołodziejski

33 **POLSKA MUSI BYĆ AKTYWNA**
Z Ryszardem Czarneckim rozmawia Jerzy Szmit

36 **TERLIKOWSKI U MASONÓW**
Goran Andrijanić

38 **ZAPAŚĆ DEMOGRAFICZNA NISZCZY EUROPĘ**
Z Radosławem Waszkiewiczem rozmawia Dorota Łosiewicz

41 **ZWIERCIADŁO EPOKI**
Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

46 **KIJÓW POD ŚCIANĄ**
Marek Budzisz

48 **SZCZĘŚCIE IRLANDCZYKÓW SIĘ WYCZERPUJE**
Aleksandra Rybińska

50 **NIEMIECKI POMYSŁ NA POBÓR**
Jan Rokita

SIECI KULTURY

53 **WIELKI POWRÓT**
Jolanta Gajda-Zadworna

56 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

58 **JEST NADZIEJA**
Robert Tekieli

OPINIE

60 **POLITYKA OBRONNA UNII EUROPEJSKIEJ WYZWANIEM DLA POLSKI**
Jan Parys

HISTORIA

62 **WOJNA ZIMOWA – JAK FINLANDIA POKONAŁA ZWIĄZEK SOWIECKI**
Stanisław Płużański

65 **NAJGORSZY PAPIEŻ**
Grzegorz Górny

GOSPODARKA

68 **CZARNY PIĄTEK. ZABIERZ GŁOWĘ NA ZAKUPY**
Grzegorz Szafraniec

KUCHNIA

70 **MOJE SMAKI: IGA SARZYŃSKA-KOMOROWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **„DO BOJU, POLSKO", CZYLI „SŁOWNIK HASEŁ ZABRONIONYCH"**
Ryszard Czarnecki

74 **CARYCA BRUKSELA**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl b3ca89e6a7

BRONISŁAW WILDSTEIN

Wyjść z postkomunizmu

Odmowa nominacji 46 sędziów przez prezydenta Nawrockiego wykracza poza doraźną walkę polityczną i jest istotnym krokiem w kierunku likwidacji komunistycznych pozostałości w systemie III RP. Sięganie do historii w opisie konfliktów obecnych może budzić opór, dzieje państwa przebiegają jednak w rytmie długiego trwania i chociaż ludzie z nomenklatury PRL nie odgrywają już znaczących ról publicznych, to powołane przez nich instytucje nadal zatruwają polską politykę. Szczególne znaczenie ma to w przypadku wymiaru sprawiedliwości III RP.

Przy okrągłym stole komunistyczna strona zaproponowała przyjęcie zasady cywilizacji zachodniej, tzn. niemożności odwołania sędziów z powodów politycznych. W tym wydaniu była to karykatura. Sędziów nie należy odwoływać ze względów politycznych, jeśli zostali powołani poza tego typu uwarunkowaniami. W innym przypadku nie będą budować państwa prawa, ale wspierać układ, któremu zawdzięczają swoją pozycję. I tak się stało w Polsce.

Strona opozycyjna zgodziła się na to rozwiązanie, gdyż nie zdawała sobie sprawy ze swoich możliwości i historycznego przyśpieszenia, które w ciągu kilku miesięcy odeśle do lamusa Układ Warszawski. Natomiast akceptacji tego stanu rzeczy ze strony rządu Tadeusza Mazowieckiego nic nie usprawiedliwia.

W efekcie to sędziowie, którzy w PRL wydawali wyroki na polityczne zamówienie, w III RP unieważniali je, ale równocześnie dbali, aby nie zostały osądzone zbrodnie komunistyczne, włącznie z tymi najdrastyczniejszymi, jak masakra grudniowa. Przede wszystkim jednak podporządkowali sobie wymiar sprawiedliwości i kształtowali go na swój obraz i podobieństwo. Nie znaczy to, że nie trafiali się w nim przyzwoici sędziowie, z czasem było ich coraz więcej. Nie oni jednak zarządzali całością korporacji, która niekontrolowana przez nikogo, osiągnęła niespotykaną siłę w państwie i uznawała się za trzecią, najwyższą izbę parlamentu.

Już 30 lat temu napisałem, że marzyliśmy o państwie prawa, a dostaliśmy państwo prawników.

Reforma 2017 r. usiłowała zmienić ten stan rzeczy. Wywołała więc gwałtowną reakcję establishmentu, który wiedział, że kontrola nad wymiarem sprawiedliwości pozwala mu spacyfikować niezadowolenie społeczne i pozbawić treści demokratyczny proces. Protest przeciw reformie, który wbrew głoszonym hasłom uderzał w konstytucję i normy państwa prawa, uzyskał wielkie wsparcie ze strony dominujących ośrodków UE, która przeszła odwrotną do polskiej drogę. Bo kiedy my stopniowo odchodziliśmy od komunizmu, w Europie krystalizował się coraz bardziej oligarchiczny porządek wyrastający z postmarksistowskiej ideologii emancypacji.

Pomimo tych oporów reforma wymiaru sprawiedliwości przyniosła pewne owoce. Jedna trzecia wszystkich sędziów, których powołał Andrzej Duda, budziła nadzieję na odzyskanie przez Polaków państwa prawa. Nic dziwnego, że to przeciw nim rozpoczęła się bezprzykładna nagonka. O ile sędziów mianowanych przez władze PRL mieliśmy szanować i mowy nie było o ich odwoływaniu, o tyle nominacja na to stanowisko przez demokratycznego prezydenta Dudę miała kompromitować i zostać unieważniona. Działo się to przy typowym dla liberalnej demokracji lekceważeniu jakichkolwiek norm. Jej ośrodki deklarują, że izba Sądu Najwyższego, w której kompetencjach jest uznanie wyborów, nie jest władna tego uczynić, jeśli wybory prezydenckie wygrywa kandydat opozycji, ale nie kwestionują jej uprawnień, jeśli potwierdza ona wygraną parlamentarną obecnej koalicji. Wyroki dla najgorszych przestępców przestają być ważne, jeśli wydaje je „neosędzia", ale są ważne, jeśli orzeknie on na rzecz Waldemara Żurka albo uniewinni skorumpowanego współpracownika Tuska.

Decyzja Karola Nawrockiego, aby nie awansować sędziów uderzających w konstytucyjny ład, jest nie tylko poważnym traktowaniem prawa, lecz także otwiera perspektywę usunięcia z wymiaru sprawiedliwości polityków w togach, który wykorzystują sędziowskie stanowiska, aby unieważnić demokrację.

Prezydent odwołuje się do oczywistych zapisów konstytucji i jej interpretacji dokonanej przez TK jeszcze przed zwycięstwem prawicy, co powoduje, że obrońcy postkomunistycznego *status quo* nie formułują żadnych uzasadnień swoich ataków. Stwierdzają, że jego odmowa jest niekonstytucyjna, bo... oni tak mówią. Zarzut, że Nawrocki dyskryminuje sędziów za ich poglądy polityczne, jest groteskowy. Skreśla on tych, którzy kwestionują konstytucję i podejmują działania, aby wyeliminować nieusuwalnych (!) zgodnie z nią sędziów.

Warto przytoczyć jeszcze inny artykuł konstytucji: „Sędzia nie może należeć do partii politycznej, związku zawodowego ani prowadzić działalności publicznej nie dającej się pogodzić z zasadami niezależności sądów i niezawisłości sędziów."

A czym są stowarzyszenia takie jak Iustitia czy Themis, które bezpośrednio angażują się w walkę polityczną? Należy mieć nadzieję, że ich działacze zostaną z tego rozliczeni.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b3ca89e6a7



Sygnalista nadaje

Takie tam ze wschodniej Polski: był wybuch na torach kolejowych, po których jeżdżą osoby głosujące na PiS. Takie, jakie muszą jeździć zbiorkomem. Nie wiemy, dlaczego – zapewne z ogromnej empatii – przejął się tym nasz premier Donald Franciszek Tusk. Tak samo nadzwyczajnym współczuciem wykazali się inni czołowi demokraci, ze szczególnym uwzględnieniem Drwala Praworządności i Rozliczeń. Waldek zapowiedział, że sprawcy tej szkody na mieniu PKP zostaną ukarani. „Nie będzie miejsca na ziemi, gdzie taka osoba się ukryje" – zapowiedział surowo minister. Panie ministrze Żurku! My znamy miejsce na ziemi, gdzie ukryła się ta osoba (dokładniej – dwie osoby). To Białoruś! A teraz czekamy na tę wielką chwilę, gdy ***Drwal Waldek*** wraz ze swoimi niepokonanymi łowcami cieni przywiezie te osoby w bagażniku samochodu.

Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Nawet gdy już nie żyją. Okazuje się, że premiera Donalda Franciszka gorąco bronił sam Jeffrey Epstein. Ten słynny Epstein! Wybitny autorytet moralny, człowiek sukcesu, przyjaciel i opiekun młodzieży (żeńskiej). To także – identycznie jak Roman Polański – ofiara namolnych 13-latek, na co słusznie zwróciła kiedyś uwagę artystka Stalińska Dorota. Otóż Epstein, gdy jeszcze żył i był na wolności, potępił wszystkie teorie Antoniego Macierewicza. Szczególnie te, które haniebnie obciążały premiera Tuska współodpowiedzialnością za to, co zdarzyło się w Smoleńsku. „Jako Polak, który przynajmniej jako tako zna polską politykę i gospodarkę, a także dziennikarz, który codziennie śledzi światową politykę i wydarzenia, jestem głęboko rozczarowany liczbą osób, które lgną do tych teorii spiskowych, a naukowcy i profesjonaliści, którzy propagują takie idee, powinni się wstydzić" – pisał Epstein do jakiejś pani. Niestety nie wiemy, w jakim wieku była ta osoba płci żeńskiej. Ale jest pewne, że Ten Kraj potrzebuje więcej takich Polaków, jakim był Epstein.

À propos dobrotliwego charakteru premiera Tuska – warto odnotować ważną wypowiedź europosła Bartka Arłukowicza: „Prezydent Nawrocki próbuje się ustawić w kontrze do Tuska i próbuje z nim walczyć. OK, wielu takich widziałem i niewielu taką walkę polityczną przeżyło". Właśnie teraz można zrozumieć to, co stało się z obiecującym kiedyś młodym wilczkiem lewicy, czyli europosłem Bartkiem. Po prostu opowiedział historię swojego życia. Dawno, dawno temu Bartek był najostrzejszą brzytwą w komisji hazardowej. Srogo jechał po premierze Tusku (a były to czasy starej dobrej pierwszej Platformy Obywatelskiej). Naiwnej publiczności zdawało się, że wyrasta nowa lewica – waleczna i młoda, która dojedzie tłuste koty z PO. Aż tu nagle Bartek oznajmił, że on sam chce być tym tłustym kotem, bo jednak nie da się ich dojechać. I młoda nadzieja lewicy została pełnomocnikiem premiera Tuska do spraw staruszków. A najważniejsze jest to, co Bartek zrozumiał: chcesz żyć, dobrze żyć z polityki? To nie walcz z premierem Tuskiem, a on zrobi cię eurodeputowanym.

My, Silni Razem, jesteśmy zawiedzeni defetystyczną postawą mi-

eprasa.pl b3ca89e6a7

nistra, którego uwielbiamy, ale który tym razem nas zawiódł. Drwal Waldek rozczarował mówiąc, że Zbigniew Ziobro nie zostanie przywieziony w bagażniku: „My oczywiście mamy służby, mamy łowców cieni, których ścigamy po całym świecie czy czerwoną notą Interpolu, czy listami gończymi, natomiast w tym wypadku będziemy przestrzegać prawa i nie ma takich planów" – poinformował w środkach masowego przekazu minister ds. rozliczeń opozycji. Nie tego oczekujemy. Pragniemy zemsty, jak kiedyś pięknie powiedziała sędzia praworządna, tow. Kamińska Irena. I dzisiaj jesteśmy przekonani, że tylko Ewka Wrzosek jest zdolna do bezwzględnych rozliczeń. Oraz unieważnienia wyborów prezydenckich. Bo wiadomo, że wygrał je Rafał, a nie ten Nawrocki z Gdańska.



Wyznaczony i wylosowany jest już termin posiedzenia sądu aresztowego w sprawie wtrącenia Ziobry do lochu. Odbędzie się ono w grudniu po południu. A dokładnie 22 grudnia. To jakoś przed świętami. Bardzo słusznie, bo przy okazji będzie można przełamać się tradycyjnym jajeczkiem.



Miłych wiadomości o wielkim comebacku Marka Siwca ciąg dalszy. Wiadomo, kto wpadł na ten świetny pomysł, aby tow. Marek został szefem Kancelarii Sejmu u boku tow. Włodzimierza Iljicza Czarzastego. Stało się to na osobistą prośbę samego Olka Kwaśniewskiego! Nic dodać, nic ująć. Bo jak wiemy dzięki młodym działaczom Konfederacji, że najlepszym premierem był tow. Miller Leszek, to tak samo wiemy, kto był najlepszym prezydentem. Jego osobistym prośbom po prostu się nie odmawia.



A ***Szymek Hołownia*** został wickiem w Sejmie. Słaba fucha, ale dobrze, że ją wziął, bo nie wiadomo, czy wypali mu ta robota komisarza ds. inżynierów i lekarzy szukających swojego miejsca na ziemi. Za to Kaśka Pełczyńska-Nałęcz została z niczym. Naiwna dziewucha myślała, że jest taka mądra i zostanie wicepremierem. Niestety, poczeka trochę albo wcale nie dostanie tego stanowiska, bo pan premier jej nie lubi. I to bardzo. Tak bardzo, że w sumie mogłaby już pójść do PiS. Na jedno by jej wyszło.



Jeśli chodzi o dziewuchy, to wyrażamy nasz podziw dla Naczelnej Wariatki Nowej Lewicy, czyli ***Anki Maryśki Żukowskiej***. „Lewica to Lewica. Ma swoje korzenie w rewolucji francuskiej i październikowej" – napisała Żukosia w wymyślonym przez amerykańską soldateskę internecie. No wiemy, że lewica to lewica. Ale rodzą się pytania odnośnie do wspomnianych korzeni: co jest bardziej postępowe – elegancka francuska gilotyna czy zwykła radziecka kula w potylicę?

A chłopak Żukosi zakazał sprzedaży alkoholu na terenie ich zakładu pracy, czyli Sejmu. Nawet wiemy, z jakiego powodu, bo sam opowiadał, jak popsuł sobie zapasową wątrobę, budując struktury Nowej Lewicy na obszarze całego Ten Kraju. Niepokoi jednak fakt, że decyzję o zakazie sprzedaży alkoholu poparł diaboliczny Kaczor z Żoliborza. To powinno zaniepokoić wszystkich prawdziwych demokratów.

10 lat temu powstał KOD. Dlaczego nie jest to święto narodowe? Zamiast tego faszystowskiego 11 listopada! No i gdzie zaginął ukochany przywódca ***Kijowski Mateusz***? Brakuje nam tego energicznego lidera walki z kaczystowskim zagrożeniem. Niech 18 listopada będzie świętem narodowym, może niekoniecznie wolnym, żeby galerie handlowe mogły być otwarte. No i oczywiście drugie święto narodowe 15 października – zamiast 15 sierpnia. A trzecie 13 grudnia. Tow. Czarzasty na pewno poprze ten wniosek.

Ważne orzeczenie prawne. Autor – dr Kozioł Tomasz z Tarnowa. Czytamy w nim, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i innych spraw z Sądu Najwyższego jest bardzo, ale to bardzo nieważna. Jeszcze bardziej nieważna, niż do tej pory o tym mówiono. W związku z tym jej orzeczenie w sprawie wyboru prezydenta RP jest tak samo bardzo nieważne. „W efekcie nie ma prawidłowo wybranego prezydenta. Ostatnia kadencja wygasła z dniem 6 sierpnia 2020 r." – pisze sędzia Kozioł. To fajnie, ale czy na pewno? Bo w tej sytuacji nadal rządzi PiS, a premierem jest Mateusz Morawiecki. A Donald Tusk nie jest posłem. Jak z tym żyć?

Było o Koźle, teraz będzie o Dudku. Antonim, profesorze. Ten demokratyczny politolog, a kiedyś bliski doradca kaczystowskiego prezesa IPN Jarosława Szarka oraz pożyteczny idiota TVP z czasów Jacka Kurskiego, dołączył do stajni Janka Pińskiego. Janek wyda książkę profesora. O czym ona jest, to nieważne. Liczy się towarzystwo, w którym ten ceniony intelektualista będzie się teraz obracał. To oczywiście Janek. Także jego pryncypał, sam Roman Giertych, Tomek Wiejski, Eliza Michalik, Tomek Piątek. Mocarny think-tank. Może nie ma tam nacisku na „think", ale na tankowanie nigdy nie zabraknie tam ani czasu, ani chętnych.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x3

eprasa.pl b3ca89e6a7

Wykolejeni



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: No to meldujcie...
Kierwiński: Więc tak... Znaczy się... Może zacznę od początku. Służba i poświęsenie to są rzeszy najważniejsze...
Tusk: Do brzegu, kolego...
Kierwiński: A co jest w Brzegu?
Siemoniak: Chyba koło Brzegu?
Kierwiński: Koło brzegu to jest Kołobrzeg. Koło morza, jeśli się nie myję, znaszy, nie mylę...
Tusk: Meldunek!
Kierwiński: Tak jest! Bo się wtrąsa ten moniak...
Siemoniak: Siemoniak!
Kierwiński: Szecież mówię: się moniak wtrąsa...
Tusk: Milczeć! Wszyscy!
Kierwiński: Ja też?
Tusk: Ty masz meldować!
Kierwiński: Więc tak... Wróg wjechał i wyjechał, pociąg przejechał i jakimś sudem nikt nie zginął. Zwłaszcza że były sygnały na policję, iż podejrzane typy kręsiły się przy torach.
Siemoniak: A my nic nie wiedzieliśmy?
Kierwiński: Bo to jest sprawa dla policji.
Tusk: Co dalej?
Kierwiński: No, szukamy.
Siemoniak: Raczej my szukamy. Od tego są służby.
Kierwiński: Służba to jest poświęsenie!
Szłapka: Panowie, zdecydujcie się, bo ja muszę coś zapisać...
Tusk: Spokojnie. Po kolei.
Kierwiński: Po kolei to ja się już niszego dobrego nie spodziewam.
Tusk: A czemu ty tak dziwnie mówisz?
Kierwiński: Ja? Szemu? Po prostu, Szarzasty zakazał w Sejmie sprzedaży. Ale dopiero od 24 listopada, szeby się nie zmarnowało to, so jest. To poszliśmy z kolegą Remontem, znaszy się, Reymontem. Reymont dostał Nobla, prawda?
Tusk: Sienkiewicz też.
Kierwiński: A może to był Sienkiewicz? W każdym razie pyta mnie: „Poradzis?". To ja mu: „Ale w jakim sensie?". A on: „Kuwa, dis – pytam". To ja też pytam, co to znaszy, a on: „Dokąd idziesz". To mu mówię, że Szarzasty i tak dalej i że idę spartolo... spatrolować, czy coś zostało. Patrzę, a Kosiniak już się do konferencji przygotowuje, o tych torach czy coś. Ale się okazało, że ja też mam być...
Tusk: A mikrofon jak?
Kierwiński: Oszywiście zepsuty. Ale powiedziałem, że służba... A nie, to nie wtedy. Że nie sposzniemy, dopóki... dopóki... No, pomóż mi, Tomku...
Siemoniak: Dopóki... nie złapiemy...
Kierwiński: Właśnie! Dopóki nie złapiemy wszystkich sprawtsów! Ech, tego maszynistę to ja bym osobiście, od razu na miejscu...
Tusk: Ale co?
Kierwiński: Wysadził w powietrze. Albo chociaż z pociągu! Przejechał? Przejechał! To po co drążyć?!
Tusk: Ale kogo przejechał? Tych Ukraińców?
Kierwiński: To byli Ukraińcy? O ja cię...
Siemoniak: Ale ruscy.
Kierwiński: A gdzie oni teraz są?
Siemoniak: Mówiłeś, że wyjechali.
Kierwiński: Ja tak mówiłem? A skądja to wiem?
Tusk: Ode mnie.
Kierwiński: Pan premier tam był?
Tusk: Nie, ale były służby. To znaczy ja też, ale tylko po to, żeby nie przeszkadzać.
Kierwiński: I co? Poświęsili się?
Tusk: Znaleźli odciski palców i kartę SIM.
Kierwiński: A to może wybuchnąć?
Tusk: Nie. Ale przynajmniej mamy dowód, że to byli zawodowcy.
Siemoniak: Bo amatorzy nie wzięliby telefonu, tylko rękawiczki czy jakoś tak.
Kierwiński: To so robimy?
Tusk: Wprowadzamy Charliego.
Szłapka: Chaplina? Ale super!
Tusk: Trzeci tryb ochrony torów. I infrastruktury.
Kierwiński: Infa... szego?
Tusk: Wojska Obrony Terytorialnej będą chodzić przy torach.
Siemoniak: Jak sobie przypomnę, co kiedyś o nich mówiliśmy...
Tusk: To sobie nie przypominaj.
Szłapka: Czyli podsumujmy. Rząd działa. Nie ma zagrożenia na święta.
Tusk: Jak nie ma? Właśnie jest! Trzeba powiedzieć tak: uważajcie na siebie. Jak dojedziecie do bliskich, to dowód, iż rząd czuwa. A jak nie, winny będzie wróg.
Szłapka: Czyli PiS?
Siemoniak: I Nawrocki!
Tusk: Jakie, kierwa, PiS?!
Kierwiński: Obecny!
Tusk: Ciekawe od kiedy. Zrobimy tak: ogłosimy pakt o nieagresji z opozycją.
Szłapka: Ale jak to?
Tusk: Tak to, że koniec z wetami i krytyką rządu, bo teraz musimy być wspólnotą. A komu się nie podoba, ten zdrajca.
Kierwiński: Oraz dyrwersant!
Tusk: Czy ty zawsze musisz chuchać w moją stronę? Przecież ja jestem samochodem...
Kierwiński: Dlaszego?
Tusk: A co? Pociągiem miałem jechać?

eprasa.pl b3ca89e6a7

„Międzynarodówka” w Sejmie

Karol Marks twierdził, że „historia powtarza się, najpierw jako tragedia, potem jako farsa”. My mamy tragifarsę. Oto bowiem postkomuna rozsiadła się z powrotem na salonach. I to nie byle gdzie, ale na samym szczycie, tuż pod dachem państwa, gdzie fotel jest miękki, władza realna, a i pensja całkiem przyjemna.

Drugą osobą w państwie został Włodzimierz Czarzasty. Tak, ten sam Czarzasty, który mówi o sobie: „Stary komuch”, bo najwyraźniej uznał, że szczerość to najlepsza strategia – szczególnie wtedy, gdy inni politycy próbują podrasowywać swoje życiorysy opowieściami o walce z rekinami czy morskimi węgorzami. Czarzasty dołączył do PZPR, gdy w Polsce trwał stan wojenny. Podczas gdy ludzie ryzykowali życiem, by przeciwstawić się systemowi, on postanowił zostać jego funkcjonariuszem. Każdy ma swoje hobby: jedni zbierają znaczki, inni zapisują się do partii, która właśnie internuje tysiące obywateli. Kwestia gustu.

A że uważał, iż Armia Czerwona „wyzwalała Polskę”? Cóż, są ludzie, którzy wierzą w jednorożce, są tacy, którzy twierdzą, że Ziemia jest płaska, i są wreszcie ci, którzy nazywają okupację wyzwoleniem. Historia nie ocenia jednak gustów, tylko fakty – a te są, jakie są. Czerwonoarmiści nie wyzwalali, lecz niewolili Polaków. Dramat zaczyna się wtedy, gdy ktoś z podobną interpretacją nagle wędruje na polityczny Olimp.

Ale Czarzasty nie jest sam. Za jego sprawą po czerwonym dywanie do Sejmu wszedł kolejny „zabytek epoki słusznie minionej”: Marek Siwiec, świeżo mianowany szef Kancelarii Sejmu. Ten sam Siwiec, który swego czasu postanowił sparodiować Jana Pawła II, błogosławiąc ziemię kaliską i całując ją niczym aktor w kabarecie. Tylko że to nie był kabaret – to była polityka. I Polska. Taka prawdziwa, ze swoimi emocjami, historią i pamięcią.

Oczywiście Siwiec również pochodzi z PZPR-owskiego pnia, ba, on wstąpił do partii jeszcze wcześniej niż Czarzasty. Z takim CV mógłby wykładać „Podstawy marksizmu-leninizmu” z pamięci i z zamkniętymi oczami. A że gdzieś po drodze przewinęła się afera Art-B? Kto by się tym martwił?

I teraz, w roku Pańskim 2025, cała ta galeria postkomunistycznych osobliwości wraca dzięki – uwaga – głosom polityków, którzy z dumą powoływali się na tradycję Solidarności. Tak – tej samej Solidarności, która walczyła o wolność, suwerenność i wyrwanie Polski z sowieckiego uścisku. Tej, która miała być wiecznym gwarantem, że postkomunistyczne kadry nie wrócą na świecznik.

A tu proszę. Nie tylko wróciły, lecz uczyniły to w glorii i chwale, z pełnym ceremoniałem i demokratycznym błogosławieństwem. Można powiedzieć, że polska transformacja okazała się tak głęboka, że aż zatoczyła krąg i wróciła do punktu wyjścia.

Witamy w Polsce – kraju, w którym historia nie tyle się powtarza, ile wraca na salony w eleganckiej marynarce, z nowym garniturem i starym legitymacyjnym zdjęciem w szufladzie. A skoro już pootwierano drzwi dla dawnych działaczy, to aż prosi się postawić pytanie: kto jeszcze może wyjść z politycznego lamusa, otrzepać garnitur z naftaliny i wskoczyć na świecznik? Może Marek Dyduch, który swego czasu prezentował PZPR-owski rodowód z taką dumą, jakby chodziło co najmniej o doktorat z Harvardu? Tow. Dyduch, który przecież jest we władzach partii Czarzastego i Biedronia, mógłby dziś wrócić w roli eksperta od „nowoczesnej lewicy” – w końcu kto lepiej niż były członek Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Wałbrzychu wytłumaczy młodym, jak powinna działać demokracja?

A może Jerzy Jaskiernia, który w PRL był tak częstym bywalcem salonów, że można go było pomylić z elementem wyposażenia? Z nim to dopiero byłby powiew nostalgii! Niech tylko ktoś w Sejmie włączy „Międzynarodówkę”, a Jaskiernia znajdzie się w swoim naturalnym środowisku, dołączy do niego Krzysztof Gawkowski i odśpiewają w gabinecie marszałka wspólnie. „Nic, co komunistyczne, nie jest nam obce – wracamy, bo możemy” – mogliby powiedzieć dawni towarzysze. W końcu skoro Polska ma być krajem nieograniczonych możliwości, to dlaczego nie dla tych, o których się wydawało, że ich polityczny czas już dawno minął?

Zachód ma swoje dynastie polityczne: Bushów, Kennedych czy Trudeau. My też mamy – tylko że nasze rosną na kompostowniku PRL. A że dziś znów kwitną? Tylko co na to ofiary komunizmu, którym dziś dawni towarzysze śmieją się w twarz i roją o demokracji walczącej, jak niegdyś o demokracji ludowej?

Dorota Łosiewicz

Manipulacje montowane w BBC



Dyrektor generalny BBC Tim Davie i szefowa działu informacyjnego stacji Deborah Turness podali się do dymisji. Jeszcze pięć lat temu, obejmując swoje stanowisko, Davie obiecywał zagwarantować bezstronność BBC, jednak odszedł w następstwie ujawnienia przez byłego doradcę tej stacji Michaela Prescotta wewnętrznej notatki oskarżającej kierownictwo stacji o manipulacje zawarte filmie dokumentalnym wyemitowanym tuż przed zeszłorocznymi wyborami prezydenckimi w USA.

Zostały w nim zmontowane dwa fragmenty przemówienia Trumpa wygłoszone 6 stycznia 2021 r. w taki sposób, aby sprawiały wrażenie, że wzywał on swoich zwolenników do ataku na Kapitol, domagając się przy tym, żeby „walczyli jak diabli". Również w jednym z odcinków flagowego programu BBC Newsnight z 2022 r. użyto w podobny sposób skompilowanych dwóch różnych wypowiedzi amerykańskiego prezydenta, który miał jakoby zachęcać do udziału w zamieszkach.

W rzeczywistości Trump wzywał zwolenników do „pokojowego i patriotycznego" zgromadzenia, a frazy „walcząc jak diabli" użył 54 minuty później, mówiąc, że w jego przekonaniu wybory zostały ukradzione. Prescott ujawnił, że manipulacje były świadome, a wyrażane przez niego uwagi były przez szefów BBC wielokrotnie lekceważone lub ignorowane. „Jeśli dziennikarze BBC mają mieć prawo montować filmy, w których ludzie mówią rzeczy, jakich nigdy nie powiedzieli, to jaką wartość mają wytyczne korporacji? Czy BBC można wciąż ufać i gdzie to wszystko się skończy?" – pytał retorycznie.

Sprawa wywołała falę ostrej krytyki, m.in. ze strony byłego premiera Borisa Johnsona, a lider Partii Reform Nigel Farage oświadczył, że odejście szefów BBC powinno być początkiem zmian. Natomiast sam prezydent Trump zapowiedział pozwanie brytyjskiego nadawcy państwowego na kwotę do 1 mld dol. za oszukiwanie widzów.

Na tym jednak nie koniec. W tym samym czasie wyszło na jaw, że jedna z prezenterek BBC została ukarana za to, że zamiast tzw. neutralnej płciowo frazy „osoba w ciąży" użyła formy „kobieta w ciąży". W reakcji na to nadawca uznał, że złamała zasady bezstronności, a wewnętrzna jednostka kontrolna powołała się w tej sprawie na 20 donosów nadesłanych do stacji. Rzecznik Białego Domu Karoline Leavitt nie bez podstaw oświadczyła, że brytyjska opinia publiczna jest zmuszana do opłacania kosztów lewicowej machiny propagandowej.

Maciej Walaszczyk

Guam 51. stanem Ameryki?



Guam, niewielki archipelag na środkowym Pacyfiku zamieszkany przez 164 tys. osób i formalnie będący amerykańskim terytorium zamorskim, chce zmiany swojego statusu. Niektórzy rdzenni mieszkańcy wysp, które dostały się we władanie Stanów Zjednoczonych w wyniku zwycięskiej wojny z Hiszpanią w 1898 r., chcą, aby stały się one kolejnym, 51. amerykańskim stanem. Inni opowiadają się za niepodległością i utrzymaniem silnych związków z Ameryką.

Powód tych ruchów jest oczywisty – bezpieczeństwo. Na Guamie znajduje się jedna z głównych amerykańskich baz wojskowych, która ostatnio jest intensywnie rozbudowywana. Uważa się, że w przypadku wojny byłaby jednym z pierwszych celów chińskiego ataku. Zwolennicy przyłączenia Guamu do Stanów Zjednoczonych są zdania, że jeśli archipelag formalnie stanie się częścią amerykańskiego państwa, wzrośnie prawdopodobieństwo jego obrony. Nie jest to jednak proste, bo uzyskanie takiego statusu wiąże się z powiększeniem Senatu o dwóch reprezentantów, czemu towarzyszyłoby też odpowiednie zwiększenie składu Izby Reprezentantów. Tego rodzaju ruchy mogłyby wpłynąć – jak się uważa – na kruchą równowagę polityczną w Waszyngtonie, co komplikuje sprawy. W ostatnich latach mogło się o tym przekonać Portoryko, kolejne amerykańskie terytorium zamorskie, które chce stać się stanem. Co prawda w 2022 r. Izba Reprezentantów przegłosowała ustawę zmieniającą status Portoryko, ale utknęła ona w Senacie.

Na Guamie aktywni są też zwolennicy niepodległości archipelagu. Ich zdaniem taka opcja byłaby korzystniejsza dla interesów lokalnej ludności, bo w zamian za udostępnienie terenu dla amerykańskiej bazy wojskowej Guam mógłby otrzymywać znacznie większą pomoc finansową niż obecnie. O pieniądzach mówią też opowiadający się za przekształceniem archipelagu w stan, bo ich zdaniem dopiero tego rodzaju status otworzy perspektywę otrzymywania subwencji federalnych, z których Guam jest obecnie wykluczony.

W listopadzie przyszłego roku ma się odbyć referendum, w którym mieszkańcy Guamu mogliby się opowiedzieć, czy chcą przekształcenia w amerykański stan. Zdaniem zwolenników takiej opcji za podjęciem kwestii teraz przemawiają dwa argumenty. Po pierwsze, patriotyczna postawa mieszkańców archipelagu, wśród których jest znacznie więcej wojskowych niż w samej Ameryce. Po drugie, deklaracje Donalda Trumpa, który nie wykluczył przyłączenia do Stanów Zjednoczonych Panamy, Grenlandii czy nawet Kanady. W świetle tego rozumowania dla Guamu otwiera się okienko możliwości.

Marek Budzisz

Fot. BEBEK_PALEKKO/Shutterstock.com, Shutterstock

eprasa.pl b3ca89e6a7

Autobusy na smyczy

Istnieje ryzyko, że chińskie pojazdy elektryczne mogą zostać zdalnie unieruchomione. Tak wynika z dochodzenia przeprowadzonego przez władze Danii i Norwegii. W obu państwach wykryto lukę w oprogramowaniu chińskich autobusów, która umożliwia dostęp do systemów ich sterowania.

Pod koniec października ujawniono, że norweski operator komunikacyjny Ruter przeprowadził tajny test autobusu elektrycznego chińskiej marki Yutong. Podczas badań pojazd został rozebrany na części, aby sprawdzić, czy jego eksploatacja nie stanowi zagrożenia dla bezpieczeństwa. W autobusie odkryto kartę SIM, która pozwala na przejęcie zdalnej kontroli nad pojazdem. Zdaniem Norwegów daje ona dostęp do oprogramowania, diagnostyki oraz sterowania akumulatorem. „Chiński autobus może zostać zatrzymany, wyłączony lub otrzymać aktualizację, która uniemożliwi jego normalne działanie" – twierdzi Arild Tjomsland, ekspert z Uniwersytetu Południowo-Wschodniej Norwegii. Wprawdzie usunięcie z autobusu karty SIM niweluje ryzyko przejęcia nad nim kontroli, ale zarazem uniemożliwia diagnostykę pojazdu i aktualizację jego systemów.

W norweskiej komunikacji publicznej eksploatuje się coraz więcej chińskich autobusów elektrycznych, nic więc dziwnego, że wyniki dochodzenia wzbudziły duży niepokój. Przejęcie z zewnątrz kontroli nad transportem zbiorowym może stanowić poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa, zwłaszcza w obliczu kryzysu międzynarodowego.

Doniesienia z Norwegii skłoniły do podobnych działań Danię. Movia, największa duńska firma transportu publicznego, eksploatuje 469 chińskich autobusów elektrycznych, z czego 262 wyprodukowanych przez Yutonga. Na razie nie odnotowano żadnych przypadków unieruchomienia pojazdów, ale – jak podkreślają duńskie władze – są one wyposażone w podsystemy z łącznością internetową i czujnikami (kamery, mikrofony, GPS), które mogą stanowić luki w zabezpieczeniach i można je wykorzystać do zakłócenia ruchu autobusów. „To nie tylko problem chińskich autobusów. To problem wszystkich typów pojazdów i urządzeń z wbudowaną chińską elektroniką" – zaznaczył Jeppe Gaard, dyrektor operacyjny Movii.

Chińska firma Yutong zapewnia, że „ściśle przestrzega obowiązujących przepisów", a dane zbierane podczas eksploatacji autobusów są zaszyfrowane i przechowywane w Amazon Web Services we Frankfurcie. „Dane te są wykorzystywane wyłącznie do konserwacji, optymalizacji i udoskonalania pojazdów, aby sprostać potrzebom klientów" – oświadczył rzecznik Yutonga.

Czy to wystarczy, aby uspokoić nastroje? W obliczu rosnących napięć handlowych i geopolitycznych wydaje się to mało prawdopodobne.

Konrad Kołodziejski



Fot. Konovalov/Shutterstock.com, Shutterstock



Tytoń, alkohol i...

10 grudnia Australia stanie się pierwszym krajem na świecie, który zabroni dostępu do mediów społecznościowych dzieciom poniżej 16. roku życia. Tamtejsza komisarz ds. bezpieczeństwa elektronicznego Julie Inman Grant ogłosiła, że zakazem zostaną objęte popularne platformy cyfrowe, jak Facebook, Instagram, Snapchat, TikTok, X, YouTube, Reddit, Kick czy Threads. Koncerny, które nie wdrożą systemów uniemożliwiających osobom nieletnim zakładanie własnych kont na „społecznościówkach", mogą zapłacić grzywnę w wysokości do 49,5 mln dol. australijskich. Decyzję władz popiera 77 proc. mieszkańców kraju.

Tak radykalny krok został wymuszony licznymi badaniami naukowymi wskazującymi na destrukcyjny wpływ mediów społecznościowych na młodzież w różnych wymiarach życia: fizycznym, psychicznym, intelektualnym czy społecznym. Z powyższym zjawiskiem jest też związany lawinowy wzrost prób samobójczych, samookaleczeń, depresji, stanów lękowych i rozmaitych zaburzeń psychicznych wśród nastolatków. Problem polega na tym, że model biznesowy wspomnianych platform cyfrowych bazuje na mechanizmie uzależniania użytkowników, ponieważ w ten sposób najłatwiej jest pozyskać uwagę i czas odbiorców, które są następnie monetyzowane. Najbardziej bezbronne wobec tej metody są dzieci, dlatego najłatwiej jest je uzależnić.

Australijskie władze nie odrzucają bezkrytycznie wszystkich narzędzi internetowych. Zezwalają nieletnim na korzystanie z komunikatorów, takich jak WhatsApp czy Messenger, platform edukacyjnych w rodzaju Google Classroom czy aplikacji inspirujących dzieci do odkrywania nowych zainteresowań w stylu YouTube Kids.

Nie chodzi więc o całkowite odizolowanie dzieci od świata cyfrowego, lecz o uchronienie ich przed szkodliwymi treściami i mechanizmami uzależniającymi. W ten sposób Australia stała się pionierem w skali światowej. Czy jej śladem podążą inne kraje?

Grzegorz Górny

eprasa.pl/b5ca89e6a7

Szczyt klimatyczny COP30 w Belém, czyli hipokryzja w tropikach

Oto, drodzy państwo, kolejny akt klimatycznego teatru absurdu. Właśnie dobiegł końca COP30 w Belém, bramie do Amazonii – tej samej, gdzie gęsty las deszczowy miał być tłem dla ratowania planety, a stał się sceną dla ekologicznej farsy. Podczas gdy wy, szanowni obywatele, dusiliście się latem w 30 st. Celsjusza bez klimatyzacji, myliście ręce zimną wodą i marzliście zimą w niedogrzanych domach, klimatyczna elita urządziła sobie tropikalną ucztę



Dwa tygodnie w Turcji dla was z dziećmi? Zapomnijcie – latanie niszczy klimat, no, może raz na trzy lata... Ale zbawcy planety? Oczywiście mogą. Zlecieli się prywatnymi odrzutowcami z całego globu, emitując tony CO_2, by pogadać o... cięciach emisji. Klasyczna hipokryzja w pełnej krasie.

Belém to miasto na obrzeżach Amazonii, gdzie słońce grzeje bezlitośnie, a wilgotność przekracza 90 proc. Doskonały wybór na szczyt klimatyczny, co? Tylko że uczestnicy nie zamierzali na własnej skórze odczuwać tych niedogodności – natychmiast po przylocie zaczęli narzekać i zgłaszać pretensje o brak odpowiedniej klimatyzacji – w amazońskim mieście 150 km od równika! Delegaci omdlewali od upału, w pośpiechu montowano klimatyzatory zasilane dieslami, a tropikalne ulewy przeciekały przez dachy, grożąc zwarciem. Wszystko w pawilonach oświetlanych – a jakże – generatorami zasilanymi dieslami, bo lokalna sieć elektryczna, ulegająca chronicznym awariom, nie sprostała zadaniu. Za to VIP-om zapewniono luksusowe statki. Dwa olbrzymy, Costa Fascinosa i Preziosa, cumowały w porcie, rycząc dieslem non stop, by zapewnić 6 tys. komfortowych kajut. Naśmiecono, wyprodukowano hektolitry ścieków, zrobiono selfie z tubylcami, a przy okazji wykarczowano fragment dżungli na nowe drogi i parkingi. Autostrada przez Amazonię? Czemu nie – dla najważniejszych światowych polityków zebranych do pogadania o ochronie przyrody i klimatu wszystko!

Stany Zjednoczone? One po prostu olały ten spektakl. Administracja Trumpa nie przysłała żadnej znaczącej delegacji – zero prezydenta, zero sekretarza stanu, nic. Tylko garstka aktywistów i biznesmenów, którzy przybyli na własną rękę. Bo niby po co? Ameryka wie, że to cyrk – 56 tys. uczestników, setki prywatnych jetów, emisje równe rocznemu bilansowi tysięcy domów. Tymczasem Brazylia, gospodarz, zmaga się z blackoutami – niedawno groziło to przecież sieci w Belém. Delegaci sunęli limuzynami przez korki, dewastując jeszcze trochę lasu.

COP30 to szczyt paradoksów – negocjacje narodowych zobowiązań klimatycznych w oparach diesla, podczas gdy połowa Belém tonie w ściekach bez kanalizacji. Protesty domagających się konkretów rdzennych mieszkańców szturmujących pawilony udekorowane wizerunkami lwów i żyraf – zwierząt obcych Amazonii – były smutnym uzupełnieniem tej farsy.

Na koniec – jak zwykle – przekazano zalecenia dla zwykłych ludzi (wygłoszone tuż po uroczystej kolacji dostarczonej do klimatyzowanych wnętrz odrzutowcem prosto z Paryża). Pamiętajcie zatem przykazania dla was – tylko komunikacja zbiorowa, niejedzenie kotletów, marznięcie w niedogrzanych domach, stare ubrania i wysokie podatki klimatyczne, które ocalą świat.

Daniel Obajtek

eprasa.pl b3ca89e6a7

Pesymistyczny scenariusz



Marta Kaczyńska-Zielińska

W ostatnich dniach odporność państwa polskiego została po raz kolejny przetestowana za pomocą działań inspirowanych przez Rosję. Egzamin ze sprawności służb wypadł niekorzystnie. Dywersanci spokojnie opuścili terytorium Polski, a do prasy wyciekają szczegóły dotyczące śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Krajową, które z pewnością będą pomocne dla organizatorów ataków mogących nastąpić w przyszłości. Podawanie do publicznej wiadomości informacji o odnalezieniu odcisków palców sprawców na przedmiotach służących do przeprowadzenia zamachu terrorystycznego to wyraźna sugestia, by następnym razem operatorzy byli wyposażeni w rękawiczki i skuteczniej zacierali ewentualne ślady swojej działalności. To nie powinno jednak zaskakiwać, skoro ta sama ekipa wcześniej przekazała Rosji agenta Rubcowa, uprzednio pozwalając mu się zapoznać z aktami sprawy, z których można wyczytać *modus operandi* służb, które go ujęły.

Dopuszczenie do tego, by co najmniej kilka pociągów przejechało przez wyrwę w torach – zapewne wskutek braku odpowiedniego przepływu informacji, a przede wszystkim wobec nie dość dociekliwego ustalania okoliczności słyszanego przez świadków wybuchu – to jasny sygnał braku koordynacji działań. Powinny być one prowadzone szczególnie skrupulatnie w okolicy ważnego szlaku kolejowego, którym jest transportowana pomoc dla Ukrainy i o którym wiadomo, że stanowił przedmiot zainteresowania rozbitej w 2023 r. przez polskie służby grupy dywersantów, koncentrującej swe działania właśnie wokół opisanego odcinka torów.

Czego jednak obecnie możemy się spodziewać, skoro urzędnicy administracji rządowej wydali zgodę, by na trasie Królewiec–Gdańsk–Warszawa regularnie kursowały autobusy transportujące pasażerów, których prawdziwa tożsamość i realne cele podróży są trudne do zweryfikowania? Co sądzić o władzy, która co prawda zamyka niektóre rosyjskie konsulaty, ale jak gdyby nigdy nic pozwala, by na terytorium Polski przybywali Rosjanie z obwodu słynącego z istniejącej tam jednostki wojskowej i ośrodka szkoleniowego GRU? Polskie i zagraniczne służby nie wykluczają, że za licznymi aktami sabotażu w naszym kraju stoją właśnie jednostki służb i wywiadu, posiadające siedziby na terenie obwodu królewieckiego.

Czym jest zatem spowodowana niekonsekwencja polskich władz? Czy chodzi o brak przepływu informacji dotyczących zagrożeń, czy ich bagatelizowanie, a może problem tkwi w tym, że na szczycie obecnych polskich służb stoją ludzie opisani w serialu „Reset" oraz książce Michała Rachonia i Sławomira Cenckiewicza „Zgoda"?

Głównodowodzący połączonych sił NATO w Europie gen. Alexus G. Grynkiewich wyraził ostatnio opinię, że perspektywa ataku Rosji na państwa Sojuszu jest realna już w 2027 r. Sensację w prasie wzbudził wywiad szefa Sztabu Generalnego gen. Wiesława Kukuły, który w spokojnej i merytorycznej rozmowie przewiduje podobnie pesymistyczny scenariusz, twierdząc, że „adwersarz rozpoczął przygotowania do wojny".

Nasze położenie geopolityczne sprzężone z publicznie ogłoszoną przez Putina wiele lat temu w Monachium neoimperialną polityką państwa rosyjskiego, jego atakiem na Czeczenię, Gruzję, Ukrainę, determinuje konieczność wzmożonych przygotowań do wojny. W 2008 r. przestrzegał przed tym zagrożeniem śp. prezydent Lech Kaczyński, a przygotowania urealnił premier Jarosław Kaczyński wraz rządem Zjednoczonej Prawicy, uchwalając ustawę o obronie ojczyzny, modernizując polską armię i projektując CPK, który mógłby w razie potrzeby stać się hubem dla komunikacji wojskowej.

W obliczu zagrożeń Polska musi wzmacniać swój potencjał wojskowy na wszelkich płaszczyznach, a konieczne wydaje się skuteczne postulowanie rozmieszczenia broni jądrowej w ramach NATO-wskiego nuclear sharing. Czy z rządem koalicji 13 grudnia jest to możliwe?

REKLAMA



24/1025/F

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl b3ca89e6a7



Walizka Lecha Potyńskiego

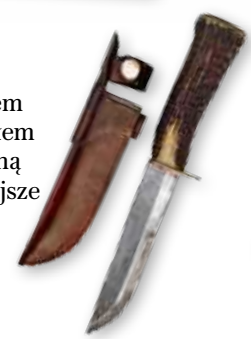
redaktora naczelnego magazynu „Świat Motocykli”

Kocham wszystko, co warczy i burczy, dlatego moją podróż przez życie pokonuję na różnego rodzaju motocyklach i samochodami – starymi i nowymi. Z przyjaciółmi zjechaliśmy pięć kontynentów, ale głód włóczenia się nie zmalał nawet o kilometr. Ważną przygodą była (i jest) gazeta założona z przyjaciółmi. „Świat motocykli” powstał w 1993 r. na fali rodzącej się wolnej prasy. Ponieważ w Polsce nie było wtedy ani jednego periodyku motocyklowego, postanowiliśmy z kolegami stworzyć taki magazyn. To był strzał w dziesiątkę. Bez żadnej promocji i reklamy, bez internetu i telefonów komórkowych, bez żadnych nakładów na nowoczesne formy promowania sprzedawał się cały nakład. Ludzie stali w kolejkach pod kioskami po kilka godzin, czekając, aż pojawi się „Świat Motocykli”. To była pierwsza w Polsce, a teraz niestety ostatnia papierowa gazeta o tej tematyce. Zaczęliśmy jako pierwsi, ale jeszcze nie schodzimy ze sceny. Zaczynaliśmy od 30 tys., ekstremalnie było 100 tys. Do numerów dokładaliśmy CD z filmami, z których motocykliści uczyli się popisów kaskaderskich. Redakcja wzięła się z jednego z żoliborskich garaży przy ul. Perzyńskiego. Magazyn wymyślił Erwin Gorczyca, który miał garaż po sąsiedzku z moim. Ja dłubałem wtedy przy motocyklach z Krzyśkiem Wydrzyckim i Robertem Więckiewiczem. Wydawnictwo dało nam do pomocy sekretarza redakcji, który spolszczał nasze teksty, niejednokrotnie nas ochrzaniając. Wszystkie nasze artykuły pisane (sic!) ręcznie na papierze przepisywała na komputerze pani Basia, która przygotowywała także klisze ze stronami do druku. Kolorowe zdjęcia składały się z takich czterech klisz, które trzeba było dobrze spasować, w przeciwnym razie kolory w druku się rozjeżdżały. To był urok kolorowej, post-PRL-owskiej, siermiężnej jeszcze prasy.



RĘCZNIE ROBIONY NÓŻ

W czasie pandemii dla zabicia czasu zacząłem robić noże. Dla siebie i dla kolegów wykonałem kilkanaście egzemplarzy – część z drewnianą rączką, pozostałe z kości. Jednak najważniejsze jest to, że ostrze zostało wykonane z prawdziwej skandynawskiej stali.



eprasa.pl b3ca89e6a7



PLECAK

Absolutnie wodoszczelny, w którym mieści się mój kompletny sprzęt biwakowy. Mogę z nim jechać do dowolnego punktu na świecie, bo dach nad głową już będzie.

VOLKSWAGEN GARBUS



Tym VW 1200 byłem wieziony do domu z porodówki. Ojciec kupił go we Francji w 1960 r. i ostał się w rodzinie.



KOMBINERKI

Ponieważ jeżdżę głównie starymi motocyklami i starymi samochodami, kombinerki zawsze się przydają.



AFRYKA

Po Afryce jeździłem i od południa (RPA, Mozambik, Zambia, Malawi), i od północy. W Maroku obowiązkowym punktem wyprawy zawsze są pustynie i legendarne szlaki rajdu Paryż–Dakar.



ROZKŁADANE KRZESEŁKO

Mimo podeszłego wieku z moim starszym o 10 lat bratem i przyjacielem raz do roku wyjeżdżamy na motocyklową włóczęgę po Polsce i okolicach. Zabieram wtedy ze sobą cały biwakowy majdan, w tym rozkładane krzesełko, żeby nie siadać na ziemi.

HIMALAJE



W Himalajach na motocyklu byłem po raz pierwszy kilkanaście lat temu. Wróciłem tam już po ukończeniu 62 lat. Skoro dałem radę, to każdy da – potrzebna jest tylko kilkudniowa aklimatyzacja, aby wjechać na niemal 6 tys. m n.p.m.

MATERAC



Chyba najmniejszy na świecie materac pneumatyczny. Udaje mi się go napompować ośmioma dmuchnięciami.

NAMIOT



Tunelowy, tzn. przy głowie wysoki, przy nogach bardzo niski. Od biedy dwuosobowy, ale najczęściej jeżdżę sam, więc mieszczą się jeszcze bagaże.

ŚPIWÓR



Nigdy nie spałem w nim, gdy temperatura była ujemna. Gdy jest dodatnia – od 0 st. Celsjusza – dobrze się sprawdza.

HEINKEL KABINE ROLLER 175



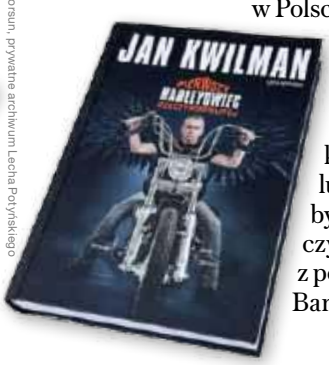
Produkowany w połowie lat 50. miał być sposobem na kryzys w Niemczech. Nie przyjął się na rynku, ale gdy nim jadę, zawsze wzbudza sensację na drodze.

NSU/FIAT

Auto z 1940 r. to niezły rarytas, bo karosowała go firma Glaser na indywidualne zamówienie. Po kompleksowej odbudowie w 1992 r. wciąż jest na dobrym chodzie – niedawno na kołach dotarłem nim aż do Radomia!

„PIERWSZY HARLEYOWIEC RZECZYPOSPOLITEJ"

Napisałem ją razem z Jankiem Kwilmanem – chłopakiem, który od własnej motorynki doszedł do największego i najbardziej ekskluzywnego salonu Harleya-Davidsona w Polsce. W książce można przeczytać o zmaganiach z PRL, brakiem benzyny i części do motocykli, niemożności wyjazdu na roboty na Zachód, staniu w dwudniowych kolejkach za wizą do RFN... Dla ludzi z lat 60. wszystkie te historie były normą, ale dla młodszych czytelników będzie to opowieść z pogranicza science fiction i komedii Barei.





Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Lecha Potyńskiego

eprasa.pl b3ca89e6a7

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Czy to już okupacja, czy jeszcze nie?



Jan Pietrzak

11 listopada nastąpiła tradycyjna, doroczna weryfikacja Polaków. Tego dnia można się było zorientować, jaki procent społeczeństwa docenia niepodległość, a jaki ma w nosie to, czy żyje w suwerennym kraju, czy pod okupacją. Marsz Niepodległości w Warszawie i wiele mszy za ojczyznę, spotkań czy imprez w setkach miejscowości są spektakularną manifestacją pozwalającą lokalnym społecznościom wyrazić swe przywiązanie do rodzinnych stron i wydarzeń zmieniających oblicze ziemi, „tej ziemi", na której przyszło nam żyć z woli Bożej. Pięknie mówił św. Jan Paweł II o naszym polskim dziedzictwie. Wielkie pokłady miłości i fascynacji polskością znajdujemy w dziełach legendarnych twórców kultury...

Naturalnie nie ma jednego miernika patriotyzmu, jest ich niezliczona liczba. Można jednak przyjąć, że ludzie, organizacje, partie polityczne, korporacje międzynarodowe itp., które świadomie szkodzą Polsce, raczej nie są wyznawcami tutejszego patriotyzmu. Polska niepodległość ich nie interesuje. Wręcz przeciwnie, domagają się podległości, poddaństwa. W ciągu ostatnich 200 lat wielokrotnie, z użyciem potężnych armii, odbierali nam niepodległość. Napadali na nas, by wyzyskiwać, okradać, degradować, unicestwiać... I na tym aspekcie naszej sytuacji skoncentrujmy uwagę – na opętanych nienawiścią wrogach.

Jaką szują trzeba być, żeby parę dni przed 11 listopada zamknąć Dworzec Centralny w Warszawie? Grając nam na nosie, którą to umiejętnością popisywał się w Sejmie oberszef tej ferajny. Szyderstwa, złośliwości niemieckich mediów przy okazji wrażliwych dla nas tematów są codziennością. Powinniśmy domagać się od niemieckich władz oficjalnego wyjaśnienia, jak zamierzają traktować suwerenność państwa polskiego. Jest wiele gorących tematów.

Żegluga na Odrze. Agresja Deutschebahn na PKP. Zaoranie polskiego rolnictwa z powodu interesów Mercosur. Blokada portu kontenerowego w Świnoujściu. Likwidacja jednej trzeciej szpitali. Obniżenie poziomu edukacji według wytycznych Bismarcka i Hansa Franka...

Czy to już jest okupacja, czy jeszcze nie? Dowiemy się o tym być może za sprawą ambasadora RFN Miguela Bergera. Oświadczył on, że poseł Arkadiusz Mularczyk, poruszając temat reparacji niemieckich, pomaga Putinowi! Taki wyrafinowany dyplomata pojawił się nad Wisłą.

W Rajchu modne stały się natomiast zdobyczne fanty, zwiezione tysiącami wagonów przez dzielnych chłopców führera. Spodobały im się nasze meble, zastawa stołowa, kradli nawet portrety rodzinne. Z mojego drewnianego domu przed podpaleniem wynieśli do ciężarówki wszystko – poza szklaną solniczką i bakelitową pieprzniczką. A ja patrzyłem na to, siedząc z koleżką Mietkiem Cichockim na podwórkowej morwie... Mieliśmy po 7 lat i bardzo się baliśmy, by nie wrzucili nas na budę do wywózki.

Ślepe państwo na autopilocie



Samuel Pereira

Rząd Donalda Tuska jest dziś organizmem funkcjonującym nie dzięki sprawnym instytucjom, lecz umiejętności generowania emocji. Zamiast powagi i reakcji adekwatnej do zagrożeń mamy model władzy, którego priorytetem jest autoprezentacja: codzienne obrazki z social mediów, kręte komunikaty i aktywności żerujące na emocjach i podziałach. W tym czasie państwo traci zdolność do podstawowych zadań.

Przykłady mamy niemal codziennie. Sabotaż na trasie Lublin–Warszawa czy uszkodzenie trakcji pod Puławami pokazały nie tylko możliwość działania obcych służb, lecz także to, że polskie służby reagują dopiero po fakcie. Każdy taki incydent obnaża brak systemowej prewencji, której nie zastąpi żaden briefing prasowy czy filmik w mediach społecznościowych.

Równolegle w ochronie zdrowia widać już symptomy kryzysu finansowego. Naczelna Izba Lekarska publikuje twarde dane NFZ o przesuwanych terminach leczenia onkologicznego, a premier manipuluje, kwestionując te informacje i próbując przenieść ciężar odpowiedzialności na środowisko lekarskie.

Finanse publiczne również nie potwierdzają rządowej narracji o „powrocie stabilności". Rosnące koszty obsługi długu, deficyt sektorowy i napięcia w budżecie NFZ – przestrzeń manewru się zmniejsza. To nie przypadek, że jedyną konsekwentną krytykę przedstawia opozycja, której nie jest łatwo się przebić przez medialny szum, choć politycy tacy jak Mateusz Morawiecki nie poddają się i co rusz przekłuwają bańkę emocji. Zamiast merytorycznej odpowiedzi rządowi łatwiej wybrać ucieczkę w tematy zastępcze, polityczne wojenki oraz rotacje na stołkach, które niewiele zmieniają w życiu obywateli.

Równolegle rynek pracy zaczyna wyraźnie słabnąć. Wydłużony do 4,5 miesiąca średni czas poszukiwania etatu, wzrost bezrobocia do 5,6 proc. i spadek liczby ofert sygnalizują zmianę trendu. To nie incydent – to początek procesu, którego skutki odczują szczególnie osoby młode oraz pracownicy administracyjno-biurowi. Te wszystkie realne i zakrzykiwane dziś problemy w końcu wybuchną, bo rząd może kontrolować narrację, ale nie zastąpi nią rzeczywistości, tak jak poważnego zarządzania państwem nie zastąpią kolejne miny do kamer czy smartfonów.

eprasa.pl b3ca89e6a7

„Dyplomacja” po niemiecku



Nie można milczeć w sprawie skandalicznego zachowania ambasadora Niemiec w Polsce Miguela Bergera, byłego wiceministra spraw zagranicznych, który stwierdził, że polskie dążenia do reparacji są pomaganiem Putinowi. To bezczelna próba odwracania odpowiedzialności i uderzania w państwo, które domaga się elementarnej sprawiedliwości za zbrodnie II wojny światowej.

Żebyśmy mieli jasność: to człowiek, który jako przedstawiciel niemieckiego rządu zaciekle bronił Nord Stream 2 – projektu realnie wzmacniającego Kreml i rosyjską machinę wojenną. Dziś ma czelność kierować takie słowa wobec Polski? To hipokryzja w najczystszej postaci. Publicznie wyraziłem sprzeciw wobec tej wypowiedzi i wskazałem, że po takich słowach Berger nie powinien dalej pełnić funkcji ambasadora w Polsce. Nie można reprezentować swojego państwa w kraju, którym się pogardza. Przekroczył granicę.

I jak ambasador Berger stał się dla Polski postacią niemile widzianą nad Wisłą z powodu tez, które głosi, tak nie wkładamy jego ambasadorskiej funkcji w cudzysłów. On zaś pozwolił sobie na haniebny gest, wkładając w cudzysłów słowo RAPORT (o stratach wojennych), próbując w ten sposób podważyć jego znaczenie i wiarygodność. To lekceważenie prawdy i cierpienia ofiar, próba relatywizowania historii i rozmywania odpowiedzialności Niemiec. Takie zachowanie nie przystoi dyplomacie i nie może pozostać bez zdecydowanej reakcji.

Jakby tego było mało, w ubiegłym tygodniu niemiecki dom aukcyjny wystawił na sprzedaż przedmioty należące do polskich ofiar niemieckich zbrodni. To moralne dno i kolejny szczególnie bolesny cios wymierzony w godność polskich ofiar II wojny światowej. Próba komercjalizacji osobistych rzeczy zamordowanych, więźniów i ich rodzin jest skandalem, który pokazuje, jak łatwo niektórzy próbują zamienić tragedię w towar. Cierpieniem się nie handluje – to powinno być oczywistą granicą cywilizacyjną i moralną. Dzięki oburzeniu opinii publicznej aukcję wstrzymano, lecz to jedynie częściowa reakcja na powagę sytuacji. Te przedmioty muszą wrócić do Polski. Wystosowałem list do niemieckiego ministra kultury z apelem o wprowadzenie jednoznacznego zakazu takich praktyk, by podobne działania nigdy więcej nie miały miejsca.

To wszystko pokazuje, jak daleko Niemcy przesuwają granice moralności, jak nie przepracowali własnej historii i jak konsekwentnie próbują ją pisać na nowo, zrównując katów z ofiarami. Każda taka próba bez zdecydowanej reakcji tylko utwierdza drugą stronę w przekonaniu, że jej wolno. A właśnie nie możemy na to pozwolić.

Arkadiusz Mularczyk



Najcenniejsze jest serce

Z aktorką Małgorzatą Sochą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy dostała pani kiedyś piernikowe serce, które było dla pani wyjątkowo ważne?

Małgorzata Socha: Tak. Od mojego syna. Chyba z okazji Dnia Matki. Było piękne, urocze, słodkie... Naprawdę chwyciło mnie za serce.

Tytułowym „Piernikowym sercem” też chwycicie za serca widzów?

Mam nadzieję, że podobnie jak w przypadku naszych bohaterów otworzą się także serca tych, którzy film obejrzą. Że dzięki seansowi będą mogli w cudowny, już świąteczny sposób wejść w nadchodzący wyjątkowy czas – ciepły, serdeczny, rodzinny. Bo nasz film jest o rodzinie. Jest też o miłości. O dawaniu drugiej szansy. O tym, że wszystko można zacząć od nowa, trzeba tylko mieć w sobie determinację, siłę i chęć. I wtedy każde serce da się otworzyć.

Film w reżyserii Piotra Wereśniaka już kusi zapowiedziami. Podobnie jak piękna biżuteria, którą pokazuje pani w przedświątecznych reklamach. Jaki pani zdaniem powinien być „prezent od serca”?

Myślę, że w każdym podarunku najcenniejsze jest właśnie serce, dobra i szczera intencja, gest, symboliczne przesłanie, że pamięta się o drugiej osobie. A jeszcze bardziej przyjemne może być to, że prezent jest spersonalizowany. Gdy szukając go, zastanawiamy się, co obdarowany naprawdę chciałby dostać, czego pragnie, czego potrzebuje.

Czyli przymierzając się do poszukiwań świątecznych prezentów, powinniśmy stawiać na empatię?

I życzmy sobie świąt pełnych empatii oraz takich spotkań z ludźmi. Bo to o spotkania z ludźmi w tym czasie przede wszystkim chodzi. Myślę, że coraz więcej osób docenia ten kontakt.

Fot. TVP

eprasa.pl b3ca89e6a7

Polaku, ucz się sam

To, że według badań naukowych wskaźnik inteligencji IQ spada nam z pokolenia na pokolenie o 7 pkt, zawdzięczamy programowej destrukcji systemu edukacji. Idąca z Zachodu moda na coraz niższe wymagania stawiane uczniom, ekranowe przebodźcowanie odciągające uwagę dzieci od nauki, niechęć młodzieży do wysiłku intelektualnego i rozdawnictwo dyplomów ukończenia nikomu niepotrzebnych studiów – to wszystko dewastuje mentalność młodych Polaków. Żywiołowy rozwój sztucznej inteligencji jeszcze pogłębi ten stan. Wkrótce każdy dyletant znający kilka komend sterujących AI poczuje się Mozartem, Hemingwayem czy Rembrandtem. Każdy ignorant będzie mógł napisać pracę doktorską, choćby w inkaskim języku keczua. Posiłkując się sztuczną inteligencją, domorośli „naukowcy” wygenerują treści, których nie będą w stanie pojąć ani ocenić wiarygodności popełnionego plagiatu. Czy o taką elitę intelektualną nam chodzi?



We współczesnym świecie naszpikowanym błędnymi informacjami brakuje nam ludzi mądrych, umiejących odróżnić prawdę od fałszu, rzetelną wiadomość od fake newsa. Tymczasem globalne pranie mózgów zmierza w kierunku ogłupiania całych społeczeństw! Głupcami łatwiej jest zarządzać. Umiejętność motywowania dzieci do wysiłku poznawczego jest dziś dla rodziców i dziadków najważniejszym wyzwaniem. Niektórzy inwestują w wybór właściwej szkoły, kursy uzupełniające, korepetycje, nauczanie domowe. Rozbudzenie pasji w utalentowanym małolacie uskrzydla proces percepcji wiedzy. Sukces zawodowy to nie tylko wąska specjalizacja, lecz także solidne podstawy wiedzy ogólnej (dawała je stara matura). A każde hobby może ułatwić przekwalifikowanie się i dywersyfikację zarobków.

PS Edukacja nie musi być nudna! Właśnie ukazała się moja ilustrowana „Historia we fraszkach: od Mieszka po Staszka” dedykowana młodzieży szkolnej i... politykom. Nauki zawarte w satyrycznych biografiach naszych władców są bezcenne dla jednych i drugich.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: PAP/MARCIN OBARA, ANDRZEJ WIKTOR, NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE, MNW/EAST NEWS, AUKTIONSHAUS FELZMANN, ARCHIWUM FRATRIA, SHUTTERSTOCK/VLADIMIR TRETYAKOV, PJ-STOCK

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl b3ca89e6a7

Międzynarodowy Rok Spółdzielczości 2025

Razem możemy więcej. To nie indywidualizm buduje lepszy świat

Rok 2025 został ogłoszony przez Organizację Narodów Zjednoczonych Międzynarodowym Rokiem Spółdzielczości. Hasło obchodów – „Spółdzielnie budują lepszy świat" – to przypomnienie, że prawdziwą siłę tworzy współpraca, zaufanie i wzajemna odpowiedzialność

W Polsce te wartości stara się realizować Fundacja Stefczyka, kontynuując dzieło swojego patrona i budując mosty między tradycją a nowoczesnością.

IDEA WSPÓŁPRACY, KTÓRA NIE TRACI ZNACZENIA

W dobie indywidualizmu i rywalizacji spółdzielczość przypomina, że prawdziwy rozwój rodzi się ze współpracy. Już w XIX w. Franciszek Stefczyk dowodził, że wspólne oszczędzanie i wzajemna pomoc mogą się stać skutecznymi drogami do niezależności finansowej i społecznej. Tworzone przez niego kasy spółdzielcze nie były nastawione na zysk, lecz wsparcie – budowanie kapitału zaufania wśród ludzi, którzy chcieli coś zmienić razem, a nie osobno.

Dziś, w świecie nowoczesnych technologii, pędzącej informacji i presji indywidualnych sukcesów, te wartości są bardziej aktualne niż kiedykolwiek. Spółdzielczość nie traci znaczenia, bo przypomina, że wspólnota to nie archaizm, lecz realna siła społeczna. Wspólne działanie, wzajemna pomoc i solidarność wciąż potrafią przynieść efekty, których nie da się osiągnąć w pojedynkę. To nie tylko idea, lecz także praktyczna odpowiedź na współczesne wyzwania – od problemów ekonomicznych po potrzebę odbudowy więzi międzyludzkich.



FUNDACJA STEFCZYKA – WSPÓŁCZESNE OBLICZE SPÓŁDZIELCZOŚCI

Ustanowienie przez ONZ Międzynarodowego Roku Spółdzielczości to również dowód uznania dla instytucji, które działają na podstawie wartości wspólnotowych. Spółdzielnie, banki spółdzielcze, kasy oszczędnościowo-kredytowe czy fundacje społeczne tworzą gospodarkę bazującą nie tylko na liczbach, lecz przede wszystkim na więziach międzyludzkich.

Fundacja Stefczyka, powołana przez Kasę Stefczyka, od lat wspiera projekty służące lokalnym społecznościom. Działa w duchu spółdzielczym – angażuje, inspiruje i pomaga, przypominając, że odpowiedzialność za dobro wspólne zaczyna się od codziennych, małych gestów. Wśród jej inicjatyw znajdują się przedsięwzięcia z zakresu sportu, kultury, edukacji, ochrony dziedzictwa narodowego i pomocy społecznej. Fundacja wspiera zarówno lokalne wydarzenia sportowe, jak i instytucje kultury, szkoły czy projekty promujące postawy patriotyczne.

Wszystkie te działania łączy przekonanie, że wartość wspólnoty mierzy się nie wielkością kapitału, lecz tym, jak potrafi się dzielić dobrem. Fundacja Stefczyka pokazuje, że każdy, kto włącza się w jej inicjatywy, staje się częścią większego dzieła – współtwórcą dobra, które wraca do ludzi w postaci realnych efektów. Tak wygląda współczesna spółdzielczość: to nie tabele i raporty, lecz konkretne działania, które mają znaczenie dla drugiego człowieka.

NOWOCZESNY PATRIOTYZM I WSPÓLNE DOBRO

Współczesna spółdzielczość to także forma nowoczesnego patriotyzmu – troska o wspólnotę, rozwój lokalny i odpowiedzialność za to, co wspólne. W czasach, w których tak często mówi się o kryzysie zaufania, idea współdziałania nabiera szczególnego znaczenia. To nie tylko ekonomia społeczna, lecz także szkoła charakteru i odpowiedzialności. Bo choć świat zmienia się nieustannie, pewne wartości pozostają niezmienne: uczciwość, solidarność, empatia i gotowość do współpracy.

Międzynarodowy Rok Spółdzielczości to dobra okazja, by przypomnieć, że spółdzielczość nie jest reliktem przeszłości, lecz żywą filozofią współpracy. Fundacja Stefczyka, działając w duchu swojego patrona, udowadnia, że wspólnota wciąż ma ogromną moc – potrafi łączyć, inspirować i budować lepszy świat. Bo choć różnimy się doświadczeniami i poglądami, łączy nas coś, co nie traci na wartości: przekonanie, że razem naprawdę możemy więcej.

FUNDACJA STEFCZYKA

Artykuł sponsorowany | 08/0325/F/ZAL

eprasa.pl b3ca89e6a7

Rüdiger von Fritsch

Miguel Berger

Arndt Freytag von Loringhoven

Wysłannicy diabła

Ambasada Niemiec w Warszawie

„Poseł [w znaczeniu dyplomaty, ambasadora] to szpieg, którego posyła się za granicę, żeby tam łgał w interesie własnego kraju” – tak scharakteryzował rolę ambasadorów sir Henry Wotton, zawodowy angielski dyplomata za panowania Elżbiety I i Jakuba I. Wiele wskazuje na to, że tak właśnie pojmuje swoją misję w Polsce obecny ambasador Niemiec – Miguel Berger. I może dodaje jeszcze coś z Abrahama de Wicqueforta, niderlandzkiego dyplomaty z XVII w., który mówił: „Dobry ambasador jest także wielkim aktorem, żeby więc sprawnie ten zawód wykonywać, musi być po trosze komediantem”.

Atak ambasadora Bergera na eurodeputowanego Arkadiusza Mularczyka i idące za tym zarzuty, że każdy w Polsce, kto podnosi kwestię reparacji od Niemiec, działa na rzecz Putina, to tylko fragment większej całości. Przed Bergerem było w Warszawie 11 ambasadorów Niemiec i prawie wszyscy raczej zaogniali wzajemne relacje, niż czynili je lepszymi. I żaden nie uznał polskich praw do reparacji, a niektórzy zachowywali się tak, jakby Polska była niemiecką kolonią.

Dwóch ambasadorów Niemiec w Polsce miało krewnych służących hitlerowskiemu reżimowi: Rüdiger von Fritsch i Arndt Freytag von Loringhoven, ale nawet oni nie zachowywali się tak arogancko jak obecny dyplomatyczny przedstawiciel Niemiec w Warszawie. 15 listopada 2025 r. Miguel Berger uderzył w Arkadiusza Mularczyka, przewodniczącego rady Instytutu Strat Wojennych im. Jana Karskiego, którego zadaniem było oszacowanie całości strat poniesionych przez Polskę w wyniku niemieckiej agresji i okupacji podczas II wojny światowej. Był on także redaktorem wyjątkowo solidnego raportu o stratach wojennych przyjętego przez rząd RP oraz parlament.

Mularczyk zaproponował Niemcowi przekazanie tego raportu. Jego wpis dotyczył faktów, był pozbawiony emocji. „Szanowny Panie Ambasadorze Miguel Berger, chętnie przekażę Panu osobiście Raport o stratach wojennych Polski – dokument jasno ukazujący skalę zniszczeń oraz nierozliczony dług Niemiec wobec Polski. Jest to kluczowy



STANISŁAW JANECKI

Ambasadorowie Niemiec w III RP bardziej przypominali namiestników z XVIII w. niż dyplomatów

element zrozumienia, jakie kroki są niezbędne po stronie Niemiec, aby budować prawdziwe, partnerskie i odpowiedzialne relacje polsko-niemieckie” – napisał Mularczyk. Ambasador Berger odpowiedział z agresją: „Szanowny panie pośle, myli się pan, sądząc, że pański »raport« i pański aktywizm będą kształtować przyszłość naszych relacji. Ciągłe podziały kreowane przez ludzi takich jak pan pomagają jedynie Putinowi”.

VON MOLTKE BY SOBIE NIE POZWOLIŁ

Użycie przez Bergera określenia „ludzie tacy jak pan” zaliczyło posła Mularczyka i każdego, kto upomina się o reparacje, do kategorii osób intelektualnie marnych, moralnie niskich i emocjonalnie niebezpiecznych. Ambasador Niemiec zepchnął ważny problem w sferę rzeczy paskudnych i moralnie nagannych. Takich, o których nie wypada nawet wspominać, bo od razu jest się stronnikiem Putina.

Sekretarz stanu i szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta RP Marcin Przydacz, obnażył butę niemieckiego ambasadora: „Jeśli coś pomagało Putinowi przez całe lata, to istnienie gazociągów Nord Stream I i II, którego tak zdecydowanie bronił Pan Ambasador (wtedy jako wiceminister) podczas kilku naszych oficjalnych rozmów. Proszę więc uprzejmie powstrzymać się od korzystania z tego argumentu”. Przydacz dodał jeszcze: „Jeśli zaś chodzi o podziały, to nic tak Polaków nie łączy, jak reakcja na niemieckie besserwisserstwo. [...] Ten Raport istnieje i będzie wpływał na kształt relacji polsko-niemieckich, dopóki Niemcy nie rozliczą się w pełni ze zbrodni i zniszczeń, jakich dopuściły się na moim Narodzie i Państwie”.

Na połajanki ambasadora Niemiec zareagował też Marek Magierowski, były ambasador Polski w Izraelu i USA: „Stronię od komentowania wypowiedzi ambasadorów akredytowanych w Warszawie. Jednak tutaj zostały przekroczone pewne granice. Najwyższy przedstawiciel obcego państwa nie może zwracać się do polskiego europosła w taki sposób. A ujęcie słowa »raport« w cudzysłów budzi moje oburzenie”.

„Ambasador III Rzeszy von Moltke nigdy by sobie nie pozwolił na takie chamstwo. Piszę to jako konsultant biografii tego dyplomaty” – stwierdził na platformie X historyk prof. Stanisław Żerko. „Teutoni już tak bardzo czują się pewni siebie w Warszawie, że raport o polskich stratach podają jako »raport«? Chcecie to kwestionować?” – dodał w kolejnym wpisie. „Lepiej zamilknąć mądrze, niż wypisywać kłamstwa. Kompletna żenada i brak wyczucia. Powinien Pan przeprosić za takie haniebne słowa!” – ocenił były premier Mateusz Morawiecki. Znany adwokat Bartosz Lewandowski też zareagował na słowa ambasadora Niemiec: „Luter, Fryderyk II, Marks, Wilhelm II, Hitler, Marcuse. Takie to »mocarstwo moralne« pouczające wszystkie narody. Od 150 lat nic się nie zmieniło – zawsze i wszędzie muszą panować w Europie i podpalać ją na różne sposoby”.

Do słów Bergera odniósł się też Michał Dworczyk, szef kancelarii premiera Mateusza Morawieckiego: „Panie Ambasadorze Niemiec, doskonale Pana zapamiętałem i pańską butę podczas Szczytu Inicjatywy Trójmorza w Lublanie w 2019 r. Gdy podczas panelu wszedł Pan między innymi w ostry spór z Sekretarzem [ds. energii Rickiem] Perrym i bronił Pan Nord Stream jak niepodległości. Krytykował Pan sankcje nałożone na Rosję, bo uważał Pan, że współpraca energetyczna z Rosją jest

Fot. Liudmyla Skwarczyńska, Shutterstock, Piotr Molecki/East News, PAP, AP/EAST NEWS

eprasa.pl b3ca89e6a7

dla Europy konieczna i korzystna. I dziś ma Pan czelność pouczać Polaków i pisać o Putinie?".

Były minister spraw zagranicznych Szymon Szynkowski vel Sęk tak odpowiedział Niemcowi: „Opisywanie tych, którzy domagają się słusznego rozliczenia nierozliczonych win, mianem osób, które pomagają Putinowi, jest nie tylko absurdalne, ale i nie przysparza Niemcom zrozumienia i przyjaciół. Ja również domagam się takiego rozliczenia win".

POWRÓT DO XVIII w.

Miguel Berger urodził się w Madrycie. Studiował ekonomię, a w 1988 r. dołączył do niemieckiej służby dyplomatycznej. W latach 1997–1999 pracował jako doradca w Wydziale Spraw Parlamentarnych i Gabinetowych w Bonn, a następnie pełnił funkcję zastępcy szefa tego samego wydziału w Berlinie. Stamtąd przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie do 2004 r. pełnił funkcję zastępcy szefa Wydziału Ekonomicznego w Stałym Przedstawicielstwie przy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Od czerwca 2010 r. do lipca 2013 r. był zastępcą szefa Stałego Przedstawicielstwa przy ONZ w Nowym Jorku.

Za kadencji ministra spraw zagranicznych Heiki Maasa (SPD) został sekretarzem stanu i odpowiadał za dwa departamenty polityczne, a także politykę europejską, azjatycką i pacyficzną. W grudniu 2021 r. minister spraw zagranicznych Annalena Baerbock odwołała Bergera z tego stanowiska. Potem został ambasadorem w Wielkiej Brytanii, a w sierpniu 2025 r. objął stanowisko ambasadora w Polsce. Nic nie wskazywało na to, że przebije swoich najgorszych poprzedników w Warszawie, a jednak mu się udało.

Ambasador Berger zachowuje się w Polsce tak, jakby nie znał Konwencji wiedeńskiej o stosunkach dyplomatycznych z 1961 r. W niej, w art. 3 ust. 1, zapisano takie m.in. funkcje misji dyplomatycznej: „a) reprezentowanie państwa wysyłającego w państwie przyjmującym; b) ochronę w państwie przyjmującym interesów państwa wysyłającego i jego obywateli, w granicach ustalonych przez prawo międzynarodowe; […] d) zaznajamianie się wszelkimi legalnymi sposobami z warunkami panującymi w państwie przyjmującym i z rozwojem zachodzących w nim wydarzeń oraz zdawanie z tego sprawy rządowi państwa wysyłającego; e) popieranie przyjaznych stosunków pomiędzy państwem wysyłającym a państwem przyjmującym". W art. 41 konwencji zapisano: „Bez uszczerbku dla ich przywilejów i immunitetów obowiązkiem wszystkich osób korzystających z tych przywilejów i immunitetów jest szanowanie ustaw i innych przepisów państwa przyjmującego. Mają one również obowiązek nie mieszać się do spraw wewnętrznych tego państwa".

> Przed Bergerem było w Warszawie 11 ambasadorów Niemiec i prawie wszyscy raczej zaogniali wzajemne relacje, niż czynili je lepszymi. I żaden nie uznał polskich praw do reparacji, a niektórzy zachowywali się tak, jakby Polska była niemiecką kolonią

Zawodowemu dyplomacie, jakim jest Berger, chyba brakuje też historycznej wiedzy. W przeszłości ambasadorowie Prus w Polsce interweniowali, by podporządkować Rzeczpospolitą pruskim interesom i wyraźnie knuli przeciw niej, zwłaszcza w XVIII w., np. Johann Ernst von Wallenrodt, Gédéon de Benoît, Friedrich Blanchot, Ludwig Heinrich von Buchholtz czy Karl Friedrich Hoffmann (właściwie rezydent pruski w Polsce).

Ambasador Berger może zachowywałby się inaczej, gdyby wiedział, co przeciw Rzeczypospolitej robił Nikołaj Repnin, kierujący ambasadą Rosji w Warszawie w latach 1764–1769. Doprowadził on m.in. do zawiązania innowierczych konfederacji, które eskalując konflikt wokół równouprawnienia dysydentów, wywołały głęboki kryzys polityczny. Do XVIII-wiecznych wzorców nawiązali ambasadorowie namiestnicy ZSRR w PRL, m.in. Wiktor Lebiediew, Arkadij Sobolew, Gieorgij Popow, Piotr Abrasimow czy Boris Aristow. Czy Berger chce być do nich porównywany?

CIEŃ III RZESZY

W latach 2020–2022 ambasadorem Niemiec w Polsce był Arndt Freytag von Loringhoven. W wywiadzie dla „Deutsche Welle" (28 stycznia 2024 r.) tłumaczył się z tego, że jego ojciec był majorem Wehrmachtu i służył jako adiutant szefów Sztabu Generalnego Heinza Guderiana oraz Hansa Krebsa. Twierdził, że informacje o tym zostały w Polsce „celowo zinstrumentalizowane przez prawicową prasę i prawicowych polityków". Wskazał, że „bliski krewny jednego z poprzedników w Warszawie, Rüdigera von Fritscha [ambasadora w Polsce w latach 2010–2014] był szefem dowództwa armii za czasów Hitlera, trzygwiazdkowym generałem, zagorzałym nazistą i poległ pod Warszawą [Werner von Fritsch, kierujący działaniami na froncie, zmarł w wyniku polskiego ostrzału 22 września 1939 r. na Zaciszu]".

Von Loringhoven opowiadał bajki o ojcu jako przeciwniku Hitlera: „Mój ojciec był jednym z tych w Wehrmachcie, którzy od początku krytycznie odnosili się do ideologii nazistowskiej i hitlerowskiej. Ale pomimo tego wewnętrznego dystansu funkcjonował w Wehrmachcie. Nie rozumiałem, jak można reprezentować taką postawę: nie walczę za Hitlera, ale za Niemcy; moim patriotycznym obowiązkiem jako żołnierza jest walczyć za mój kraj i za moich towarzyszy".

Von Loringhoven grał rolę dobrego Niemca: „Odwiedziłem Michniów, miejsce upamiętniające 800 polskich wsi, które zostały całkowicie zniszczone, co ma zupełnie wyjątkowy wymiar w porównaniu z tym, co robili inni

eprasa.pl b3ca89e6a7

najeźdźcy. Albo Palmiry, które symbolizują wymordowanie wielu tysięcy członków polskiej elity". Niemiecki ambasador zapewniał: „Moim celem było przyczynienie się do szczerego i otwartego dialogu między Polakami i Niemcami, zwłaszcza w najtrudniejszych kwestiach. [...] Dotyczy to również przeszłości, takiej jak rola Wehrmachtu czy kwestia reparacji".

Polskie władze początkowo odmówiły Freytagowi von Loringhovenowi udzielenia agrément. „Rzeczpospolita" podała, że istniały zastrzeżenia ze względu na rolę jego ojca w II wojnie światowej. „Gazeta Wyborcza" twierdziła z kolei, że Jarosław Kaczyński uznał za prowokację kanclerz Angeli Merkel to, żeby wysłać syna oficera Wehrmachtu, który służył w bunkrze führera do samego końca, do Warszawy jako ambasadora. „GW" stwierdziła jednak, że Freytag był uważany za „jednego z najlepszych dyplomatów" w Berlinie i że jego przydział do Warszawy poprawi stosunki niemiecko-polskie. Nie poprawił, mimo krytykowania przez niego polityki Angeli Merkel, którą nazwał „katastrofą". Ostro jednak atakował żądania reparacyjne Polski, argumentując, że „ogromne straty terytorialne, jakie Niemcy poniosły po wojnie na korzyść Polski, w ogóle nie zostały uwzględnione w Warszawie".

Rüdiger von Fritsch, ambasador Niemiec w Polsce w latach 2010–2014, to bratanek generała Wernera von Fritscha. Już w latach 1986–1989 pełnił funkcję doradcy politycznego w ambasadzie Niemiec w Warszawie, gdzie do jego obowiązków należało utrzymywanie kontaktów z opozycją, zwłaszcza z Solidarnością. W latach 2004–2007 był wiceszefem Federalnej Służby Wywiadowczej. Po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r. i okupacji południowo-wschodniej Ukrainy jego zadaniem było „przekazywanie niemieckiego i europejskiego stanowiska prezydentowi Putinowi i jego rządowi przy jednoczesnym utrzymywaniu dialogu ze wszystkimi segmentami rosyjskiego społeczeństwa". Rosyjski pisarz Wiktor Jerofiejew określił go później jako „wybitnego dyplomatę".

Po von Fritschu ambasadorem w Warszawie został Rolf Nikel i był nim do 2020 r. W latach 1982–1983 pracował w dziale ZSRR w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Bonn. W latach 1983–1986 był pracownikiem ambasady w Moskwie. W 2020 r. został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej przez prezydenta Andrzeja Dudę.

Głośnym urzędnikiem i dyplomatą, ale nie podczas misji w Polsce, był Frank Elbe (ambasador w Warszawie w latach 1999–2003). W latach 1972–1976 był konsulem w ambasadzie Niemiec w Warszawie. Według informacji „FAZ" w 2018 r. w e-mailu do polityków i ośrodków analitycznych Elbe promował projekt Nord Stream II.

> Marcin Przydacz obnażył butę niemieckiego ambasadora: „Jeśli coś pomagało Putinowi przez całe lata, to istnienie gazociągów Nord Stream I i II, którego tak zdecydowanie bronił Pan Ambasador (wtedy jako wiceminister) podczas kilku naszych oficjalnych rozmów"

NIJACY I OBOJĘTNI

Pierwszym ambasadorem Niemiec w III RP był Günter Knackstedt (1989–1992). W 1949 r. został skazany przez sowiecki sąd wojskowy na pięć lat pozbawienia wolności za „antyradziecką propagandę" i osadzony w więzieniu w Budziszynie. Po zwolnieniu uciekł do Niemiec Zachodnich, studiował ekonomię, nauki polityczne, prawo międzynarodowe i historię, a następnie pracował jako dziennikarz. W 1961 r. wstąpił do służby zagranicznej. Knackstedt patronował „kiczowi pojednania" polsko-niemieckiego w latach 1989–1990. Zastąpił go Franz Bertele, ambasador w Warszawie w latach 1992–1993. Od 1977 do 1980 r. pracował w Urzędzie Kanclerskim, a od 1980 do 1988 r. – w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Był czwartym i ostatnim szefem Stałego Przedstawicielstwa Republiki Federalnej Niemiec w NRD. W latach 1996–2005 Bertele przewodniczył Stowarzyszeniu na Rzecz Promocji Muzeum Historii Żydów Polskich. Po Bertelem ambasadorem w Warszawie został Johannes Bauch (1993–1999), w niemieckiej służbie zagranicznej od 1965 r. Już w latach 1986–1991 pracował w ambasadzie Niemiec w Warszawie. Był członkiem zarządu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej, a w latach 2003–2008 – członkiem Fundacji Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość.

Ambasadorami Niemiec w Warszawie byli jeszcze w Reinhard Schweppe (2003–2007), Michael Gerdts (2007–2010), Thomas Bagger (2022–2023), po nim zaś, a przed Bergerem – Viktor Elbling (2023–2025). W latach 2011–2012 Schweppe był przewodniczącym Rady Zarządzającej Komisji ds. Odszkodowań Narodów Zjednoczonych (UNCC). O odszkodowaniach dla Polski nie wypowiedział się nigdy. Podobnie jak Michael Gerdts i Thomas Bagger, który miał w niemieckim MSZ duże wpływy: był autorem przemówień ministrów Klausa Kinkela i Joschki Fischera, szefem gabinetu ministra Guida Westerwellego, a potem pracował w kancelarii prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera. Z kolei Viktor Elbling nie szkodził polsko-niemieckim relacjom, ale też im nie pomagał.

III RP nie miała szczęścia do niemieckich ambasadorów, przy czym ten obecny, Miguel Berger, wydaje się najgorszy. Za najlepszego można uznać Rolfa Nikela. Ogólnie niemieccy dyplomaci byli w Polsce raczej „ambasadorami diabła", czasem przypominającymi tych z XVIII w., którzy woleli być nad Wisłą namiestnikami.

eprasa.pl b3ca89e6a7

Kolekcjonerzy kości

Dom Aukcyjny Ulrich Felzmann wystawił na sprzedaż makabryczną kolekcję, utkaną z cierpienia polskich i żydowskich ofiar niemieckich zbrodniarzy z czasu II wojny światowej



MAGDALENA OGÓREK

16 listopada 2025 r. Polską wstrząsa skandal. Oto jeden z dziennikarzy odkrywa, że niemiecki Dom Aukcyjny Ulrich Felzmann wystawił na sprzedaż makabryczną kolekcję, utkaną z cierpienia polskich i żydowskich ofiar. Na sprzedaż trafiły obozowe akty zgonu, listy, które nigdy nie dotarły do adresatów, odarte z nadziei rysunki pomordowanych w niemieckich komorach gazowych. Na merkantylną potrzebę chwili przedmioty te nazwano „pamiątkami".

By zrozumieć, jak w 2025 r. mogło dojść do tak niebywałego skandalu, należy się cofnąć w czasie.

W maju 1945 r., zaraz po kapitulacji Niemiec, świat natychmiast wszedł w nową rzeczywistość. Nikt nie chciał rozmawiać na temat okropnych spraw z nieodległej przeszłości. Bardzo szybko ustalono, że za zbrodnie II wojny światowej odpowiada Adolf Hitler i garstka osób, stracona później w Norymberdze. Tysiące szeregowych esesmanów biorących udział w masowej machinie niemieckiego terroru niszczyło swoje papiery, fałszowało daty urodzenia, chowając tatuaż z grupą krwi pod rękawem. Bywało, że zbrodniarze zjawiali się w urzędach jako ofiary hekatomby lat 1939–1945.

Świat wkroczył w erę zimnej wojny, służby miały nowe zadania. Wielu morderców uciekło do Argentyny, inni zostali zwerbowani przez służby specjalne.

Pozorną denazyfikację przerwano w 1948 r. Zdarzało się, że ofiary (te, które przeżyły) spotykały na ulicach swoich katów.

Z upływem czasu odpersonifikowano winnych i wprowadzono jedno wspólne określenie: „naziści". Kto mordował w komorach obozów koncentracyjnych? Naziści. Kto wykonywał zbrodnicze eksperymenty na ludziach? Naziści. Kto zrabował bezcenne polskie dzieła sztuki? Naziści. Termin się przyjął i bardzo szybko wrósł w europejską świadomość. Zaczął się okres powojennego budowania kłamstw. Dokumenty świadczące prawdę o zbrodniach powoli pokrywał kurz w czeluściach archiwów.



Przedmioty, które miały być zlicytowane na niemieckiej aukcji



eprasa.pl b3ca89e6a7

NIKT O NIC NIE PYTAŁ

Dawni esesmani masowo wtopili się w niemiecką machinę urzędniczą, pseudomedycy, do niedawna wykonujący zbrodnicze eksperymenty w obozach koncentracyjnych, zyskali nowe dyplomy. Nikt o nic nie pytał. Kto próbował, natychmiast był skazany infamię i wykluczony ze środowiska.

Ci, którzy w Auschwitz zszywali bliźnięta plecami, po wojnie prowadzili prywatne praktyki lekarskie i cieszyli się powszechnym szacunkiem.

Josef Mengele do 1960 r. bez żadnych przeszkód odwiedzał swoją rodzinę w miejscu jej zamieszkania. Kurt Blome (prowadził prace nad bronią bakteriologiczną z wykorzystaniem więźniów niemieckiego obozu Auschwitz-Birkenau na terenie okupowanej Polski) rozpoczął nowe życie w Stanach Zjednoczonych. Wielu innych sadystów weszło w struktury policji, rozmaitych urzędów, służb, dbając o to, by skala kompromitującej prawdy nigdy nie wyszła na jaw. Procesy oświęcimskie, które ruszyły w Niemczech w latach 60., zszokowały niemiecką opinię publiczną. Niemcy byli zaskoczeni. Przyjęto przecież, że za wszystko odpowiadał Hitler, a współwinnych rozliczyła Norymberga. Prokurator Franz Bauer, który zaczął ścierać skorodowany nalot niepamięci z sumień Niemców, stał się persona non grata i wytykano mu żydowskie pochodzenie. Przecież wielu zbrodniarzy wojennych było już wówczas prominentnymi politykami, reprezentującymi niemieckie demokratyczne państwo.

Np. kat warszawskiej Woli Heinz Reinefarth został burmistrzem wyspy Sylt. Śmiejący się w twarz izraelskim prokuratorom Iwan Demianiuk, winny współudziału masowej zagłady Żydów w Sobiborze, dokończył żywota w bawarskim domu spokojnej starości w 2012 r. Aleksandras Lileikis, odpowiadający za rozstrzelanie tysięcy Żydów na Liwie, dożył spokojnej emerytury w Bostonie. Austriak Alois Brunner, poszukiwany za zbrodnie ludobójstwa, dożył 2005 r. w Damaszku. W ostatnich latach życia był ekspertem prezydenta Baszszara al-Asada od technik tortur i represji na więźniach politycznych. W jednym z miejsc na mapie ucieczki od sprawiedliwości pomogli mu Żydzi, nieświadomi, kogo ukrywają. „Mili ludzie" – pisał o nich Brunner w jednym z listów. – „Okazuje się, że jednak nie zabiliśmy wszystkich".

NOWY PORZĄDEK

W takim świecie, spowitym mgłą powojennych kłamstw, wykuwał się nowy porządek prawny: nowe ustawy uchwalono w tak przemyślny sposób, że to ofiary miały udowodnić winę sprawcom. W tworzeniu nowego prawa prym wiodły Niemcy i Austria – ich magazyny muzealne były pełne bezcennych dzieł sztuki zrabowanych na terenach okupowanych (największego rabunku dokonano w Polsce), a szuflady wielu Niemców i Austriaków wypełniały dokumenty ofiar obozów koncentracyjnych.

> To poszkodowany miał udowodnić złodziejowi, że obraz wiszący w niemieckiej galerii należał do mamy, którą niemiecki oprawca zabił zastrzykiem z fenolu

W myśl nowo przyjętych rozwiązań to ubiegające się o zwrot ograbione muzea miały dowieść swojego stanu posiadania sprzed wojny – chociaż Niemcy, rabując, zadbali, by spalić wszelkie inwentarze. To poszkodowany miał udowodnić złodziejowi, że obraz wiszący w niemieckiej galerii należał do mamy, którą niemiecki oprawca zabił zastrzykiem z fenolu. W praktyce była to wtórna wiktymizacja – ofiary zostały skrzywdzone podwójnie: najpierw przez niemiecki aparat nazistowski, następnie przez sankcjonującą grabieżczy proceder legislację.

Nowo uchwalone prawo międzynarodowe prywatne szło w sukurs katom. Po latach okazało się, jak daleko idące konsekwencje miał ten proceder.

Dodatkowo zarówno Niemcy, jak i Austria zadbały o tzw. zasiedzenie: po 30 latach od wojny można było bez obaw rozpocząć handel zrabowanymi dziełami sztuki czy „pamiątkami" należącymi do pomordowanych.

W ten sposób w latach 80. XX w. gdzieniegdzie na aukcjach antykwarycznych czy w dużych domach aukcyjnych na terenie Niemiec i Austrii zaczęły się pojawiać polskie straty wojenne, figurujące na oficjalnych listach Ministerstwa Kultury. Jakież było zdumienie pracownicy Muzeum Narodowego z Warszawie, gdy odkryła, że okładkę katalogu dużego domu aukcyjnego Villa Grisebach zdobiła „Murzynka" Anny Bilińskiej-Bohdanowiczowej, wybitnej polskiej malarki. Zaalarmowane ministerstwo natychmiast podjęło działania restytucyjne. „Murzynka" widniała na polskiej liście strat (dziś ze względu na poprawność polityczną obraz nosi tytuł „Portret kobiety", zmiany dokonano pięć lat temu). Szok był ogromny: Niemcy z butą i arogancją umieścili na okładce księgi sprzedaży cenny polski obraz, który zrabowali podczas II wojny światowej – zrobili to z pełną świadomością, wiedząc, że prawo stoi po ich stronie. Państwo polskie zdążyło w ostatnim momencie – sytuację uratował fakt, że w przypadku „Murzynki" muzeum dysponowało zdjęciem i dokumentacją potwierdzającą polską proweniencję obrazu. W przeciwnym wypadku dzieło trafiłoby pod młotek. W 2012 r. obraz wrócił do Polski.

W innych wypadkach nie było już tak łatwo. Za „Pomarańczarkę" Gierymskiego Polska musiała zapłacić złodziejom (Niemcom). Osoba sprzedająca zrabowany w Warszawie obraz powołała się bowiem – zgodnie z niemieckim prawem – na zasiedzenie.

Równolegle na oczach opinii publicznej dokonywało się odwracanie znaczenia pojęć. Coraz częściej pojawiały się „polskie obozy koncentracyjne" (tego sformułowania użył nawet prezydent Stanów

eprasa.pl b3ca89e6a7



Zjednoczonych Barack Obama), a telewizje publiczne wyświetlały seriale, w których oprawcą Żyda zawsze był Polak. Po 2000 r. w Niemczech zaczęły się pojawiać publikacje o niemieckich ofiarach „systemu nazistowskiego". Rozpoczęła się zakrojona na szeroką skalę największa semantyczna inżynieria w dziejach: oto skutecznie zaczęto przeprowadzać proceder zamiany kata z ofiarą.

BEZUŻYTECZNY BALAST RODZINNEJ PRZESZŁOŚCI

Wreszcie przyszedł moment, gdy wyjęto z szuflad dokumenty obozowe tych, którzy już nie żyli. Na stronach internetowych niemieckich domów antykwarycznych zaczęły się pojawiać dokumenty pomordowanych więźniów niemieckich obozów, listy ofiar, które nigdy nie dotarły do adresata czy osobiste pamiątki, odebrane zmarłym jeszcze za życia. Przedmioty wystawiane na sprzedaż wskazywały, że właścicielem był sam zbrodniarz lub dzieci, które po latach zdecydowały się spieniężyć bezużyteczny balast świadczący o niechlubnej rodzinnej przeszłości.

Wpierw „zbadano teren" (przedmioty należące do Polaków i Żydów zaczęły się pojawiać na aukcjach niejako sygnalnie, transakcje odbywały się bez większego echa), ale po 2020 r. proceder ten zaczął być uprawiany na znacznie szerszą skalę. Aukcja Domu Ulrich Felzmann jest najlepszym dowodem na to, że Niemcy – ośmielone ogólnym przyzwoleniem i uśpione tym, iż w Polsce nie rządzi już ekipa, która jasno domagała się reparacji wojennych – całkowicie straciły czujność. W sytuacji politycznej, w której minister rządu państwa-ofiary używa sformułowania „polscy naziści", dawny oprawca zawsze skorzysta z okazji i sprawdzi, jak daleko może się posunąć.

Żniwa zbiera też polityka III RP nastawiona na „karmienie" polskich historyków przekonaniem, by w swoich badaniach nie dotykać tematyki II wojny światowej. Nie dziwi zatem, że wystawioną na aukcję kolekcję śmierci 16 listopada zauważył i nagłośnił nie historyk, lecz dziennikarz – Cezary Gmyz. Wybuchł skandal – oburzeni Polacy zaczęli się masowo logować na stronę Domu Aukcyjnego Ulrich Felzmann. Internet zalały zdjęcia aktów zgonu Polaków – więźniów obozów koncentracyjnych, listów dzieci, obozowych rysunków ofiar. Oburzenie było ogromne. Tym, co uderzyło polską opinię publiczną, była całkowita abdykacja władz w zakresie monitorowania takich aukcji. Rząd wyręczył dolnośląski biznesmen Radosław Tadajewski. Za pośrednictwem mec. Bartosza Lewandowskiego skierował do domu aukcyjnego pismo z żądaniem natychmiastowego odwołania aukcji i propozycją wykupu makabrycznej kolekcji – by przekazać ją polskim muzeom.

Jeszcze tego samego dnia zaplanowana na 17 listopada 2025 r. aukcja została odwołana. Dopiero po tych działaniach głos zabrała minister kultury Maria Cienkowska, deklarując interwencję polskiego urzędu po stronie niemieckiej.

KTO UKRYWA SIĘ W CIENIU?

W całej tej sprawie zastanawia coś jeszcze: kto ukrywa się w cieniu. Kto jest właścicielem splamionej krwią polskich ofiar kolekcji? W związku z tym Fundacja Polish Lost Art, której jestem prezesem, skierowała do Domu Aukcyjnego Ulrich Felzmann wiele pytań, m.in. o to, skąd pochodzą należące do polskich i żydowskich ofiar terroru niemieckiego dokumenty z okresu II wojny światowej, które zostały przekazane do sprzedaży. Czy należą do jednego właściciela? Jeśli tak, to czy stanowią część większej kolekcji? Jak dom aukcyjny weryfikował ich pochodzenie i przede wszystkim czy sprawdzał, w jaki sposób właściciel wszedł w posiadanie dokumentów będących bezpośrednim dowodem zbrodni i czy stało się wskutek jego własnej lub przodka zbrodniczej działalności na terenie okupowanej Polski w latach 1939–1945?

Odpowiedź, która nadeszła, była nader enigmatyczna i nie zawierała słowa „przepraszam". Właściciele domu aukcyjnego oznajmili, że „jakaś część należała do potomków ofiar" (czy państwo, nasi czytelnicy, sprzedaliby na aukcji akt zgonu babci lub matki?), a jej duża część „pochodzi z prywatnej kolekcji badawczej, która miała zostać sprzedana".

Tyle że jako doktor nauk humanistycznych, od 15 lat prowadzący działalność naukowo-badawczą, nie poznałam żadnego naukowca, który sprzedałby swe zbiory. Dlatego do analizy tej sprawy należy przyjąć inną optykę i przypomnieć, że badaczem był też prof. Hubertus Strughold – ani jeden więzień z obozu Gross-Rosen nie przeżył jego eksperymentów. Strughold zostawił po sobie aparat naukowy w postaci makabrycznego zapisu doświadczeń na ludziach. W związku z tym kontekstem Polish Lost Art Foundation skieruje dalsze zapytania w tej sprawie.

Tym, co w całej tej sprawie uderza najbardziej, jest fakt, że właściciele Domu Aukcyjnego Ulrich Felzmann nie dostrzegają moralnie nagannego wymiaru swojego działania. W 2025 r., dokładnie 80 lat po wojnie, pewność Niemców, iż zatarła się już ich ludobójcza sprawczość, jest tak ogromna, że w nadesłanej do fundacji odpowiedzi byli w stanie napisać: „Po analizie prawnej wszystkich okoliczności nie uważamy za nie w porządku, że ludzie decydują się sprzedać takie przedmioty zamiast przekazać w darowiźnie".

Widać zatem, że jeżeli przestaniemy reagować, to za 20 lat obudzimy się w świecie nieodwracalnie przestawionych pojęć – dojdzie do domknięcia procederu zamiany kata z ofiarą, a Polacy, ongiś oddający swoje życie za Żydów, będą oskarżani o zbrodnie II wojny światowej. Naszym obowiązkiem jest walczyć o prawdę historyczną z całych sił.

W całej tej bolesnej aukcyjnej historii sprawcom umknęło zaś jedno: wystawiając na sprzedaż makabryczną kolekcję śmierci, oficjalnie przyznali – naziści to Niemcy.

eprasa.pl b3ca89e6a7

Bezradni wobec dywersji





Polska jest bardzo łatwym celem dla rosyjskich działań dywersyjnych. Potwierdza to eksplozja na linii kolejowej Warszawa–Lublin i reakcje na nią. Nasz kraj pozostaje łatwym celem nie dlatego, że jest słabo przygotowany, lecz dlatego, że Polską rządzą ludzie niekompetentni. Co gorsza, dla obecnej władzy priorytetem jest walka z opozycją, a nie obrona kraju przed rosyjskim zagrożeniem

„Jeżeli chodzi o to, w jaki sposób zadziałał ten ładunek wybuchowy, mieliśmy bardzo, bardzo duże szczęście” – powiedział w wywiadzie telewizyjnym minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński. Niewątpliwie w przypadku dywersji na torach kolejowych we wsi Mika było więcej szczęścia niż rozumu. Eksplozja na zakręcie ważnej magistrali, na wysokim nasypie, mogła się zakończyć straszną katastrofą kolejową. A przebieg wypadków – od eksplozji przez odkrycie jej skutków po zmieniające się komunikaty władzy – był przerażającą tragikomedią.

Wybuch, który usłyszeli mieszkańcy wsi w sobotni wieczór, był tak silny, że zadrżały budynki. „Huk był okropny” – jak opowiadają świadkowie. I co? I nic! Przez wyrwany fragment torów przejechało kilka pociągów. Dopiero po wielu godzinach uszkodzenie zauważył maszynista kolejnego składu. Gdyby nie on, władze i odpowiednie służby dalej nic by o tym



PIOTR GURSZTYN

nie wiedziały. A następnym rozdziałem tego zawstydzającego widowiska była kakofonia sprzecznych sygnałów.

Rzecznik specsłużb atakujący i obrażający miejscową starostę tylko dlatego, że jest ona z PiS – choć szybko się okazało, że lokalna polityk powiedziała wszystko zgodnie z prawdą. Rzeczniczka MSWiA oświadczająca, że nie była to dywersja dosłownie w tym samym momencie, gdy szef rządu informował, że był to celowy atak. A na koniec wicepremier Krzysztof Gawkowski, człowiek odpowiadający m.in. za cyberbezpieczeństwo i walkę z dezinformacją, opowiadający w mediach farmazony o kradzieży torów i „nowoczesnym challenge'u”.

Inspiratorzy zamachu – ślady niewątpliwie prowadzą do Rosji – mieli bardzo dobry dzień, obserwując to, co się dzieje w Polsce. To, jak reagują jej najwyższe władze i kierownicy odpowiednich służb. Przy czym wiadomo, że nie był to pierwszy taki przypadek w naszym kraju. Były już podpalenia, a także inne, liczne – jak wynika z wypowiedzi koordynatora służb specjalnych Tomasza Siemoniaka – próby dywersji i sabotażu. Także na kolei, z najbardziej znanym przypadkiem, czyli celowym odczepieniem 20-tonowego wagonu w Katowicach. Mimo to mamy obraz władz bezradnych jak dziecko w mgle.

NIEUDOLNOŚĆ I NIEKONSEKWENCJA

Aby zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, trzeba się cofnąć w czasie. W święto narodowe 11 listopada prezydent Karol

eprasa.pl b3ca89e6a7

Nawrocki nadaje najwyższe odznaczenie Andrzejowi Poczobutowi. W tym samym czasie trwają zapowiedziane przez samego premiera Donalda Tuska przygotowania do otwarcia przejść granicznych z Białorusią. Jedno z nich – Bobrowniki – zostało zamknięte w reakcji na skazanie Poczobuta na osiem lat uwięzienia w kolonii karnej o zaostrzonym rygorze. W sobotę 15 listopada wybuchają tory pod Garwolinem. W poniedziałek 17 listopada dwa przejścia graniczne zostają otwarte jak gdyby nigdy nic. Łukaszenkowska propaganda trąbi o tym jako o wielkim sukcesie świadczącym, że nie ma żadnej międzynarodowej izolacji białoruskiego reżimu. Dodajmy do tego wiadomości z tego samego czasu, że prezydent RP, zwierzchnik sił zbrojnych i konstytucyjny strażnik bezpieczeństwa kraju, jest całkowicie odcięty od informacji ze służb specjalnych i formacji podległych MSWiA. Jaki to sygnał dla Rosji i jej sojusznika Łukaszenki? W najlepszym przypadku znak braku koordynacji i współpracy najwyższych organów państwa polskiego, a w istocie dowód na to, że priorytetem dla Donalda Tuska jest walka wewnętrzna, a nie zagrożenie ze Wschodu.

I drugi ciąg zdarzeń. W nocy z 9 na 10 września nad teren Polski wleciało kilkadziesiąt rosyjskich dronów. Dwa dni później na forum ONZ wiceminister spraw zagranicznych Marcin Bosacki ostro krytykował Rosję. Przy okazji wyszło na jaw, że pojechał do Nowego Jorku nieprzygotowany, co skończyło się kompromitacją w sprawie odpowiedzialności za zniszczenie domu w Wyrykach.

22 września w związku z naruszeniem estońskiej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie lotnictwo szef MSZ Radosław Sikorski groził zestrzeliwaniem rosyjskich samolotów: „Jeśli kolejna rakieta lub statek powietrzny zostanie zestrzelony, nie przychodźcie tu ze skargami. Zostaliście ostrzeżeni".

Premier Tusk też wtedy mówił, że rosyjskie drony i myśliwce będą „bezdyskusyjnie" zestrzeliwane. Słowa były srogie, ale nie czyny. I nie chodzi o to, że żaden rosyjski dron lub samolot nie został zestrzelony. Dokładnie tydzień po tych gromkich zapowiedziach polskie służby na żądanie strony niemieckiej aresztowały ukraińskiego nurka oskarżonego o udział w zniszczeniu niesławnego gazociągu Nord Stream 2. Przy okazji wydało się, że również na żądanie Niemiec polscy funkcjonariusze przeszukali jego dom, skonfiskowali sprzęt nurkowy i przekazali go stronie niemieckiej. Premier przez wiele dni milczał w tej sprawie. Zniknął również gromowładny minister Sikorski. Tusk odezwał się dopiero wtedy, gdy zobaczył, jak negatywnie odebrała to polska opinia publiczna.

Dodajmy jeszcze to, że w październiku polskie władze zezwoliły – niejako w nagrodę za działania dywersyjne – na uruchomienie kursów autobusowych z Kaliningradu do Warszawy. Rosyjskie media były zachwycone, bo stało się to teraz, gdy mała Litwa wprowadza niemal całkowitą blokadę tranzytu do obwodu królewieckiego. Warto też dodać, że z tych połączeń w ogóle nie korzystają Polacy. Korzyść mają wyłącznie obywatele Rosji – zwłaszcza spora grupa z podwójnym, rosyjskim i niemieckim, obywatelstwem.

Do Rosji non stop idą sygnały świadczące o nieudolności i niekonsekwencji polskich władz. Wątpliwe, aby ktoś tam brał na poważnie gromkie ostrzeżenia i zapowiedzi ścigania sprawców aktów wrogich wobec naszego państwa.

W poniedziałek, gdy rząd przeżywał wzmożenie dywersją pod Miką, wystąpił też minister sprawiedliwości. Zapowiedział, że winnym grożą surowe kary. Przywołał przepis Kodeksu karnego, który przewiduje sankcję za dywersję od minimum 10 lat więzienia aż po dożywocie. „Prokuratura będzie bezwzględnie ścigać tego typu akty" – zapowiedział Waldemar Żurek. Brzmi groźnie, ale to znowu tylko słowa.

Jak zauważył na portalu InfoSecurity24 były oficer kontrwywiadu płk Adam Jawor, „niepokojący jest rozdźwięk między skalą zagrożenia a realną odpowiedzią systemu państwa". Pułkownik przypomniał, że zapadły już pierwsze wyroki za akty dywersji, głównie podpalenia. Winni zostali skazani na 5,5 roku, 2,5 roku oraz 1 rok i 4 miesiące więzienia. W innej sprawie w apelacji kara została obniżona do 3 lat. „Dla rekrutowanego przez internet wykonawcy kilka lat pozbawienia wolności w zamian za kilkanaście tysięcy euro bywa ryzykiem akceptowalnym – zwłaszcza jeśli wierzy, że szansa wykrycia jest niewielka" – napisał płk Jawor.

Tak samo groteskowo brzmią dziś słowa Żurka o tym, że „nie będzie miejsca na ziemi", gdzie sprawcy będą mogli się ukryć. Niestety dwóch z nich swobodnie wjechało i wyjechało przez przejście graniczne w Terespolu. Minister sprawiedliwości, który wygraża Zbigniewowi Ziobrze jakimiś „łowcami cieni", w tym przypadku nie okazuje się tak wyrywny.

SILNI WOBEC SŁABYCH

Wygląda na to, że sprawcy rzeczywiście mogą liczyć na niską wykrywalność. Wybuch na torach sprawił, że głośno się zrobiło o zaskakującej sytuacji w sejmowej komisji ds. specsłużb. Trafił do niej projekt budżetu, w którym rząd zaproponował niskie – jak nigdy do tej pory – finansowanie Agencji Bezpieczeństwa Publicznego i Agencji Wywiadu. Komisja w całości odrzuciła ten projekt. „To trudne zagłosować przeciw propozycji własnego rządu, ale pieniędzy jest zbyt mało, by te dwie służby zapewniły bezpieczeństwo Polakom" – mówił poseł z klubu parlamentarnego PSL Marek Biernacki.

Czy nie jest tak, że wynikło to z prawdziwych priorytetów obecnego rządu? Na zwalczanie opozycji nie trzeba tyle pieniędzy, co na ochronę przed zagrożeniami zewnętrznymi. O obecnej władzy można powiedzieć, że skoro jest słaba wobec silnych, to będzie silna wobec słabszych.

Po wykryciu zniszczeń na torach pod Miką premier Tusk wystąpił z apelem o „elementarny patriotyzm", czyli jedność wobec rosyjskiego zagrożenia. A niedługo potem w Sejmie przemawiał Radosław Sikorski z tematem „wagi najwyższej" – jak to ujął. Po dwóch zdaniach okazało się, że „wagą najwyższą" jest dla niego wojna z prezydentem. To stała praktyka obecnego rządu. Najpierw wezwania o jedność i odpowiedzialność, chwilę później agresywne ataki na opozycję. „W PiS i Konfederacji trwa dyskusja, czy drony to prowokacja Ukrainy, polskiego rządu czy pomyłka. Wbrew temu, co mówią polskie służby,

eprasa.pl b3ca89e6a7

wojsko, prezydent i premier. Stają na głowie, by zdjąć z Rosji odpowiedzialność za atak 10 września. Wyobraźmy sobie ich rządy w wypadku agresji" – pisał Donald Tusk 13 września, gdy jako żywo nie było ani jednego tego rodzaju komentarza ze strony PiS.

„Rosyjskie służby chcą rozchwiania naszego społeczeństwa" – stwierdził teraz rzecznik koordynatora ds. służb specjalnych Jacek Dobrzyński. A to także osoba, której obecność w mediach społecznościowych można prędzej nazwać internetowym trollingiem niż budzącą zaufanie pracą rzecznika informującego o pracy strategicznych dla naszego bezpieczeństwa instytucji publicznych. Zresztą za rządów prawicy obecny rzecznik funkcjonował w internecie pod nieprzypadkowym pseudonimem Stumbras (to marka litewskiej wódki) i był autorem agresywnych oraz stronniczych wpisów pod adresem ówczesnej władzy. W tonie odmiennym od jego dzisiejszych apeli.

SŁABOŚĆ SPECSŁUŻB

Służby – te cywilne, czyli ABW i AW – wyglądają na zajęte czym innym niż udziałem w wojnie hybrydowej wypowiedzianej nam przez Rosję. O tym, że jest to nie tylko indolencja ekipy Tuska, lecz także zła wola, świadczy odcięcie konstytucyjnego strażnika bezpieczeństwa kraju, prezydenta Karola Nawrockiego, od informacji niejawnych. Nie dostarczają mu ich specsłużby ani formacje MSWiA. Dzieje się tak od początku kadencji. A w przypadku dywersji, która miała miejsce w sobotni wieczór, szczegółowe informacje dotarły do prezydenta dopiero we wtorek. I to dzięki temu, że przedstawiciel BBN uczestniczył w posiedzeniu rządowego komitetu ds. bezpieczeństwa.

Niestety lista przykładów politycznego wykorzystania specsłużb jest już długa. Widoczne było ich zaangażowanie w czasie kampanii prezydenckiej. Jest wręcz nieprawdopodobne, aby „kwity", które miały uderzać w Karola Nawrockiego jako kandydata, pochodziły ze źródeł innych niż zasoby służb specjalnych. Szczególnie dotyczy to danych, które Nawrocki składał, ubiegając się o certyfikaty dostępu do informacji niejawnych.

Przykładem absurdu była komisja ds. badania wpływów rosyjskich i białoruskich, kierowana przez szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego gen. Jarosława Stróżyka. Powołana z przytupem pochłonęła masę pieniędzy i czasu, a nie przyniosła żadnych konkluzji. Choć może to i lepiej, bo chodziło tam o walkę z szeroko pojętą prawicą, a nie ściganie rosyjskiej agentury.

> Do Rosji non stop idą sygnały świadczące o nieudolności i niekonsekwencji polskich władz. Wątpliwe, aby ktoś tam brał na poważnie gromkie ostrzeżenia i zapowiedzi ścigania sprawców aktów wrogich wobec naszego państwa

Jeśli chodzi o tę agenturę, to obecnej władzy trzeba przypomnieć, że bez żadnych warunków wypuściła autentycznego rosyjskiego szpiega Pawła Rubcowa vel Gonzáleza. Niedługo przed uwolnieniem Rubcow miał okazję zapoznać się z materiałami dotyczącego go śledztwa, łącznie z niejawnymi. Wrócił do Rosji z cennymi informacjami na temat działań i metod naszego kontrwywiadu. Ta bezmyślność powtórzyła się także teraz. „Rzeczpospolita" ujawniła, w jaki sposób polskie służby wpadły na trop domniemanych sprawców kolejowej dywersji. Wygląda na to, że spanikowana z powodu obecnej sytuacji władza postanowiła czym prędzej pochwalić się choćby cieniem sukcesu.

Cały czas bez zakłóceń i całkowicie jawnie propagują swój przekaz ludzie o poglądach skrajnie prorosyjskich. Ich konta na mediach społecznościowych „hulają" od początku agresji Rosji na Ukrainę. „Niesamowite jest to, że Krzysztof Gawkowski i Tomasz Siemoniak nie robią nic w celu zwalczenia rosyjskiej dezinformacji w sieci. Ruscy mają w Polsce eldorado. Dzięki swoim użytecznym idiotom, zdrajcom i botom" – napisał w kontekście dywersji lewicowy aktywista Jan Śpiewak. Pod jego wpisem rozgorzała dyskusja, w której sporo uczestników stwierdziło, że to nie przypadek. Ich zdaniem władza jest zainteresowana obecnością prorosyjskiej propagandy, bo służy jej to do coraz mocniejszego polaryzowania społeczeństwa i paraliżowania merytorycznej krytyki rządu.

Czy są to głosy pozbawione racji? Wicepremier Gawkowski wiele mówi o blokowaniu „nielegalnych" treści w internecie. Prowadzi też prace legislacyjne, które mają to umożliwić. Widać przy tym, że bardziej interesuje go zwalczanie nowych mediów, względem których liberalno-lewicowy establishment jest bezradny, niż obrona przed rosyjską dezinformacją. Nie widać bowiem działań wobec ludzi i kont rozsiewających propagandę rosyjską.

Politycy dzisiejszej opozycji, a także zwolnieni przez obecne władze funkcjonariusze specsłużb, podnoszą też sprawę Pegasusa. Wskazują na szkody, jakie przyniosła rezygnacja z tego systemu operacyjnego, dzięki któremu m.in. został złapany Rubcow. Widać też, że szkody przyniósł wszczęty przez Koalicję Obywatelską szum wokół tego systemu i wyjawienie szczegółów pracy tajnych służb. Słychać o „efekcie mrożącym" wśród pracujących funkcjonariuszy. Wolą oni nie angażować się zbytnio w swoją pracę, bo nie wiedzą, czy nie zostanie to wykorzystane do bieżących rozgrywek politycznych. Obawiają się, że również oni będą ciągani przed rozmaite komisje śledcze lub prokuraturę.

Może więc inaczej trzeba rozumieć słowa Donalda Tuska o tym, że żyjemy w „czasach przedwojennych"? Czy chodziło mu o wojnę z Rosją, czy z prawicową opozycją? Niestety nie możemy mieć pewności co do tego, z kim naprawdę chce walczyć premier.

eprasa.pl b3ca89e6a7

Powrót Rubcowa



Władmymir Putin wita rosyjskich szpiegów na lotnisku w Moskwie, w kółku Paweł Rubcow



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Można mieć wątpliwości, czy obecnym władzom naprawdę zależy na wyjaśnieniu szpiegowskiej działalności Pawła Rubcowa vel Pablo Gonzáleza w Polsce. Wkrótce to się okaże

We wtorek 25 listopada przed Sądem Okręgowym w Warszawie ma się rozpocząć proces Pawła Rubcowa, znanego też jako Pablo González Yagüe. Został oskarżony o szpiegostwo na rzecz rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU. W latach 2016–2022, występując pod przykryciem liberalnego dziennikarza z Hiszpanii, miał przekazywać do Rosji informacje, które mogły zaszkodzić Polsce i NATO. W trakcie swojej szpiegowskiej działalności nie tylko zdobywał i przekazywał dane, lecz także szerzył dezinformację oraz prowadził rozpoznanie operacyjne.

Na razie nie jest jasne, czy proces w ogóle rozpocznie się w terminie, Rubcow nie zamierza bowiem stawić się przed sądem. I nikt go do tego nie zmusi. Dlaczego? Bo w sierpniu 2024 r. polskie władze wypuściły go z aresztu w ramach wymiany szpiegów przeprowadzonej w Ankarze pomiędzy NATO i Rosją.

A to już wskazuje, że Rubcow nie był byle jakim agentem. O jego randze może świadczyć to, że na lotnisku w Moskwie powitał go sam Putin (Rubcow założył na tę okazję stosowną koszulkę z wizerunkiem szturmowca z „Gwiezdnych wojen" i napisem „Imperium cię potrzebuje"). Tymczasem Polska prawdopodobnie nic nie zyskała na jego uwolnieniu. O tym, dlaczego tak się stało, istnieje wiele przypuszczeń. Być może Rubcow, który podczas pobytu w Polsce zdołał dobrze rozpracować środowisko liberalnej opozycji i mediów, stał się dla tych ludzi politycznie niebezpieczny. Przecież sporo o nich wiedział i mógł jeszcze dużo namieszać. Lepiej więc było jak najszybciej pozbyć się go z Polski.

Ale Rubcow, choć zniknął wszystkim z oczu, cały czas żyje w Rosji i dalej działa. Niedawno nawet przypomniał swoim dawnym znajomym, że o nich pamięta. Gdy jeden z użytkowników platformy X sporządził listę polskich kontaktów Rubcowa, wymieniając nazwiska ludzi, w których towarzystwie pojawiał się rosyjski szpieg, ten postanowił to skomentować. „Bardzo niepełna" – odpisał, odnosząc się do opublikowanej listy. Zabrzmiało to jak ostrzeżenie. Albo raczej jako zapowiedź, że zamierza jeszcze namieszać w polskim życiu publicznym. Tyle że z bezpiecznej odległości.

NARODZINY „NIELEGAŁA"

Kim jest Paweł Rubcow? Skąd się wzięła jego legenda hiszpańskiego dziennikarza, na którą zdołał nabrać setki wpływowych ludzi, w tym wielu w Polsce? Najwięcej faktów z jego przeszłości ujawniła na portalu Frontline.pl dziennikarka Anna Gielewska i w głównej mierze to jej ustaleniami będziemy się posiłkować.

Paweł Aleksiejewicz Rubcow urodził się w 1982 r. w Moskwie jako dziecko Rosjanina i Hiszpanki. Ojciec Aleksiej, pracował w sowieckich mediach, choć nie jest jasne, na jakim stanowisku: był kimś w rodzaju redaktora albo pracownikiem administracyjnym. Matka, Maria Jelena, miała znacznie ciekawszy życiorys. Była córką zdeklarowanego komunisty Andrésa Gonzáleza, który po klęsce Republiki Hiszpańskiej w 1939 r. wyemigrował do

Fot. KIRILL ZYKOV/AFP/East News

eprasa.pl b3ca89e6a7

Związku Radzieckiego. W takim domu musiała panować szczególna atmosfera. Wyobraźmy to sobie: ojciec – pracownik sowieckiej propagandy oraz matka – córka hiszpańskiego stalinisty. Nic dobrego nie mogło z tego wyrosnąć.

W 1991 r. małżeństwo Rubcowów się rozpada, a Maria Jelena wraz z dziewięcioletnim synem przenosi się do ojczyzny swoich przodków. Tam w Hiszpanii Paweł Rubcow przyjmuje nazwisko rodowe swojej matki, stając się Pablem Gonzálezem. Dostaje też obywatelstwo hiszpańskie, ale z rosyjskiego nigdy nie zrezygnuje.

Po studiach slawistycznych rozpoczyna karierę dziennikarską. Żyje w stałym związku z Oihaną Goirieną, z którą ma trójkę dzieci. Jak się potem okaże, w żaden sposób nie będzie mu to przeszkadzać w nawiązywaniu intymnych relacji z innymi kobietami. Po jego wyjeździe do Polski Oihana ma dostawać stałe przelewy z Rosji.

Nie wiadomo, kiedy Rubcow zostaje agentem GRU. Wiadomo jednak, że jest idealnym kandydatem na tzw. nielegała – szpiega działającego za granicą pod przykryciem. Nie da się wykluczyć, że jego emigracja – wraz z matką – do Hiszpanii była częścią szerszego planu. Rosyjskie służby mogły „hodować" sobie agenta, aby – gdy osiągnie już dorosłość i nie będzie wzbudzał żadnych podejrzeń – uaktywnić go.

W SŁUŻBIE MOSKWY

Rubcow nie jest zwykłym dziennikarzem. Pozuje na postępowego aktywistę, który walczy z niesprawiedliwościami tego świata. Szybko staje się znany w lewicowym światku hiszpańskich mediów. Wiele podróżuje wraz ze swoim przyjacielem fotografem Juanem Teixeirą. Najbardziej interesują go konflikty zbrojne i wojny. Co ciekawe, zwykle pojawia się tam, gdzie aktywni są Rosjanie – w Syrii, Donbasie, na Kaukazie. Pisze stamtąd reportaże, dziwnie zgodne z rosyjską narracją, które publikuje w lewicowej prasie lub na swoim portalu Eulixe.

Historia tej strony internetowej też jest ciekawa. Rubcow uruchomił ją ze wspominanym Teixeirą w 2017 r., zaraz po swoim powrocie z Rosji. Miał się tam spotkać z niejakim Siergiejem Turbinem, który – co za niespodzianka – zajmuje się w GRU „nielegałami" rozsianymi po całym świecie. Być może Moskwa dostrzegła wtedy potencjał Rubcowa i zleciła mu ważniejsze zadania niż dotąd.

Jak czytamy w artykule Anny Gielewskiej, Rubcow „w 2019 r. pisze w Eulixe o rozczarowaniu Ukraińców Majdanem, o wyborach na Ukrainie (wspomina o możliwych oszustwach wyborczych), silnych podziałach i niepokojach w społeczeństwie. Analizuje wybory w Polsce i Hiszpanii, w 2020 r. publikuje tekst podważający historię II wojny światowej w sposób zgodny z narracją Kremla (utrzymującą, że Polska przyczyniła się do wojny, prowadząc agresywną politykę wobec ZSRR). Artykuł kończy cytatem ze Stalina. Publikuje też analizę akcji otrucia Nawalnego – z hipotezą, że nie stali za tym Rosjanie".

> Podczas pobytu w więzieniu Rubcow mógł prawdopodobnie zapoznać się z wieloma szczegółami pracy polskiego kontrwywiadu. Z tą wiedzą wypuszczono go potem do Moskwy

Rubcow broni rosyjskiej polityki niemal wszędzie, gdzie tylko się da. Kwestionuje ustalenia Nawalnego o pałacu Putina zbudowanym w pobliżu Gelendżyka nad Morzem Czarnym, opowiada o nazistach na Ukrainie i nawołuje do dialogu z Kremlem, przestrzegając jednocześnie przed nakładaniem na Rosję sankcji. Rozpracowuje także środowisko antyputinowskiej emigracji. W szczególności interesuje go Żanna Niemcowa, córka zamordowanego w 2015 r. rosyjskiego opozycjonisty oraz jego dawny współpracownik – dziennikarz Władimir Kara-Murza.

PRZYJACIEL Z HISZPANII

Wiele wskazuje na to, że hiszpańskie służby miały Rubcowa na oku już w 2016 r. Tym bardziej że wspierał on katalońskich separatystów. Dziś nie jest żadną tajemnicą, iż Kreml potajemnie podburzał Katalończyków do secesji.

Jednocześnie jednak Rubcow dostał zupełnie nowe zadanie. Od chwili przejęcia władzy przez PiS rosyjski szpieg nagle zainteresował się sytuacją w Polsce. Relacjonował dla hiszpańskich mediów protesty antypisowskiej opozycji i spór wokół Trybunału Konstytucyjnego. 29 czerwca 2016 r. ogłosił, że jedzie do Polski, aby szukać kontaktów. Już następnego dnia opublikował na łamach lewicowej gazety „Gara" swoją relację. Nieco wcześniej, bo w maju 2016 r., obecny minister sprawiedliwości Waldemar Żurek informował na antenie Radia TOK FM, że dzwonił do niego „odważny, hiszpański dziennikarz", aby wypytać o sytuację w sądownictwie. Nie ma żadnych dowodów na to, że tym „odważnym dziennikarzem" był Rubcow (Żurek twardo temu zaprzecza), ale ta zbieżność w czasie z nagłą aktywnością nielegała w Polsce może faktycznie rodzić podejrzenia.

Prawdopodobnie w 2019 r. Rubcow pojawił się na stałe w Polsce. Wykorzystując swoją legendę hiszpańskiego dziennikarza antyfaszysty, zbudował u nas rozległą siatkę kontaktów i znajomości, zwłaszcza w liberalnych antypisowskich środowiskach.

Bardzo ważną rolę odegrała tu jego polska partnerka Magdalena Ch., aktywistka i freelancerka pisująca do różnych tytułów. Rzekomy hiszpański macho, który z okrzykiem: „No pasarán!" na ustach krążył po całym świecie i bił się z faszyzmem, musiał zrobić na niej duże wrażenie. Tym bardziej że zechciał udzielić swojej sławy do walki z PiS.

To właśnie Magdalena Ch. była kluczowym kontaktem Rubcowa, osobą, która wprowadziła go do środowiska antypisowskich mediów. „Uwierzyła mojej legendzie" – miał powiedzieć Rubcow w jednej z jego rozmów przechwyconych przez polski wywiad

eprasa.pl b3ca89e6a7

(zapewne za pomocą tak zwalczanego przez ówczesną opozycję systemu Pegasus). Para pojawiała się w wielu miejscach, razem też wyjeżdżali, a z jednej z tych wypraw (do Górskiego Karabachu) napisali nawet wspólny reportaż opublikowany w październiku 2020 r. przez „Tygodnik Powszechny". Potem, gdy prawda o Rubcowie wyszła na jaw, gazeta odcięła się od swoich autorów. Według „Tygodnika Powszechnego" od 2013 r. Magdalena Ch. napisała kilka tekstów, a nazwisko Pablo Gonzáleza widniało tylko przy tym jednym. „Redakcja nie miała z Pablem Gonzálezem bezpośredniego kontaktu, sprawdzała jednak, kim jest (należał wtedy do kolektywu dziennikarskiego z Warszawy)" – czytamy w oświadczeniu redakcji z sierpnia 2024 r.

„Zagraniczny dziennikarz" zrobił furorę na antypisowskich salonach, co tylko pokazuje, jak niskie mniemanie miały o sobie liberalne elity, skoro musiały się dowartościować zewnętrznym „autorytetem". Niektórzy z powodu tej znajomości nie przespali potem wielu nocy. Ale wtedy nikomu nie zapaliła się w głowie lampka ostrzegawcza.

Przez warszawskie mieszkanie Magdaleny Ch. i Rubcowa przewijało się w tym czasie mnóstwo ludzi. Według Anny Gielewskiej „wpadali korespondenci, przychodzili pogadać aktywiści". Jeden z nich opowiada o dość wstrząsającej lekkomyślności antypisowskich dziennikarzy: „Dzisiaj patrzę na to inaczej, ale czasem komuś brakowało prądu w komórce czy w laptopie. Nie mówiąc o pracy na wyjeździe, tam zawsze dużo się działo, latały ładowarki, powerbanki. Teraz się zastanawiam, czy on mógł zasysać od nas jakieś dane, kogoś rozpracowywać".

Jednym z „aktywistów", którzy zetknęli się wtedy z Rubcowem, był Bart Staszewski, znany z nagłaśniania rzekomych „stref wolnych od LGBT". Jak twierdzi, Rubcow „był jednym z setek dziennikarzy", z którymi rozmawiał. „Nie miałem zaufania do polskich służb, które za czasów PiS były opresyjne, lały pałą kobiety podczas protestów i inwigilowały aktywistów" – tłumaczył, dodając, że szpiedzy nie wyglądają przecież „jak z Jamesa Bonda", więc mógł się pomylić. Nie on jeden. Pomyliło się całe środowisko zafiksowane na wojnie z PiS.

BITWA NA GRANICY

Przyjazd Rubcowa do Polski w 2019 r. mógł mieć ścisły związek z dalekosiężnymi planami Moskwy dotyczącymi Ukrainy. Jego aktywność nasilała się wraz z przygotowaniami Rosji do agresji. Prowadził w Polsce działania dezinformacyjne i destabilizujące, a oprócz tego – prawdopodobnie – rozpoznanie operacyjne, czego dowodzą jego wizyty na Ukrainie, gdzie pod pozorem zbierania materiałów filmował instalacje wojskowe. Niewykluczone, że robił to również w Polsce. Warto zauważyć, że zatrzymano go tuż pod Przemyślem.

Przyjazd Rubcowa do Polski mógł mieć ścisły związek z dalekosiężnymi planami Moskwy dotyczącymi Ukrainy. Jego aktywność nasilała się wraz z przygotowaniami Rosji do agresji

Rubcow wszedł na wyższe obroty podczas tzw. Strajku Kobiet. Wspierał wtedy środowiska LGBT+ i nielegalną migrację oraz atakował polski Kościół. „Polski katolicyzm wkracza w ciała kobiet" – alarmował na portugalskim portalu Público.

Jednak najważniejsza bitwa, jaką stoczył przeciwko Polsce, rozpoczęła się późnym latem 2021 r., gdy Rosjanie rozpoczęli na Białorusi operację przerzucania do naszego kraju nielegalnych imigrantów. Rubcow był wówczas jednym z „aktywistów", który rozsiewał na cały świat fejki o rzekomych represjach stosowanych przez polskie władze wobec „uchodźców". To on cytował w jednym ze swoich materiałów Katarzynę Wappę, nieszczęsną nauczycielkę z Białowieży, która rozpuszczała plotki o Ibrahimie, który miał przez sześć dni płynąć Bugiem. Ale nawet wtedy nikomu z „aktywistów" działających na granicy nie włączył się żaden alarm. Działali tuż obok agenta GRU i nie byli w stanie dostrzec, że realizują plan nakreślony na Kremlu.

RUBCOW? NIE ZNAM CZŁOWIEKA

Gdy po wybuchu wojny na Ukrainie Rubcowa aresztowano, „aktywiści" w Polsce, w Hiszpanii i kilku innych krajach protestowali przeciwko „represjom" PiS. Domagano się uwolnienia „dziennikarza", którego zatrzymano jakoby „bez żadnych dowodów".

Dziś ówcześni obrońcy Rubcowa jakby zapadli się pod ziemię. Nikt nie chce się do niego przyznawać, a na wszelkie próby odświeżania im pamięci większość jego dawnych znajomych reaguje groźbami pozwów sądowych. Wielu zapewne z ulgą odetchnęło na wieść, że w sierpniu 2024 r. został odesłany do Rosji.

Jednak Rubcow nigdy nie przestał pracować przeciwko Polsce. Nawet w więzieniu nie przerwał swojej działalności. Okazało się bowiem, że podczas pobytu za kratami miał dostęp – jak każdy oskarżony – do akt śledztwa przeciwko niemu i bardzo wnikliwie je czytał. Dzięki temu mógł prawdopodobnie zapoznać się z wieloma szczegółami pracy polskiego kontrwywiadu, a przynajmniej poskładać różne informacje w całość. Z tą wiedzą wypuszczono go potem do Moskwy.

Co ciekawe, śledztwo przeciwko Magdalenie Ch., podejrzanej o pomocnictwo w szpiegostwie dla Rubcowa, nadal się toczy i zostało przedłużone do końca lutego przyszłego roku. Była (obecna?) partnerka rosyjskiego agenta może bez żadnych przeszkód podróżować, bo nie zostały wobec niej zastosowane żadne środki zapobiegawcze.

Można mieć wątpliwości, czy obecnym polskim władzom naprawdę zależy na wyjaśnieniu antypaństwowej działalności Rubcowa. Pytanie, czy rzeczywiście tak jest, pozostawmy na razie bez odpowiedzi.

eprasa.pl b3ca89e6a7



Fot. Andrzej Wiktor

Polska musi być aktywna

Słabość Berlina i Paryża tworzy koniunkturę dla Polski, ale rząd Donalda Tuska nie chce tego dostrzec

Z Ryszardem Czarneckim, wieloletnim posłem do Parlamentu Europejskiego, rozmawia Jerzy Szmit

Na naszych oczach dokonuje się nowy podział świata. Na czym on polega i do czego może nas doprowadzić?

Ryszard Czarnecki: Fundamentalne pytanie! Rzeczywiście na naszych oczach wykuwa się przyszłość Rzeczypospolitej nawet na kilkadziesiąt lat. Niestety z winy obecnego rządu nie jesteśmy aktywni w tym procesie. Wojna w Europie wzmocniła pozycję mocarstw globalnych, czyli USA i Chin. Za prezydenta Joe Bidena tylko siedem krajów NATO, w tym Polska, kraje bałtyckie, Wielka Brytania i Grecja, spełniały warunek wydawania 2 proc. PKB na obronność, przyjęty na szczycie w Davenport w 2014 r. Za obecnej kadencji prezydenta Donalda Trumpa już 23 kraje realizują to zobowiązanie. Waszyngton jest obecnie bardzo sprawczy i pozostanie taki, o ile Trump nie będzie musiał się koncentrować na sprawach wewnętrznych. Ostatnie wyniki wyborów na gubernatorów Wirginii i New Jersey pokazały, że amerykańskiemu prezydentowi i jego obozowi nie będzie łatwo. Wynik wyborów w Nowym Jorku to inna sprawa i nie należy wyciągać daleko idących wniosków – to miasto, podobnie jak Warszawa, na razie bardzo „lewoskrętne". W przyszłym roku w USA będą „midterm election", które pokażą, czy Amerykanie akceptują politykę Donalda Trumpa. Jeżeli tak, otrzyma on wolną rękę w polityce zagranicznej i nie będzie musiał się skupiać na obronie pozycji własnej i amerykańskiej prawicy.

Donald Trump jest dzisiaj jednym z największych kreatorów światowej polityki. Jakie cele w polityce zagranicznej będzie chciał zrealizować?

eprasa.pl b3ca89e6a7

Odpowiedź wydaje się prosta, ale niejednoznaczna. Ilustracją strategii USA jest ostatnie spektakularne spotkanie w Białym Domu z prezydentami postsowieckich krajów Azji Środkowej: Kazachstanu, Uzbekistanu, Kirgistanu, Turkmenistanu i Tadżykistanu. To próba ograniczania wpływów Rosji, a także Chin i Turcji w tym regionie. Wspomnę tu też porozumienia USA z Uzbekistanem na 105 mld dol. czy Kazachstanem na ponad 32 mld dol. Niezrozumiała jest dla mnie natomiast wojna handlowa Stanów Zjednoczonych z Indiami. W jej efekcie premier Narendra Modi, a więc szef rządu kraju, który jest strategicznym konkurentem Chin, po siedmiu latach nieobecności w ChRL pojechał na szczyt Szanghajskiej Organizacji Gospodarczej. Jednocześnie Donald Trump podjął wojnę celną z Unią Europejską, co także zbliżyło UE do Pekinu: w lipcu odbył się szczyt Unia Europejska–Chiny. Pekin potwierdził, że nie będzie zawierał kompromisów w sprawach dla niego zasadniczych, a mimo to zdjęto obowiązujący kilka lat zakaz wstępu chińskich dyplomatów do Parlamentu Europejskiego czy Komisji Europejskiej. Walka o wpływy toczy się też na innych kontynentach, przede wszystkim w Afryce. Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Goldman Sachs opracowały prognozę stanu gospodarki światowej za pół wieku. Na pierwszym miejscu pod względem PKB mają być Chiny, na drugim Indie, dopiero na trzecim Stany Zjednoczone. Raport MFW prognozuje też ogromne przyspieszenie gospodarcze Afryki. Np. Nigeria, która już dziś liczy ponad 200 mln mieszkańców, będzie miała niemal dwa razy wyższy PKB niż Rosja!

Czy wobec tego Rosja nadal jest światową potęgą?

Unikajmy skrajności. Jedna polega na demonizowaniu Rosji, na czym ona zresztą korzysta, bo chce uchodzić za supermocarstwo. Tymczasem wewnętrznie słabnie i traci wpływy w Azji Środkowej, gdzie przegrywa walkę o pozycję z Chinami i Turcją, a także na Bliskim Wschodzie. Tam z kolei Trump usiłuje pogodzić ogień z wodą, bo tradycyjnie jest bardzo proizraelski, a jednocześnie mówi, że to Turcja ma klucz do rozwiązania sytuacji w Syrii, co jest wsparciem Erdoğana. Jednocześnie Rosja zyskuje gdzie indziej: potrafiła wyprzeć Francję z kilku krajów Afryki, jak Mali, Niger czy Republika Środkowej Afryki. Jednak Moskwa jest słabsza niż dwie i pół dekady temu. Mimo to odrzućmy drugą skrajność – Rosji nie wolno przekreślać. Ale jednocześnie nie trzeba jej przeceniać, bo ona tylko o tym marzy.

Kluczowy doradca prezydenta Zełenskiego publicznie powiedział, że Ukraina stoczy walkę z Polską o pozycję lidera w regionie i tę walkę wygra. Traktujmy te głosy poważnie

Unia Europejska odeszła od swoich pierwotnych założeń. Czy jest w stanie bez fatalnych skutków gospodarczych realizować politykę klimatyczną, a bez skutków społecznych – cele ideologiczne, choćby wsparcie LGBT+?

Jeżeli weźmiemy pod uwagę ostatnie sześć dekad, to Europa zwiększyła przewagę gospodarczą tylko nad jednym kontynentem: Afryką. Przegrywa gospodarczo o parę długości z Ameryką, a przypomnę bajki strategii lizbońskiej, która zakładała zrównanie się z USA w 2010 r. Przegoniła nas Azja, bardzo zmniejszyła dystans Ameryka Łacińska. Europa dramatycznie słabnie także demograficznie i politycznie. Antykonkurencyjne kagańce typu Pakiet Mobilności czy obłęd ideologiczny są zaciągniętym hamulcem europejskiego rozwoju. Przy utrzymaniu obecnego kursu Unia pozostanie na równi pochyłej i nie zaczarują tego zaklęcia brukselskich liderów.

Czy możliwe jest głębokie pęknięcie w Unii Europejskiej wobec bardzo wyraźnych sprzeczności między krajami członkowskimi?

Mamy kryzys gospodarczy, demograficzny i instytucjonalny Unii Europejskiej. Poszczególne instytucje unijne walczą ze sobą, bo ich kompetencje zostały bardzo nieprecyzyjnie zapisane w traktacie lizbońskim. Narasta podział na państwa, które współtworzyły UE w minionym wieku, a tymi, które dołączyły później, tak jak Polska w 2004 r., czyli „nową Unię". Narasta wśród nich niechęć do bycia trybikiem brukselskiej maszynerii. W moim przekonaniu nie oznacza to jednak rozpadu Unii. Co więcej, w przyszłej dekadzie mamy perspektywę poszerzenia UE o kraje Bałkanów Zachodnich. Także o kraje obszaru postsowieckiego, jak Ukraina, Mołdawia i Gruzja, choć zapewne olbrzymia korupcja na Ukrainie i brak realnej demokracji w Mołdawii opóźni ten proces. Sytuacja Mołdawii jest łatwiejsza, bo to małe państwo. Ukraina jest krajem relatywnie olbrzymim terytorialnie i nadal istotnym pod względem ludnościowym. Jej akcesja będzie miała bardzo poważne konsekwencje ekonomiczne, oznacza konieczność płacenia Ukrainie miliardów euro, choćby z tytułu Wspólnej Polityki Rolnej. Oczywisty będzie tu opór państw z silnym rolnictwem, jak Francja, Włochy, Hiszpania, Portugalia, Grecja. W 1997 r., gdy byłem ministrem spraw europejskich, zapytałem podczas prezydencji Wielkiej Brytanii w UE mojego odpowiednika w gabinecie Tony'ego Blaira Douglasa Hendersona, co jest największym problemem Polski w procesie wstępowania do UE. Po chwili milczenia powiedział jedno słowo: „Size". Czyli to, że jesteśmy względnie bardzo dużym krajem. Tak samo jest z Ukrainą.

Niemcy przez dziesięciolecia liderują Unii Europejskiej. Czy w najbliższych latach utrzymają swoją pozycję?

Autopromocja

eprasa.pl b3ca89e6a7

Wspomniałem o raporcie MFW, który zawiera prognozę nie tylko na pół wieku, lecz także na najbliższe pięć lat. Wynika z niej, że w tym czasie Wielka Brytania, pozostająca poza Unią Europejską, będzie się rozwijać szybciej niż Niemcy i Francja! Berlin jest pogrążony w głębokim kryzysie gospodarczym. Podobnie Francja, do tego zmienia premierów w tempie Włoch z lat siedemdziesiątych. Niemiecko-francuski tandem, a z nim Unia jako całość, jedzie autostradą na drugim biegu. Niemcy mają najsłabsze od lat karty w tej grze, choć niektóre kraje wciąż im ulegają. Ich słabość gospodarcza i, powiedzmy, dość średnie relacje z USA są faktem. Kanclerz Friedrich Merz to rozumie i stara się poprawiać relacje z Donaldem Trumpem. Niemniej droga do tego, aby Niemcy wyszły z kryzysu, jest daleka. Słabość Berlina i Paryża tworzy koniunkturę dla Polski, ale rząd Donalda Tuska nie chce tego dostrzec.

Co zmieniła w Europie i świecie napaść Rosji na Ukrainę w kontekście politycznym, gospodarczym i strategicznym?

Pokazała bankructwo polityki Niemiec i Francji wobec Rosji. Przypomnę, że politykami, którzy najczęściej rozmawiali z Putinem w latach 2019–2022, byli prezydent Macron – 42 razy, potem kanclerz Merkel – 34 razy (dla porównania: prezydent Erdoğan – mniej niż 10 razy). Z wiadomym skutkiem. Historia pokazała, że rację miała Polska, a nie Berlin i Paryż. Wojna w Europie Wschodniej bardzo osłabiła Niemcy i Francję w Unii, a także ich relacje z USA. W Niemczech wciąż pokutują złudzenia wobec Rosji, ale są mniej ujawniane. Dobrym efektem wojny jest silny impuls rozwoju współpracy regionalnej, np. bałtyckiej. Przecież Finlandia i Szwecja weszły do NATO. Przypomnę, że w 2021 r. w fińskim parlamencie dyskutowano o wejściu do Sojuszu i postanowiono, że do sprawy... wrócą za pięć lat. Okazało się, że po dwóch latach byli już w NATO. Wzrosła też pozycja Polski, bo okazało się, że prawidłowo oceniamy zagrożenia i będąc największym państwem w regionie, mamy jednocześnie najlepsze relacje z Waszyngtonem. Niestety akurat to jest poza zasięgiem obecnego rządu.

Czy wojna Rosji z Ukrainą szybko się zakończy, czy pójdą za tym ostateczne i głębokie zmiany w sposobie patrzenia na Rosję?

Najkrótsza odwiedź to dwa razy NIE. Wojna nie zakończy się szybko. Jej trwanie jest w interesie Rosji. Wyniszcza Ukrainę gospodarczo, energetycznie i demograficznie. Wie, że czas pracuje na jej korzyść i w krótszej, i dłuższej perspektywie. Wojna skończy się najwcześniej w drugiej połowie przyszłego roku. Co więcej, nie będzie traktatu pokojowego. Zbliżają się wybory prezydenckie i parlamentarne na Ukrainie i żaden ukraiński polityk, w tym słabnący politycznie Wołodymyr Zełenski, nie będzie mógł zatwierdzić aneksji przez Rosję jednej piątej ukraińskiego terytorium.

Może jednak w sensie strategicznym Rosja przegrała tę wojnę? Chciała zniszczyć państwo ukraińskie. To się nie udało. Co więcej, NATO rozszerzyło się o dwa kraje. Czy to nie jest strategiczna porażka Putina?

Nie zgadzam się. Celem Rosji nie było pozbawienie Ukrainy niepodległości, tylko zainstalowanie tam absolutnie prorosyjskiego rządu. To się nie udało i rzeczywiście jest to porażka Rosji. Choć jest grupa ukraińskich polityków – w tym były doradca Zełenskiego Ołeksij Arestowycz – mówiąca głośno, że Ukraina powinna być państwem neutralnym, poza NATO i UE. Dzisiaj jest to opcja mniejszościowa, ale narasta fala rozgoryczenia Ukraińców wobec Zachodu. Drzwi do NATO pozostają zamknięte. Akcesja do Unii Europejskiej nastąpi, ale wcale nie tak prędko. Wzmacniają się tendencje do dogadywania się z Moskwą. Uważam jednak, że strategicznie Ukraina będzie chciała być częścią Zachodu. Teraz i w przyszłości Polska powinna jednoznacznie formułować swoje interesy gospodarcze, geopolityczne, a także mówić prawdę o historii. Polska i Ukraina mogą i będą się różnić w wielu sprawach, ale nie ma co się na to oburzać, ponieważ nie przekreśla to wspólnych działań w różnych obszarach.

Czy mówiąc o różnicach, ma pan na myśli rolnictwo i transport?

Nie tylko. Kluczowy doradca prezydenta Zełenskiego publicznie powiedział, że Ukraina stoczy walkę z Polską o pozycję lidera w regionie i tę walkę wygra. Traktujmy te głosy poważnie. Nie chodzi o jedną czy drugą branżę. Musimy pilnować, aby Polska zachowała status kraju, który ma największe znaczenie w regionie. Czasem może to prowadzić do kursu kolizyjnego z Kijowem, ale to wcale nie przekreśla współpracy w różnych dziedzinach. Jedocześnie nie lekceważmy tendencji widocznych już za prezydenta Poroszenki, ale wyraźnych także teraz – dogadywania się z Berlinem ponad naszymi głowami.

Czy Polska wyjdzie obronną ręką z przemian zachodzących w polityce europejskiej i światowej?

Przy aktywnej polityce zagranicznej rządu i prezydenta jest na to szansa. Tyle że obecny gabinet nie chce widzieć tych wyzwań i zagrożeń. Przyjmuje – używając angielskiego zwrotu – postawę yes-mana wobec Berlina, a w konsekwencji potakuje również Unii Europejskiej. Prezydencja Polski w UE była charakterystyczna: przeszła bez ważnych dla nas rezultatów. W sprawie migracji rząd zaczął robić cokolwiek dopiero po twardym sprzeciwie opinii publicznej, opozycji i prezydenta RP. Na szczęście zgodnie z konstytucją głowa państwa ma w polityce zagranicznej wiele do powiedzenia. Prezydent Karol Nawrocki utrzymuje znakomite kontakty z prezydentem Donaldem Trumpem, a to wzmacnia Polskę w regionie i Unii. Warto też pamiętać, że również prezydent Andrzej Duda miał bardzo dobre relacje z USA – zarówno z prezydentem Trumpem, jak i z prezydentem Bidenem. Jednocześnie spotykał się z prezydentem Chin Xi Jinpingiem, lewarując w ten sposób swoją pozycję w Białym Domu. Tak samo postępują prezydenci Turcji, Azerbejdżanu czy premier Węgier. To dobra droga, trzeba ją kontynuować.

eprasa.pl b3ca89e6a7





GORAN ANDRIJANIĆ

Terlikowski u masonów

Tomasz Terlikowski – publicysta, który w ciągu zaledwie kilku lat przeszedł drogę od fanatycznego obrońcy katolickiej ortodoksji do krytyka i „reformatora" Kościoła – pojawił się w loży masońskiej. Dlaczego?

Jak opublikowały media, Terlikowski wygłosił wykład w kieleckiej loży masońskiej. Sama loża pochwaliła się tym, publikując w mediach społecznościowych zdjęcie z wydarzenia. Widać na nim Terlikowskiego w otoczeniu odświętnie ubranych członków loży, z których wielu ma zakryte twarze.

„Dzisiaj w naszym Warsztacie odbyły się Białe Prace, podczas których gościliśmy dr. Tomasza Terlikowskiego z referatem pt. »Szaweł przed Damaszkiem. Co naprawdę się wtedy wydarzyło?«. Wystąpienie naszego Gościa stało się punktem wyjścia do długiej i pełnej szacunku dyskusji, w której mogli wziąć udział zarówno wolnomularze, jak i osoby światowe" – czytamy w oświadczeniu loży, które nam również wyjaśniło, czym są Białe Prace.

„Białe Prace to nierytualne posiedzenie Loży, podczas którego do Świątyni zapraszane są również osoby światowe. Dzięki temu – wykorzystując pewne elementy metody wolnomularskiej – możemy wspólnie wymieniać myśli, stawiać pytania i rozwiewać narosłe mity. W takich momentach szczególnie wyraźnie widać prawdziwe oblicze wolnomularstwa: spokojny dialog, pracę nad sobą, otwartość i szacunek dla różnorodności poglądów".

PO CO TEN CYRK?

Wszystko to jest już w pewnym stopniu przewidywalne. Terlikowski od kilku lat utrzymuje się głównie z pisania i rozpowszechniania prowokacyjnych tez na temat wiary katolickiej i Kościoła, szuka więc nowych sposobów, aby skupić na sobie uwagę opinii publicznej. Po relatywizowaniu doktryny Kościoła nadszedł czas na podjęcie tematu masonerii i jego relacji do katolicyzmu. Wspólnie z masonem Witoldem Sokalim Terlikowski napisał książkę pt. „Dlaczego Kościół boi się masonów?", w której przedstawia tezę, że Kościół i masoni są sobie bliżsi, niż się powszechnie uważa.

W celu promocji książki Terlikowski pojawił się w loży. Opublikowano zdjęcie z wydarzenia, czym katolicka opinia publiczna jest – całkiem słusznie – oburzona. Oczywiście po tej, jak i we wcześniejszych kontrowersyjnych sytuacjach, publicysta zamieszcza posty w mediach społecznościowych, w których z pozycji wyższości moralnej wyjaśnia wszystkim, jak bardzo się mylą, oceniając jego i całą sytuację. Tak się stało również tym razem.

„Widzę, że już się dzieje... Wesoło jest. To żeby nikt nie musiał się niczego domyślać, informuję... To było dobre, dla mnie bardzo pouczające spotkanie, podczas którego mówiłem o Pawle, o wierze, o Biblii i dzieliłem się swoją wiarą (a mam nadzieję, że wiedzą też)... Spieszę też donieść zaniepokojonym, że byłem, jestem i będę katolikiem. Nie zostałem inicjowany do masonerii i mimo intelektualnego zainteresowania nie zamierzam być inicjowany. Inicjacja chrześcijańska w pełni mi wystarcza. Uspokajam więc, a może wręcz przeciwnie denerwuję niektórych, ja się nigdzie nie wybieram. Kościół jest moim domem".

I tak to się toczy dalej. Terlikowski robi i pisze rzeczy antykatolickie, ludzie na to reagują, a potem kończy się to jego wyjaśnieniem, że „nie planuje odchodzić z Kościoła".

Cały ten cyrk może mieć pozytywny wpływ na karierę Terlikowskiego w lewicowo-liberalnych mediach (niedawno publicysta dostał program w TVN). Pozostaje jednak całkowicie niejasne, jaką korzyść może to przynieść Kościołowi katolickiemu w Polsce, którego Terlikowski – jak sam twierdzi – jest częścią i którego dobro leży mu rzekomo na sercu.

eprasa.pl b3ca89e6a7

STANOWISKO KOŚCIOŁA

Kościół katolicki wielokrotnie wyrażał i interpretował swoje negatywne stanowisko wobec masonerii w różnych dokumentach. Jednym z najważniejszych jest „Quaesitum est: de associationibus massonicis", deklaracja z 1983 r. opublikowana przez ówczesną Kongregację Nauki Wiary, na czele której stał kard. Joseph Ratzinger (przyszły papież Benedykt XVI).

W istocie deklaracja była odpowiedzią na pytanie, czy stanowisko Kościoła wobec masonerii uległo zmianie, ponieważ w nowym Kodeksie prawa kanonicznego nie zostało wprost napisane, że katolik należący do masonerii jest karany ekskomuniką, tak jak miało to miejsce w poprzednim kodeksie z 1917 r.

„Pozostaje jednak niezmieniona negatywna opinia Kościoła w sprawie stowarzyszeń masońskich, ponieważ ich zasady zawsze były uważane za niezgodne z nauką Kościoła i dlatego przynależność do nich pozostaje zakazana... Wierni, którzy należą do stowarzyszeń masońskich, są w stanie grzechu ciężkiego i nie mogą przystępować do Komunii Świętej" – czytamy w dokumencie.

Stolica Apostolska potwierdziła to stanowisko w odpowiedzi Dykasterii Nauki Wiary z 13 listopada 2023 r., podpisanej przez prefekta kard. Victora Fernandéza i zaaprobowanej przez papieża Franciszka. Odpowiedź była skierowana do Julita Cortesa, biskupa Dumaguete na Filipinach, który poprosił Stolicę Apostolską o sugestie, jak radzić sobie z nieustannym przyrostem wiernych zapisujących się do masonerii.

Powody takiego stanowiska wobec masonerii interpretuje się dwojako. Po pierwsze, masoni byli wrogo nastawieni do Kościoła katolickiego od samego początku i aktywnie mu się przeciwstawiali. Znany jest przykład wojny domowej w Meksyku w pierwszej połowie XX w. Chodzi o powstanie Cristero, które zostało wywołane przez antykatolickie struktury rządu, znajdujące się pod zdecydowanym wpływem masonerii.

Po drugie, być może nawet ważniejsze, poglądy moralne i filozoficzne masonerii są nie do pogodzenia z katolicyzmem. Przede wszystkim racjonalizm oraz relatywizm, które głoszą, że człowiek nie może w pełni poznać prawdy, oraz radykalny subiektywizm, który neguje ideę chrześcijańskiego Boga jako źródła poznania dobra.

Wbrew temu Terlikowski pisze książki o dialogu z masonami i spotyka się z nimi, ocieplając w ten sposób ich obraz. Uzasadnia to potrzebą dialogu i dyskusji.

> Terlikowski od kilku lat utrzymuje się głównie z pisania i rozpowszechniania prowokacyjnych tez na temat wiary katolickiej i Kościoła, szuka więc nowych sposobów, aby skupić na sobie uwagę opinii publicznej

MEDIALNY CELEBRYTA

– Obserwując poczynania Tomasza Terlikowskiego z ostatnich lat można odnieść wrażenie, że zachowuje się on jak nastolatek uwolniony spod opieki rodziców, którzy różnych rzeczy przez długi czas mu zakazywali – mówi nam katolicki publicysta i autor Tomasz Rowiński. – Tyle że w tym przypadku zarówno tym nastolatkiem, jak i rodzicem jest sam Tomasz Terlikowski. Przez lata funkcjonował w mediach jako bez wątpienia rzeczywisty, choć może nieraz zbyt sztywny i przez to odpychający, obrońca wiary i nauki katolickiej. Dziś, gdy z tej roli wyszedł, z zadowoleniem smakuje różnych owoców zakazanych przez Kościół lub takich, do których Kościół ma dystans. Wizyta w loży jest kolejnym przypadkiem tego rodzaju wyskoku. Co więcej, umacnia ona pozycję publicysty jako medialnego celebryty, a to pozwala na dalsze monetyzowanie opinii skandalisty, która do niego przylgnęła.

Rowiński uważa, że deklaracja Terlikowskiego o chęci dialogu z masonerią jest po prostu pozbawiona głębszego znaczenia.

– Dialog z masonerią nie ma z perspektywy Kościoła sensu, chyba że traktować go jako operacyjny biały wywiad. Praktyczne cele masonerii zawsze były na kursie kolizyjnym z obecnością Kościoła w życiu publicznym. Do tego stopnia, że w wielu krajach masoni stali za prześladowaniami katolików. Słabość masonerii we współczesnej Polsce powinna katolików po prostu cieszyć, a dawanie masońskim niedobitkom atencji i promowanie ich jest po prostu błędem – wyjaśnia publicysta.

Kilka lat temu przeprowadziłem wywiad z francuskim ginekologiem Maurice'em Cailletem. Był on mistrzem jednej z najbardziej wpływowych lóż masońskich we Francji, dopóki się nie nawrócił na katolicyzm, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństw i daremności ideologii, którą wyznawał.

„Masoneria ma silne podstawy, zwłaszcza w środowisku politycznym i gospodarczym krajów zachodnich" – powiedział mi wówczas. I dodał: „Jednak masoneria nie jest zjednoczona, wręcz przeciwnie, podzielona, ku naszemu wielkiemu szczęściu. Miała jednak i nadal ma bardzo negatywny wpływ na sferę społeczną, sprzeciwiając się doktrynie chrześcijańskiej w kwestiach bioetyki, aborcji, eutanazji, seksualności. Pod pretekstem promowania wolności daje się pierwszeństwo hedonizmowi i niemoralności, które są powszechne we wszystkich współczesnych społeczeństwach" – powiedział mi Francuz.

A Terlikowski? Jasne jest, dlaczego ciągle powtarza, że „pozostaje w Kościele". Gdyby faktycznie się z niego wycofał i przyznał, że od dawna porusza się w obszarze, który ma niewiele wspólnego z wiarą katolicką, jego dziennikarstwo straciłoby na atrakcyjności i opłacalności.

Fot. wolnomularstwo.pl

eprasa.pl b3ca89e6a7

*Z **Radosławem Waszkiewiczem**, prezesem zarządu Związku Dużych Rodzin „Trzy Plus”, prezydentem Europejskiej Federacji Stowarzyszeń Dużych Rodzin, ojcem pięciorga dzieci, rozmawia Dorota Łosiewicz*

Zapaść demograficzna niszczy Europę

Nasze społeczeństwa zatraciły poczucie wartości i doniosłości małżeństwa



Radosław Waszkiewicz podczas, zorganizowanego przez Marlenę Malag, Kongresu Demograficznego w PE

Związek Dużych Rodzin „Trzy Plus” jest zrzeszony w ELFAC. Co to daje?

Radosław Waszkiewicz: ELFAC jest europejską federacją stowarzyszeń dużych rodzin. Powstała ona w 2004 r. z inicjatywy kilku stowarzyszeń krajowych. Obecnie zrzeszamy stowarzyszenia z 21 krajów Unii Europejskiej. Nasze stowarzyszenia członkowskie i nasza Federacja mają swoją specyfikę. Mianowicie są to organizacje z założenia masowe, na wzór masowych związków zawodowych, zrodzone z buntu przeciwko dyskryminacji i w obronie praw dużych rodzin. Np. NOE – stowarzyszenie węgierskie powstałe w latach 80. XX w., jeszcze pod jarzmem komunizmu, zrzeszające ponad 20 tys. rodzin – odgrywało na Węgrzech podobną rolę, jak Solidarność w Polsce. Stowarzyszenie katalońskie zrodziło się jako odruch sprzeciwu wobec wprowadzenia progresywnych taryf opłat za wodę, nieuwzględniających liczby osób w gospodarstwie domowym. Nasze stowarzyszenia członkowskie zrzeszają od kilku do kilkudziesięciu tysięcy rodzin – setki tysięcy rodziców i dzieci.

Na czym właściwie polega ta dyskryminacja dużych rodzin, o której pan wspomina?

Rzeczywiście, może być ona trudno dostrzegalna dla kogoś, kto nie ma doświadczenia życia w dużej rodzinie. Dobrym przykładem mogą być systemy podatkowe i zabezpieczenia społecznego. W Polsce po transformacji ustrojowej w latach 90. jeden z autorów wprowadzonych rozwiązań systemowych, minister finansów i profesor ekonomii, został zapytany, dlaczego system nie przewiduje żadnych rozwiązań dostosowujących obciążenia podatkowe do rodzin z trójką i większą liczbą dzieci. Odpowiedział, że system został zaprojektowanych dla rodzin typowych, czyli 2+1 i 2+2, z kolei rodziny większe to margines, w pewnym sensie niewarty uwagi czy dostrzeżenia w rozwiązaniach systemowych. Ten sposób myślenia wciąż jest obecny w wielu krajach Unii Europejskiej. Cały system podatków pośrednich – przed wszystkim VAT, ale nie tylko – jest nakierowany na opodatkowanie konsumpcji. Duże rodziny konsumują więcej, bo mają więcej osób na utrzymaniu z dwóch lub bardzo często jednego dochodu. Praktycznie nie istnieją rozwiązania systemowe, które skutecznie niwelowałyby tę niesprawiedliwość.

eprasa.pl b3ca89e6a7



Ale czy rzeczywiście duże rodziny to pomijalny margines?

Według danych Eurostatu z 2024 r. 12,6 proc. rodzin wychowujących dzieci do 18. roku życia w UE to rodziny 3+. Prawie 30 proc. wszystkich dzieci w Unii wychowuje się w rodzinach 3+. Czy to jest margines?

Jak udaje się państwu wpływać na rzeczywistość prawną i społeczną? Co udało się zmienić?

Związek Dużych Rodzin powstał w 2007 r. – w tym roku obchodziliśmy 18. urodziny. Naszym pierwszym postulatem, który doczekał się realizacji już w 2007 r., było wprowadzenie ulgi podatkowej na dzieci w podatku dochodowym. W kolejnych latach intensywnie współpracowaliśmy najpierw z Grodziskiem Mazowieckim i burmistrzem Grzegorzem Benedykcińskim – odbyło się wiele konferencji zwieńczonych pierwszym Ogólnopolskim Zjazdem Dużych Rodzin w Grodzisku w 2012 r. – następnie z innymi samorządami, także z ministrem pracy. Te działania przyniosły lawinowy rozwój samorządowych kart dużej rodziny, zwieńczony wprowadzeniem karty ogólnopolskiej. Dziś ten system zniżek jest rozpoznawalny w całej Polsce, z ponad 10 tys. firm udzielających rabatów dużym rodzinom w 30 tys. punktów. Podkreślamy także potrzebę wyrównania szans dla dzieci z dużych rodzin. Chcieliśmy, aby nasze dzieci miały szansę korzystania z korepetycji, szkół językowych, muzycznych czy obozów wakacyjnych. Program 500+ zrodził się z idei bonu wychowawczego postulowanego przez nasz Związek oraz wiele innych środowisk rodzinnych i muszę przyznać, że w tamtym czasie przerastał nasze oczekiwania co do tego, co jest możliwe. Ten program stał się realnym finansowym wsparciem dla wielu rodziców. Jego wielką wartością jest to, że nie jest programem socjalnym skierowanym jedynie do rodzin wymagających wsparcia pomocy społecznej. Warto patrzeć na ten program jako na mechanizm niwelujący niesprawiedliwe obciążenie podatkami pośrednimi (jako częściowy zwrot VAT czy akcyzy). Dostrzeżone zostały też mamy – szczególnie te, które wychowywały przynajmniej czworo dzieci i z powodu obowiązków rodzinnych nigdy nie podjęły pracy zawodowej. Przez wiele lat próbowaliśmy zwrócić też uwagę na najmłodsze dzieci, które ze względu na rozwój emocjonalny jak najdłużej powinny pozostać z mamami. Wiele zostało jeszcze do zrobienia, np. w kwestii sprawiedliwych rozliczeń podatkowych czy nierozwiązanych dotychczas problemów mieszkalnictwa dla dużych rodzin.

Dziś już w prawie każdym zakątku naszego kraju funkcjonują regionalne koła Związku Dużych Rodzin. W zależności od lokalnych potrzeb organizujemy konferencje, szkolenia, warsztaty, a także bezpośrednią pomoc materialną adresowaną do konkretnych rodzin. W 2021 r. uruchomiliśmy Akademię Talentów, która jest formą wsparcia – nie tylko finansowego – dla uzdolnionej młodzieży z dużych rodzin. Od 2022 r. prowadzimy ambitny projekt Certyfikacji Samorządów Przyjaznych Rodzinie. Jest to program o tyle ważny, że w każdej gminie, mieście, wsi czy powiecie potrzeby rodzin wyglądają inaczej. Dzięki naszemu zaangażowaniu powstaje swoisty bank dobrych praktyk, który znacząco skraca drogę od problemu do jego rozwiązania. W wyniku naszej współpracy z samorządami wiele polskich gmin, miast i powiatów przystąpiło do Europejskiej Sieci Samorządów Przyjaznych Rodzinie budowanej z inicjatywy ELFAC, zrzeszającej już ponad 200 samorządów w Europie. W 2024 r. zrealizowaliśmy pilotażowy program family spotów – miejsc przyjaznych rodzinie w 24 gminach. Obecnie realizujemy wiele takich programów we współpracy z samorządami.

Mówi pan, że pozostało jeszcze wiele do zrobienia. Jakich rozwiązań systemowych brakuje? Co jakiś czas wraca temat ilorazu podatkowego. Jego wprowadzenie było nawet rozważane za rządu Zjednoczonej Prawicy, ale okazało się nieopłacalne politycznie. Co pan o tym myśli?

Tak, jest jeszcze sporo obszarów wymagających uwagi. Wśród dobrze opracowanych przez naszych ekspertów rozwiązań na pewno istotny jest wspomniany iloraz podatkowy, który pozwala na sprawiedliwe ustalenie poziomu obciążeń podatkowych dostosowanego do liczby osób w rodzinie i znosi obecną dyskryminację podatkową formalnie zawartych małżeństw. Obecne rozwiązania (system kwot wolnych od podatku) jest daleki od doskonałości i zwłaszcza w rodzinach wysokowielodzietnych (z piątką i większą liczbą dzieci), z dużą liczbą osób na utrzymaniu często z jednej pensji, prowadzi do niesprawiedliwych efektów podatkowych. Iloraz podatkowy jest rozwiązaniem najprostszym i najsprawiedliwszym – przed opodatkowaniem dzielimy dochód na liczbę osób utrzymywanych z tego dochodu i dopiero tak podzielony dochód obciążamy podatkiem z uwzględnieniem kwot wolnych od podatku i progów podatkowych. Uważamy, że przy projektowaniu współczynników dla kolejnych dzieci w ilorazie podatkowym powinien zostać zachowany mechanizm progresywnego wzrostu kwoty wolnej od podatku na trzecie, czwarte i każde kolejne dziecko – analogicznie do rozwiązania zastosowanego w obowiązującej uldze podatkowej. To rozwiązanie pozwoliłoby zrównać z punktu widzenia podatkowego wszystkie dzieci – bez rozróżnienia, czy są wychowywane w rodzinach pełnych, czy niepełnych, a odpowiedni schemat współczynnika ilorazu rodzinnego pozwoli na sprawiedliwe uwzględnienie sytuacji rodzin wysokowielodzietnych. Biorąc pod uwagę stosunkowo nieliczną grupę takich rodzin w Polsce, to rozwiązanie byłoby praktycznie bezkosztowe

Fot. Parlament Europejski

eprasa.pl b3ca89e6a7

dla budżetu państwa, a przyniosłoby tym rodzinom bardzo istotną zmianę sytuacji. Podobnie w innych programach istotne jest zwrócenie uwagi na szczególne rozwiązania dla rodzin wysokowielodzietnych.

Kolejnym postulatem jest rodzinny bon mieszkaniowy – wsparcie w programach mieszkaniowych systemowo uwzględniające liczbę dzieci w rodzinie. Dostęp do mieszkań pozostaje jedną z największych barier dla młodych rodzin. Dalej – rozszerzenie programu „Mama 4 Plus" także na matki pracujące, tak aby łączenie aktywności zawodowej z wychowaniem dzieci było również premiowane w systemie emerytalnym. Mamy też propozycję emerytury rodzicielskiej – dodatkowy „filar" systemu emerytalnego wzorowany na rozwiązaniu francuskim. To tylko niewielki wycinek naszych prac. Sięgają one znacznie szerzej i dotykają również obszarów, takich jak zdrowie psychiczne, rozwój kompetencji w relacjach małżeńskich i rodzicielskich, edukacja i kultura.

A co z dyskryminacją dużych rodzin w mediach i przestrzeni publicznej?

Określenie „dyskryminacja w przestrzeni publicznej" jest może nieodpowiednie. Chodzi bardziej o zwrócenie uwagi na to, jakie treści, wartości, style życia są obecne, przeważające, a przez to promowane w mediach, a jakie – pomijane lub marginalizowane. Mam wrażenie, że w polskich programach telewizyjnych i portalach informacyjnych dominują tematy związane z przestępczością, przemocą, skandalami obyczajowymi, zdradą, uzależnieniami itd. („Kryminalni", „Lombard", „Trudne sprawy"). Tymczasem np. we Francji kilkakrotnie zdarzyło mi się włączyć telewizor w paśmie popołudniowym i za każdym razem natykałem się na reportaże o rodzinach wielodzietnych czy wywiady ze szczęśliwymi małżonkami i rodzicami, szczęśliwymi, zwykłymi dziećmi ze zwykłych, pełnych rodzin. Jeśli nasze dzieci, następne pokolenia, są wystawiane na nieustanne bombardowanie negatywnym przekazem i patologią w mediach przy braku pozytywnych wzorców, to pewnie nie pomaga im to w koncentrowaniu swoich aspiracji życiowych na stworzeniu małżeństwa i szczęśliwej rodziny. W przekazie medialnym taki twór po prostu nie istnieje albo jest zupełnie wyjątkowy.

Jakie są źródła kryzysu demograficznego toczącego Europę?

Jest ich wiele. Nasze społeczeństwa zatraciły poczucie wartości i doniosłości małżeństwa jako co do zasady trwałego związku na całe życie. Zdaniem psychologów w pokoleniach nastolatków wychowanych w social mediach nastąpiła zmiana dominujących aspiracji życiowych. Dawniej były to szczęśliwa rodzina i dobra praca, teraz – sława i bogactwo. Skutki społeczne są namacalne i zatrważające – kolejne pokolenia stopniowo zatracają zdolność wchodzenia w związki małżeńskie, następuje pandemia samotności. Oprócz kryzysu demograficznego inną chorobą toczącą Europę jest pandemia samotności. W Polsce np. 25 proc. kobiet w wieku 20–40 lat nie pozostaje w żadnym związku. By rodziły się dzieci, najpierw muszą tworzyć się związki, trwałe związki – małżeństwa. Drugą obok małżeństwa podstawową dla tworzenia i trwania każdego społeczeństwa wartością ulegającą postępującej degradacji jest macierzyństwo. Kobiety są poddawane nieustającej presji: jesteś kobietą wartościową, jeżeli robisz karierę zawodową. Chcesz mieć dzieci – dobrze, pomożemy ci, żeby nie przeszkadzały w karierze zawodowej, zapewnimy żłobek, opiekę itd. W tej narracji aktywność zawodowa jest wartością najwyższą, a macierzyństwo i dziecko – przeszkodami, utrudnieniami, barierami, zniewoleniem. Czy dziecko i macierzyństwo są skarbem, diamentem, błogosławieństwem, czy przeszkodą, problemem, zniewoleniem? Ta narracja ma olbrzymie znaczenie i moim zdaniem również bardzo istotny wpływ na obserwowany drastyczny spadek liczby urodzeń w Europie. Jeśli polityka rodzinna państwa jest ukierunkowana na usuwanie barier i przeszkód powodowanych przez problem macierzyństwa, to po co w ogóle ściągać na siebie ten problem? Państwo powinno szukać sposobów na realne docenienie, dowartościowanie macierzyństwa, roli kobiety jako matki. Przykład – mama dziecka w wieku do lat 3, która opiekuje się maluchem w domu, otrzymuje świadczenie w wysokości 500 zł miesięcznie, ale jeśli pójdzie do pracy zawodowej i wyśle dziecko do żłobka, to otrzyma świadczenie w wysokości 1,5 tys. zł. Co państwo ceni bardziej: macierzyństwo czy aktywność zawodową?

Zdaniem psychologów w pokoleniach nastolatków wychowanych w social mediach nastąpiła zmiana dominujących aspiracji życiowych. Dawniej były to szczęśliwa rodzina i dobra praca, teraz – sława i bogactwo

Jakie jest remedium na obie choroby – zapaść demograficzną i pandemię samotności?

Rodzina. Wszyscy powinniśmy otworzyć nasze umysły i szukać odpowiedzi na pytanie, jak pomóc kolejnym pokoleniom odbudować wiarę w siebie i drugiego człowieka, zdolność do bezinteresownego ofiarowania czegoś z siebie drugiej osobie – co jest warunkiem początkowym wejścia w dobrą relację. Jak odtworzyć zdolność do budowania trwałych relacji na całe życie i wiarę w to, że jest to możliwe, do odkrywania radości i szczęścia zwyczajnego życia rodzinnego z małżonkiem i gromadką dzieci, i że wszystkie inne, również dobre aspiracje – kariera, sława, pieniądze – to tylko dodatki, które same w sobie nie dadzą szczęścia. Brzmi to prosto, ale rzeczywistość pokazuje, że nie jest to takie łatwe.

eprasa.pl b3ca89e6a7

Zwierciadło epoki



MACIEJ WALASZCZYK

„Kobieta, która rano robi sobie makijaż, robi dla kultury swego kraju więcej niż wszyscy jej funkcjonariusze razem wzięci” – taką uwagę poczynił swego czasu niemiecki myśliciel i aforysta Michael Klonovsky, prowadzący podjazdowe wojny z feministkami. I oczywiście potwierdził jedynie to, co wiemy przynajmniej od czasów królowej Nefretete i Kleopatry. Istnieje także druga strona tego medalu, której emblematyczną postacią, choćby w świecie polityki, jest np. Nancy Pelosi, znana polityk Partii Demokratycznej i była przewodnicząca Izby Reprezentantów. Licząca dziś 85 lat kobieta to wyblakła królowa chirurgii plastycznej, którą złośliwy Tucker Carlson przedstawił kiedyś jako jedną z metamorfoz Michaela Jacksona. Dziś takich gwiazd z botoksu i kolagenu mamy oczywiście na pęczki, dominują one w świecie show-biznesu i mediach. A wśród kobiet polityków (także mężczyzn) znajdują się one chyba po wszystkich stronach politycznego sporu.

Chirurgia plastyczna stała się bowiem dziedziną nowoczesnej medycyny i równocześnie rodzajem spektaklu odzwierciedlającego kryzys męskości i kobiecości we współczesnym świecie. Dziś dostrzegamy moment, kiedy jej główna funkcja, którą było leczenie osób okaleczonych czy zniekształconych przez naturę, została pochłonięta przez materialistyczne monstrum. Współcześnie ciało jest bowiem wszystkim – demiurgiem nowoczesności.

Ulice są pełne klonów o kaczych twarzach: kobiet, które zamieniły swe piękno – nawet jeśli niedoskonałe – na kiepską kopię fałszywego i globalnie ustandaryzowanego modelu. Medycyna estetyczna zamyka nas w więzieniu chorobliwego narcyzmu



Fot. Shutterstock

eprasa.pl b3ca89e6a7

Głównym zaś celem nauki i technologii świata Zachodu było uczynienie życia łatwym, wygodnym, bezpiecznym i zabawnym. Są to jednak pragnienia bardziej kobiece niż męskie. I takie są ich konsekwencje.

ZMIENNE KANONY PIĘKNA

Według Homera bogini Hera, szykując się do uwiedzenia Zeusa, nie zaniedbała żadnego szczegółu swego wyglądu. Jednak to, na co mogła sobie pozwolić bogini, nie dotyczyło zwykłych śmiertelniczek. Długo uważano, że kosmetyki i makijaż wprowadzają w błąd i ceniono naturalne piękno. Potem Grecy zaczęli przedstawiać swoich bogów w ludzkiej postaci, dostrzegając boskie piękno po prostu w ludzkiej zwyczajności. To kobiety – silne, zdrowe, o krąglejszych kształtach i szerokich biodrach. Według Platona tym ideałem jest harmonia i równowaga kontrastów. Oczywiście mówiąc o tzw. kanonach piękna, musimy się odnosić do naszych – ludzi Zachodu – wyobrażeń, a te na przestrzeni wieków drastycznie się zmieniały.

Możemy bowiem zaobserwować ewolucję spojrzenia na ludzkie ciało, które dziś dokumentuje nie tylko literatura, lecz także rozmaite wizje utrwalone w rzeźbach, malarstwie, a potem na fotografii i filmie jako dziełach artystów. Piękno nie dotyczy jednak wyłącznie sztuki, bo mimo wszystko jest zjawiskiem społecznym kształtującym historię kulturową narodów i dotyczyło zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Europejski kanon piękna jest jednak ściśle związany z historią sztuki i trudno go pojąć bez rozumienia obowiązującej w danym momencie filozofii, religii czy diety.

Kobieta starożytnego Egiptu musiała być szczupła, o delikatnych rysach twarzy i gładkiej cerze. Egipcjanki na co dzień stosowały makijaż – szczególnie podkreślający oczy – depilowały ciało, farbowały włosy. Również w czasach średniowiecza dominowała smukła sylwetka, ale już naturalna uroda. I choć znane były różnego rodzaju wspomagające ją receptury, to jednak Kościół stał na stanowisku, że kosmetyki mają pogański rodowód i należy ich unikać. Późniejsze czasy, tzw. renesansu kultury antycznej, przynoszą powrót do nagości, klasycznych wzorców, a kobieta staje się wręcz główną bohaterką epoki. Stara się poprawiać urodę, ukrywa jej niedoskonałości kosmetykami. Modna jest depilacja brwi i farbowanie włosów. Gwałtowne zmiany następują w XVIII w. – najpierw dominuje klasyczna twarz, małe usta, zgrabny nos, mleczna cera i delikatność, potem natomiast moda na kobiety dojrzałe, a wraz z nią makijaże i gigantyczne ilości pudru, który powoduje komplikacje zdrowotne.

Mody zmieniają się więc w coraz szybszym tempie. Szczególnie że rozwija się branża kosmetyczna, a potem medycyna estetyczna. Dziś nie ma wątpliwości, że na ludzką wyobraźnię silnie wpływają stereotypy narzucone przez media, a wzorce propagowane przez firmy marketingowo-modelingowe oraz lobby kosmetyczne przyjmowane są wręcz bezkrytycznie.

Z coraz większą ciekawością oglądam więc filmy z lat 50. 60. i 70. XX w., bo widzę w nich kobiety – a także mężczyzn – wyglądające zupełnie inaczej niż współcześnie. Zdecydowana większość z nich wyróżnia się rzadko dziś spotykaną elegancją, kobiecością i wdziękiem. Ciałem, któremu zupełnie nie potrzeba siłowni, botoksu i tatuaży. Wszystko to znów odeszło do przeszłości, a wraz z nią również ówczesny pogląd na piękno. Choć również wtedy zdarzały się aktorki starające się korzystać z pomocy lekarzy. Np. Greta Garbo usunęła tylne zęby, by bardziej uwydatnić kości policzkowe. Marilyn Monroe nie tylko doklejała rzęsy, lecz także – jak się okazało – przeszła dwa zabiegi powiększenia podbródka, dzięki którym skorygowany został owal jej twarzy. Dominuje jednak to, co w nich jest naturalne. A tą naturalnością szczyciły się oczywiście Brigitte Bardot, Claudia Cardinale, Ursula Andress – pierwsza dziewczyna Bonda, nie mówiąc o jasnowłosej i niebieskookiej Doris Day albo niezwykle atrakcyjnych brunetkach Jane Russell czy Audrey Hepburn.

To samo możemy powiedzieć o Poli Raksie, Irenie Karel, Annie Dymnej, Marii Chwalibóg, Ewie Szykulskiej i wielu innych. Dziś kobiety coraz częściej ulegają modzie na poprawianie swojej naturalnej urody, dołączając do szeregu jednakowo wyglądających twarzy.

SKALPEL WKRACZA DO GRY

Medycyna estetyczna z założenia miała nieść pomoc ludziom oszpeconym w wyniku wypadków, oparzeń, chorób czy wad wrodzonych. Problemem są przecież trwałe okaleczenia twarzy, kończyn, usuwanie blizn – np. po oparzeniach czy zabiegach chirurgicznych. Jeszcze w latach 90. ta gałąź medycyny zajmowała się np. regeneracją ścięgna Achillesa poprzez pobranie tzw. powięzi mięśnia skroniowego, uformowanie go, a potem wszczepienie w nogę pacjenta. Oczywiście odbywały się także rekonstrukcje piersi po zabiegach mastektomii czy bardziej prozaiczne zabiegi, jak operacje żylaków, przepukliny albo korekcji zeza.

W końcu wszystko poszło w jednym kierunku według zasady: gdy nie pomagają kremy i zabiegi kosmetyczne, w odwodzie pozostaje chirurgia plastyczna. Operacje, z których kiedyś najczęściej korzystały kobiety z warstw zamożnych, pojawiły się już 60 lat temu, ale odkąd przestały wystarczać dobry makijaż, a potem cyfrowe filtry zainstalowane na Instagramie czy Facebooku, do gry wkroczył skalpel, a więc chirurgia i cała gama nowych środków medycznych. Jeśli ok. 25 lat temu robiło się duże usta i piersi na wzór serialowej Pameli Anderson – choć i to wciąż jest w modzie – dziś kobiety właśnie „u lekarza" również poszukują sposobu na uzyskanie naturalnego piękna. A o tym, co jest piękne, decyduje zbiór fizycznych odniesień, wzorców uznanych w mediach i sieciach społecznościowych za absolutne i niedoścignione kanony wdzięku i seksapilu. W ofertach pojawiło się zatem modelowanie sylwetki, a więc odsysanie tłuszczu z podbródka, ramion, pleców, brzucha i nóg, podciąganie pośladków, powiększanie ust i oczywiście powiększanie piersi. Do tego uwydatnianie kości policzkowych, żuchwy, podnoszenie czoła i brwi, zmienianie kształtu nosa, uszu, brody. Można też wyszczuplić szyję i usunąć zmarszczki.

eprasa.pl b3ca89e6a7

NOWA URODA I NOWA MEDYCYNA

Gdy jednak widzimy efekty poprawiania urody i swego rodzaju nałogu, w jaki wpadają „pacjentki" tej gałęzi medycyny, odnosimy wrażenie, że jest ona refleksem otaczającego nas coraz bardziej nieludzkiego świata. Lekarze z zapałem celebrytów prących do sławy bezlitośnie wykorzystują technologie kliniczne do deformacji ludzkiego ciała w celu osiągnięcia najdoskonalszego plastycznego piękna – a może raczej na nowo pojętego zestandaryzowanego „piękna". Owo klasycznie pojmowanie piękno Afrodyty, powszechne rozumiane i odczuwane, zostało po prostu podmienione. Ciało, które było również świątynią duszy, stało się wyłącznie obiektem pożądania.

Poza fundowanym kiczem pojawiają się zarzuty, że lekarze specjalizujący się w chirurgii plastycznej zupełnie nie liczą się ze zdrowiem pacjentów. Więc dopóki ci dobrze płacą, zawsze znajdą się gotowi deformować ich ciała w sposób, w jaki sobie wymarzyli. Wiele z tych operacji jest sprzecznych z naturą, czego dowodzą nie tylko szokujące metamorfozy, lecz także chorobliwe i prowadzące do tragedii operacje zmiany płci, które ostatnimi czasy stały się modne. Konsekwencjami źle przeprowadzonej operacji są oczywiście zniekształcenia ciała, ale przecież dochodzi również do komplikacji prowadzących nawet do śmierci. Dzieje się to za sprawą lekarzy, których chyba już niewiele łączy z etosem tego zawodu, gdyż stali się oni zwykłymi dostawcami usług estetycznych.

DEMOKRATYZACJA ESTETYKI

Dziś również urodę można kupić – to towar dostępny każdemu bez względu na klasę społeczną. Więc także kapitalizm rozwija się dzięki ekonomii estetyki, karmi się zatem dążeniem do pożądanego piękna. W miarę upływu lat urodę można poprawiać tylko skalpelem, ale za duże pieniądze. W świecie, w którym trzeba być zdrowym i bogatym i który wyżej ceni opakowanie niż zawartość, chirurgia plastyczna stała się niezbędna jak powietrze. Równolegle postępuje proces dehumanizacji nauk medycznych, którego źródłem są postępowe idee oraz rodzące się z nich mistyfikacje. W Niemczech powiększenie piersi u kobiet, które mają bardzo mały biust i stanowi to dla niech rodzaj dyskomfortu psychicznego, utrudnia ich normalne funkcjonowanie, jest refundowane przez państwo.

> Chirurgia plastyczna stała się rodzajem spektaklu odzwierciedlającego kryzys męskości i kobiecości we współczesnym świecie. Dziś dostrzegamy moment, kiedy jej główna funkcja, którą było leczenie osób okaleczonych czy zniekształconych przez naturę, została pochłonięta przez materialistyczne monstrum

Operacje chirurgii plastycznej, niegdyś zarezerwowane dla sfer wyższej burżuazji, polityki i show-biznesu, są teraz dostępne dla ludzi należących do wszystkich kategorii społeczno-ekonomicznych i – co jeszcze bardziej niepokojące – prawie wszystkich grup wiekowych. Zwiększyło się więc również przyzwolenie społeczne – właśnie za sprawą wspomnianych mediów społecznościowych i pokolenia Y, czyli osób, które urodziły się w latach 90. XX w., a poprawianie naturalnego wyglądu stało się rzeczą naturalną.

To też model swoistej „demokratyzacji" i uniformizacji społeczeństwa, które chełpi się „różnorodnością" i indywidualizmem. Paradoksalnie odsłania jego prawdziwe oblicze, gdyż ujawnia ono w swej masie chęć robienia „tego samego", pożądanie wszystkiego, co niezróżnicowane i znormalizowane. Nasze ulice są więc pełne klonów o kaczych twarzach, które zamieniły swe piękno – nawet jeśli niedoskonałe – na kiepską kopię fałszywego i globalnie ustandaryzowanego modelu. Takie same brwi, usta, powieki, figury, rysy twarzy. Aby „być sobą", należy zatem korygować i przemienić samego siebie. Jeden z francuskich krytyków współczesnej kultury dostrzegł w tym pewną prawidłowość. Zwrócił uwagę, że członek masowego współczesnego społeczeństwa hołduje zasadzie, że aby żyć szczęśliwie, musi żyć identycznie jak inni. Czuje się sobą wtedy, kiedy już sobą nie jest. A tyrania obrazu, selfie i szaleńcza pogoń za polubieniami stały się ersatzami udanego i spełnionego „życia społecznego".

CHOROBLIWY NARCYZM

Zresztą i to stało się przedmiotem badań oraz terapii psychologów. Bo skoro możemy uzależnić się od internetu, zakupów, diety i budowy wysportowanej sylwetki lub opalenizny, to dlaczego nie od operacji plastycznych? Jest na to nowe określenie – „estetoreksja". To nowe zjawisko, choć niesklasyfikowane jako jednostka chorobowa. Ujawnia się, gdy osoby poddające się zabiegom medycyny estetycznej nie dostrzegają, że w ich wyniku zamiast upiększenia uzyskują efekt odwrotny, najczęściej karykaturalny. Być może chirurgia plastyczna (podobnie jak kiedyś psychoanaliza) jest dziś na dobrej drodze do przemienienia się w społeczną chorobę, która za pomocą mediów i reklamy udaje terapię. Znalazła bowiem znakomity grunt dla triumfu powszechnie panującej obsesji na punkcie ciała i jego deformacji, zamykając nas jednak w więzieniu chorobliwego narcyzmu.

eprasa.pl b3ca89e6a7

Wieczorem bez tabu i nudy

Nowa formuła programu „Minęła 20.05” w telewizji wPolsce24 z miejsca zyskała uznanie widzów najszybciej rozwijającej się stacji w kraju. Dorota Łosiewicz i Marek Pyza zapraszają codziennie po „Wiadomościach wPolsce24”



Jest szybko, na temat i bez poprawności politycznej. Świetnie znani czytelnikom tygodnika „Sieci” Dorota Łosiewicz i Marek Pyza robią program, jaki w polskiej telewizji trudno znaleźć: mocny, do bólu uczciwy, przedstawiający najtrudniejsze sprawy takimi, jakie są. A jednocześnie z oddechem i swoistym luzem, którego Polacy potrzebują w tych trudnych czasach.

NATYCHMIAST „KUPIENI”

„Poszerzony skład zauważony sam przez się. Teraz program poszybuje w Nielsenach” – pisze na Facebooku jeden z fanów Doroty Łosiewicz.

„Oglądam. Naprawdę warto, majstersztyk dziennikarstwa, przeszliście każdą konkurencję i postawiliście bardzo wysoko poprzeczkę sami sobie, aby poziomu nie obniżyć. Dynamiczny show, którego jeszcze nie było w tv, uroczo podane, przymrużenie oka do inteligentnego widza, kompetencja i mądrość. Genialne, dziękuję” – to inna opinia umieszczona na facebookowym profilu telewizji wPolsce24.

– Dorota i Marek jako współprowadzący „Minęła 20.05” zostali natychmiast „kupieni” przez naszych widzów – potwierdza dyrektor programowy wPolsce24 Mariusz Pilis. Wskazują na to dane telemetryczne – w szczycie program Łosiewicz i Pyzy regularnie osiąga okolice 200 tys. widzów.

„Minęła 20.05” jest nie tylko po to, żeby dowiedzieć się, co się danego dnia wydarzyło, ale też kto ten dzień wygrał, a kto powinien już zejść z politycznej sceny – podkreśla dyrektor stacji.

W minioną środę bardzo mocnym kandydatem w tej kategorii został minister Radosław Sikorski. Twórcy „Minęła 20.05” wzięli na warsztat jego szokujące wystąpienie w Sejmie, podczas którego człowiek będący jedną z twarzy Tuskowego resetu z Rosją w latach 2008–2014 zarzucił prezydentowi Karolowi Nawrockiemu bez mała działanie na rzecz Moskwy. Miałoby ono polegać np. na... obronie polskiej suwerenności w Unii Europejskiej. Sikorski miał pretensję, że podczas swojego wystąpienia z okazji Święta Niepodległości prezydent „nie znalazł miejsca na wspomnienie o rosyjskiej agresji i bombardowaniach Kijowa” oraz śmiał krytykować polityków łaszących się do obcych. Minister spraw zagranicznych zdołał nawet obarczyć głowę państwa winą za to, że podczas Marszu Niepodległości ktoś spalił unijną flagę...

„Atakują nas rosyjskie służby, a szef MSZ uznaje to za dobry moment do ataku na polskiego prezydenta” – komentował w „Minęła 20.05” Marek Pyza. „Przy każdej okazji trzeba przypomnieć o swojej służalczości wobec brukselskich elit, nawet wbrew interesom Polski” – dodawał. „Jak widać dla obozu rządzącego każdy moment jest dobry na tanią polityczną wojenkę, nawet ten, w którym mamy do czynienia z realnym zagrożeniem bezpieczeństwa” – podkreślał.

„A może po prostu Radosław Sikorski nie otrząsnął się z traumy w wyborach prezydenckich, w których jego partyjne zaplecze po raz kolejny uniemożliwiło mu start? Gdyby ego mogło latać, pan Sikorski wyfrunąłby z sali plenarnej” – ironizowała Dorota Łosiewicz.

Prowadzący przypomnieli wypowiedź prezydenckiego ministra Marcina Przydacza, który prosił Sikorskiego, by ten się wreszcie opamiętał.

„Gdy dzisiaj Władimir Putin ogląda wystąpienie ministra spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej w Sejmie, myślę, że pojawił się na jego twarzy uśmiech i pojawiają się oklaski” – mówił Przydacz.

„Pewnie tak było i wtedy, gdy Sikorski roił o członkostwie Rosji w NATO” – komentowała Dorota Łosiewicz, chwaląc jednocześnie ministra za cofnięcie zgody na działanie ostatniego konsulatu Federacji Rosyjskiej w Gdańsku.

NAJLEPSI GOŚCIE

„Do Rosji jeszcze wrócimy, bo to, co te dzikusy dzisiaj zrobiły, było kolejnym przekroczeniem granic, ale teraz nasza

Autopromocja

eprasa.pl b3ca89e6a7

mała Rosja, czyli pogrobowcy PZPR na szczytach władzy" – płynnie zmieniał wątek Pyza.

„Wczoraj dostaliśmy w twarz Czarzastym jako marszałkiem Sejmu, który szczyci się swoim czerwonym rodowodem" – podjęła go Łosiewicz. „Jakby tego było mało, dziś wymierzono nam drugi policzek. Szefem Kancelarii Sejmu został Marek Siwiec" – dodawała, zapowiadając scenę, która od dekad kojarzy się z Siwcem, a więc niesławne parodiowanie przez komunistycznego aparatczyka św. Jana Pawła II i jego gest całowania ojczystej ziemi.

Dalej było jeszcze ciekawiej, jeszcze mocniej, jeszcze dynamiczniej.

– Powierzenie prowadzenia naszego flagowego wieczornego programu publicystycznego tej doświadczonej parze dziennikarzy zdynamizowało format, przydało mu świeżości i oryginalności – podkreśla Pilis. – W ich programie nie ma tematów tabu. Są za to gorące wydarzenia polityczne, omówienie kluczowych dla Polski i świata konfliktów, wielkie emocje. No i najlepsi goście, ludzie, którzy naprawdę wiedzą, co dzieje się za kulisami spraw, którymi żyjemy – dodaje.

Taką osobą z pewnością jest szef Kancelarii Prezydenta RP Zbigniew Bogucki. To właśnie u Łosiewicz i Pyzy po raz pierwszy szeroko odnosił się on do skandalu związanego z bezradnością rządu wobec aktu dywersji, do którego doszło na trasie kolejowej Warszawa–Lublin.

Zdaniem Boguckiego rządzący nie potrafią zadbać o komunikację w sytuacjach kryzysowych. Efekt: gigantyczny, groźny dla Polski chaos.

„Obywatele szybciej dowiadują się z mediów, co się wydarzyło niż z oficjalnych kanałów rządowych" – mówił Bogucki. „To jest znamienne, bo premiera Tuska nie ma zawsze wtedy, kiedy faktycznie dzieje się coś, czego nie potrafi wytłumaczyć, kiedy są rzeczywiste problemy – wtedy wysyła swoich ministrów" – dodawał.

> Dorota i Marek jako współprowadzący „Minęła 20.05" zostali natychmiast „kupieni" przez naszych widzów – potwierdza dyrektor programowy wPolsce24 Mariusz Pilis. Wskazują na to dane telemetryczne – w szczycie program Łosiewicz i Pyzy regularnie osiąga okolice 200 tys. widzów

W „Minęła 20.05" Bogucki odnosił się także do skandalu, jakim było niepoinformowanie prezydenta przez rząd o tym, co stało się w pobliżu Garwolina. Przypomniał, że w ostatnim czasie szefowie służb nie pojawili się na spotkaniu w pałacu prezydenckim na zaproszenie głowy państwa. A rozmowy miały dotyczyć m.in. odpowiedniego reagowania na sytuacje kryzysowe.

„Jak widać w takich sytuacjach Donald Tusk nie kieruje się interesem państwa polskiego, nie kieruje się kwestią bezpieczeństwa, tylko kieruje się polityką" – stwierdził szef KPRP.

NAJSZYBSZY ROZWÓJ

Nowa formuła programu „Minęła 20.05" jest kolejną zmianą wprowadzoną przez stację tej jesieni. Wśród innych nowości są m.in. poranne rozmowy doskonale znanego naszym czytelnikom Marcina Wikły, „Bez pardonu" Anny Pawelec i Dariusza Matuszaka (poniedziałek–piątek o godz. 14.00) czy „Piątki" Olivera Pochwata (poniedziałek–piątek o godz. 13.25). Niedawno dołączyli do nich Marta Radziach, Wiktor Świetlik i Wojciech Surmacz ze swoim „Zwalniamy cię" (niedziela, godz. 14.00).

Telewizja wPolsce24 jest najszybciej rozwijającą się stacją informacyjną w kraju. Według danych zajmującej się telemetrią firmy Nielsen w październiku średnia minutowa widownia wPolsce24 wynosiła blisko 76 tys. widzów, a udział w rynku sięgnął 1,44 proc. Rok wcześniej było to jedynie 0,79 proc. Są dni, jak 11 listopada, kiedy wPolsce24 nadawała m.in. ekskluzywny wywiad z prezydentem Karolem Nawrockim, ze średnią oglądalnością zbliżającą się do 150 tys. widzów (w szczycie było to ponad 580 tys. widzów) i udziałami w rynku przekraczającymi 2 proc.

ŁW



eprasa.pl b3ca...6a7



Kijów pod ścianą

Przyjęcie przez Kijów nowych propozycji pokojowych wypracowanych przez amerykańskich i rosyjskich polityków byłoby w gruncie rzeczy aktem kapitulacji. Ukraina miałaby się pogodzić z utratą Donbasu i Krymu, zredukować swe siły zbrojne o połowę, zrezygnować ze zdolności do uderzeń dalekiego zasięgu. A to nie wszystko



MAREK BUDZISZ

Donald Trump ma kolejny plan zakończenia wojny na Ukrainie, a jego spotkanie w Budapeszcie z Władimirem Putinem staje się coraz bardziej realne. 28-punktowy plan pokojowy jest wynikiem trzydniowych, utrzymywanych w tajemnicy, negocjacji, w których uczestniczyli z amerykańskiej strony Steve Witkoff, a z rosyjskiej – Kirił Dmitriew. Nie jest to jednak „autorska" propozycje obydwu polityków, bo jak donosi stacja telewizyjna NBS, po stronie amerykańskiej w poufne rozmowy byli także zaangażowani J.D. Vance, Rubio i zięć Trumpa Jared Kushner.

ROSJANIE WYSŁUCHANI

Dmitriew powiedział amerykańskiemu portalowi Axios, że „ma poczucie", iż rosyjskie stanowisko „zostało usłyszane" i oczywiście uwzględnione w propozycjach zakończenia wojny. Trudno polemizować z odczuciami szefa rosyjskiej Agencji Inwestycji Zagranicznych, kiedy przeczyta się znajdujące się w „planie" propozycje. Agencja AFP ujawniła, iż Ukraina miałaby się pogodzić z utratą Donbasu i Krymu, choć nie przewiduje się, że Kijów formalnie uzna rosyjską aneksję półwyspu. To, czyli prawna akceptacja jego przyłączenia do Federacji Rosyjskiej, miałaby być – w świetle doniesień portalu Axios – gestem, na którego wykonanie zdobędą się Stany Zjednoczone i amerykańscy sojusznicy. Dla europejskich polityków ten gest solidarności z Waszyngtonem może być szczególnie trudny, bo oznacza symboliczne i upokarzające odwołanie swych wcześniejszych niezłomnych deklaracji.

Aby uniknąć referendum – bo ukraińska konstytucja przewiduje taki tryb w przypadku zgody na oddanie swych terytoriów – projekt porozumienia zakłada formułę dzierżawy przez Rosję Donbasu za nieustaloną, ale zapewne nieoszałamiającą kwotę. Region stałby się „strefą zdemilitaryzowaną", w której ani Ukraina, ani Rosja nie mogłyby posiadać swoich sił zbrojnych. Dodatkową gwarancją utrzymania stabilności i uniknięcia starć miałaby być 20-kilometrowa strefa buforowa wzdłuż linii rozgraniczenia, również bez stacjonujących tam żołnierzy.

Ukraina musiałaby też zredukować swe siły zbrojne o połowę – do 400 tys. żołnierzy – zrezygnować ze zdolności do uderzeń dalekiego zasięgu i zgodzić się na wiele zmian w swej polityce wewnętrznej. Najbardziej upokarzającą miałoby być nie tyle nadanie językowi rosyjskiemu statusu państwowego, ile zgoda na reaktywowanie działalności Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Mo-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b3ca89e6a7

skiewskiego, organizacji tyleż religijnej, co otwarcie zaangażowanej we wspieranie rosyjskiej agresji. O członkostwie w NATO i europejskim „kontyngencie stabilizacyjnym", o którym ostatnio zrobiło się zresztą bardzo cicho w stolicach naszego kontynentu, też nie ma mowy.

Chris Miller, korespondent „Financial Times", napisał, że przyjęcie przez Kijów tego rodzaju porozumienia byłoby w gruncie rzeczy „aktem kapitulacji". Wydaje się, że podobnego zdania jest Keith Kellogg, który złożył dymisję – jak donoszą media – po tym jak szczegóły porozumienia ujrzały światło dzienne.

Co zrozumiałe, pierwsze reakcje Kijowa są również sceptyczne. Witkoff miał przedstawić szkic porozumienia Rustemowi Umarowowi, byłemu ukraińskiemu ministrowi obrony, a obecnie sekretarzowi Rady Bezpieczeństwa i Odbudowy, w trakcie ich ubiegłotygodniowego spotkania w Miami. Po nim w stolicy Turcji miały odbyć się rozmowy Witkoff–Zełenski, ale w ostatniej chwili zostały odwołane, co należy odczytywać jako desineteressment Kijowa wobec amerykańskich propozycji.

Teraz ukraińska dyplomacja wespół z europejskimi sojusznikami wypracowuje wersję alternatywną, ale perspektywy Zełenskiego nie są różowe. Po pierwsze, Rosja, widząc możliwość zawarcia korzystnego dla siebie porozumienia, najprawdopodobniej nie będzie skłonna zaakceptować innych propozycji. Pieskow w trakcie spotkania z dziennikarzami powiedział to bez ogródek. Po drugie, Europejczycy – po tym, jak zawalił się ich plan wysłania „kontyngentu stabilizacyjnego" na Ukrainę, a ostatnio nie byli w stanie porozumieć się w sprawie wykorzystania zamrożonych w Belgii rosyjskich aktywów, aby sfinansować kontynuowanie wojny – mają mało atutów, a żyjemy już w epoce, w której zaczyna się liczyć realna siła, a nie piękne słowa.

Co więcej, w wyniku afery korupcyjnej pozycja Zełenskiego jest znacząco osłabiona – zarówno w relacji z sojusznikami, jak i wewnętrznie. Na Ukrainie mówi się, że afera Mindicza – choć nie ma wątpliwości, iż korupcja na dużą skalę miała miejsce – została „rozkręcona" przez Amerykanów właśnie po to, aby osłabić Zełenskiego i wymusić nieakceptowalne wcześniej zapisy. Zwolennicy tej tezy mają wiele argumentów na poparcie swych opinii, w tym ten, iż w NABU, specjalnej agencji ścigającej korupcję, biuro ma niedawno przybyły na Ukrainę oficer łącznikowy z FBI i czynnie uczestniczy on w planowaniu kolejnych kroków operacyjnych.

Nawiasem mówiąc, osłabienie pozycji Zełenskiego pośrednio wychodzi naprzeciw oczekiwaniom Putina, który jeszcze latem br. mówił, iż podpisanie porozumienia pokojowego z Ukrainą byłoby ryzykowne, bo jej władze nie mają demokratycznego mandatu.

MOŻLIWY SCENARIUSZ

Teraz wydarzenia mogłyby się – sformułujmy taką hipotezę – potoczyć według następującego scenariusza. Najpierw porozumienie w sprawie zawieszenia broni na warunkach wypracowanych przez Witkoffa i Dmitriewa, potem na Ukrainie będą miały miejsce wybory, których Zełenski może nie wygrać, a finałem byłyby oficjalne negocjacje pokojowe. W ten sposób Kreml zrealizowałby jeden ze swych celów wojennych, jakim jest odsunięcie od władzy rzekomo „faszystowskiego" reżimu rządzącego w Kijowie.

CO ZROBI KIJÓW I JEGO EUROPEJSCY SOJUSZNICY?

Pytaniem zasadniczym jest to, co w obliczu kolejnego planu Trumpa może zrobić Ukraina i jej europejscy sojusznicy. Ci ostatni – co jest wystarczająco wymowne – nie byli informowani ani o trwających negocjacjach, ani o kształcie propozycji. „Nie zostaliśmy o tym poinformowani" – powiedział mediom Johann Wadephul, niemiecki minister spraw zagranicznych, dodając jednocześnie, że Berlin „popiera" wszelkie działania zmierzające do rozpoczęcia negocjacji pokojowych i koncentruje się na wspomaganiu Ukrainy, bo tylko to może „przekonać" Putina, iż nie ma alternatywy dla trybu negocjacyjnego. W języku strategii deklaracje niemieckiego ministra – a należy założyć, iż w podobnym duchu będą się wypowiadać jego europejscy koledzy – oznaczają, że scenariusz długiej wojny nie da Rosji zwycięstwa, bo pomoc państw naszego kontynentu nie ustanie, a lepszą opcją są negocjacje, tylko zapewne na nieco lepszych warunkach dla Ukrainy, niż zaproponowali Amerykanie. Problemem jest wszakże to, że na razie „gwarancje pomocy" dla Kijowa – a mowa o co najmniej 150 mld dol. – pozostają bardziej w sferze marzeń, planów i zapowiedzi niż konkretów. Nawet ostatnie porozumienie w sprawie sprzedaży Ukrainie przez Francję 100 myśliwców Rafale, które Zełenski podpisał w minionym tygodniu w Paryżu, sprowokowało w europejskich mediach pytania, „kto za to zapłaci", bo brakuje informacji na ten temat.

Niewykluczone, że państwa europejskie będą w stanie znaleźć pieniądze na finansowanie Ukrainy, a nawet powstaną propozycje pozwalające obejść ograniczenia w zakresie liczebności tamtejszych sił zbrojnych.

Fredrik Wesslau, szwedzki ekspert jednego ze sztokholmskich think tanków, zaproponował na łamach „The Foreign Policy", aby siły ukraińskie zostały rozlokowane na obszarze państw bałtyckich, co jego zdaniem wzmocniłoby odstraszanie Rosji. W podobnym duchu wypowiadał się w ostatnich dniach również Andrius Kubilius, litewski eurokomisarz ds. obronności, który chce, aby na Litwie oprócz Niemców stacjonował też ukraiński batalion. Nawet jeśli Rosja zgodziłaby się na tego rodzaju pomysły – co wydaje się nieprawdopodobne – to i tak otwartą pozostaje kwestia, w jaki sposób Europa miałaby wymusić na Putinie rozpoczęcie negocjacji na gorszych warunkach, niż proponują mu Amerykanie.

Korekty „planu pokojowego" są pewnie możliwe, ale zmiana jego istotnych punktów zapewne już nie. Ukraina i jej sojusznicy stoją wobec bolesnej alternatywy – czy kontynuować wojnę, której nie da się wygrać, czy zgodzić się na niekorzystny pokój? Przyjęcie tej drugiej opcji jest równoznaczne z rozpoczęciem przez Putina kolejnej fazy jego „wielkiego planu", bo Ukraina jest przecież tylko etapem. Jego istotą jest zmiana statusu bezpieczeństwa państw naszego regionu. I nas też to czeka. Witamy w nowych czasach.

eprasa.pl b3ca89e6a7



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Szczęście Irlandczyków się wyczerpuje

Po gwałtownym boomie gospodarczym z lat 90. XX w. w Irlandii nie ma dziś już śladu. Za to piętrzą się problemy z pogarszającymi się relacjami Dublina z Waszyngtonem na czele



Fot. Shutterstock

Gospodarka Irlandii jest jak pies, który jednocześnie szczeka i merda ogonem. Komisja Europejska prognozuje, że w tym roku kraj odnotuje „wyjątkowy" wzrost na poziomie blisko 11 proc. PKB. Jednocześnie piętrzą się problemy, poczynając od masowej migracji i związanego z nią kryzysu mieszkaniowego, a kończąc na karnych cłach Donalda Trumpa, szczególnie bolesnych dla Irlandii, silnie uzależnionej od amerykańskich firm technologicznych i farmaceutycznych, które mają tu swoją bazę.

WZÓR LIBERALIZMU

Okrzyknięta 30 lat temu przez jednego z ekonomistów „celtyckim tygrysem" Irlandia przeżyła w latach 90. prawdziwy boom gospodarczy. Od tego czasu liczba jej ludności wzrosła z 3,5 do 5,5 mln, co stanowi szybszy wzrost niż w jakimkolwiek innym państwie członkowskim UE. Poziom zatrudnienia także się podniósł, i to aż o 137 proc. Poszła za tym rekordowa migracja, która w ostatnich latach jeszcze przyspieszyła. Od 2021 r. saldo migracji jest o 88 proc. wyższe niż w poprzednich trzech latach. Jak wynika z ostatniego spisu ludności z 2023 r., 22 proc. mieszkańców urodziło się za granicą, z czego 14 proc. nie ma irlandzkiego obywatelstwa. Tylko w zeszłym roku do kraju przybyło ponad 150 tys. nielegalnych migrantów.

Niesie to ze sobą wiele problemów. Największym jest kryzys mieszkaniowy. Irlandia ma drugi najniższy wskaźnik mieszkań na osobę w Europie. Sieć wodociągowa Dublina osiągnie swoje granice w ciągu najbliższych trzech lat, co ograniczy przyszłe budownictwo mieszkaniowe. Ceny energii elektrycznej dla gospodarstw domowych należą do najwyższych w Europie, a kolejki do lekarzy są jedne z najdłuższych. Irlandia ma ponadto o 41 proc. mniej pociągów, dróg oraz innej infrastruktury transportowej na mieszkańca niż kraje europejskie o równie wysokich dochodach. Jak twierdzi resort finansów, kryzys mieszkaniowy w państwie „potrwa jeszcze co najmniej 15 lat". Według dziennika „The Irish Times" pod koniec sierpnia liczba bezdomnych osiągnęła nowy rekord i wyniosła 16,3 tys., w tym 5,1 tys. dzieci. Niedobór mieszkań spowodował wzrost średnich cen domów o 91 proc. w latach 2015–2024.

Na tym jednak nie koniec złych wiadomości. Niski podatek CIT (12,5 proc.) oraz dostęp do europejskiego rynku przyciągnęły amerykańskie korporacje międzynarodowe, które chciały przenieść swoje zyski za granicę i obniżyć koszty operacyjne. Jednocześnie irlandzkim dyplomatom udawało się utrzymywać poparcie zarówno Waszyngtonu, jak i Brukseli, otulając się – jak pisze „The Spectator" – „kojącą retoryką małego, neutralnego kraju". Dublin był wzorem liberalizmu – nie tylko gospodarczego, lecz także politycznego i społecznego.

NA CELOWNIKU TRUMPA

Ten model raju podatkowego powoli się wyczerpuje. A jest to związane przede wszystkim ze zmianą polityki przez prezydenta USA Donalda Trumpa, który nie ukrywa, że jego celem jest powrót amerykańskiego przemysłu do macie-

eprasa.pl b3ca89e6a7

rzy, zrównoważenie deficytu handlowego oraz maksymalizacja dochodów skarbu państwa. W 2024 r. USA miały deficyt w handlu z Irlandią wynoszący aż 86,8 mld dol., czyli więcej niż z Niemcami. Sekretarz handlu USA Howard Lutnick nazwał Irlandię „swoim ulubionym oszustwem podatkowym", a Trump ubolewał nad „ogromną" nierównowagą handlową.

Między 2014 a 2021 r. wartość aktywów niematerialnych (jak patenty i inna własność intelektualna) przechowywanych w Irlandii przez firmy, takie jak Apple, Meta czy koncern farmaceutyczny Eli Lilly wzrosła z niecałych 400 mld do prawie 1 bln dol. 10 amerykańskich firm odpowiada za 60 proc. wszystkich dochodów z podatku CIT. Nominalny PKB Irlandii to zaledwie połowa tej sumy, a i on jest sztucznie pędzony. W zeszłym roku dochód narodowy brutto wyniósł 321 mld dol. Innymi słowy – PKB zawyża wielkość irlandzkiej gospodarki o ok. 40 proc. Rząd w Dublinie ma dzięki temu nadwyżkę w budżecie i może zwiększać wydatki średnio o 6,5 proc. rocznie, jednocześnie zmniejszając dług publiczny, podczas gdy sąsiedzi Irlandii, jak choćby Wielka Brytania, muszą coraz mocniej zaciskać pasa.

Nałożone przez Trumpa w sierpniu 15-procentowe cła na towary z UE są szczególnie bolesne dla byłego „celtyckiego tygrysa", USA są bowiem głównym rynkiem zbytu dla irlandzkiego eksportu. Już w sierpniu spadł on aż o 38,6 proc. Zdaniem ekspertów wskutek protekcjonistycznej polityki Stanów Zjednoczonych gospodarka Irlandii może się skurczyć o łącznie 3,7 proc. w ciągu 5–7 lat. Jeśli amerykańskie korporacje wycofają się z kraju i wrócą za ocean, skutki dla Irlandii mogą być wręcz katastrofalne, z utratą dziesiątek tysięcy miejsc pracy włącznie.

AUTODESTRUKCYJNA POSTAWA

Przed takim scenariuszem drżą dziś irlandzcy politycy. A Trump ma pretensje do Irlandii nie tylko o nadwyżkę handlową. Żaden inny europejski kraj – z wyjątkiem maleńkiej Malty – nie wydaje tak mało na obronność – 0,2–0,3 proc. PKB. Zdaniem prezydenta USA to „kiepski żart". Szczególnie w chwili, gdy w Brukseli, Paryżu oraz Berlinie znów mówi się o autonomii strategicznej i odbudowie europejskiego sektora obronnego. Tymczasem Dublin upiera się przy swojej neutralności i dalej nie przystępuje do NATO.

Na dodatek, jak podkreśla „The Spectator", Irlandia ma jeden z najniższych wskaźników zbieżności głosów z USA w Organizacji Narodów Zjednoczonych, szczególnie w kwestiach związanych z Izraelem. Rosnąca fala antyizraelizmu w irlandzkiej polityce rozzłościła Waszyngton. Przepisy bojkotujące towary z izraelskich osiedli spotkały się z obustronnym potępieniem w Kongresie. Republikański senator Jim Risch określił irlandzką politykę zagraniczną jako „zaskakujący bałagan, w którym panuje moralizatorski ton", a „Iran wydaje się być traktowany cieplej... niż Izrael". W Waszyngtonie taka postawa państwa w takim stopniu zależnego od USA powoduje głęboką frustrację.

Tym samym wpływy Dublina za oceanem maleją, jak wynika z raportu brytyjskiego think tanku „Policy Exchage". „Od dawna chwali się umiejętności irlandzkich dyplomatów w utrzymywaniu interesów Dublina na pierwszym planie agendy UE przy jednoczesnym wykorzystywaniu amerykańskich Irlandczyków w celu utrzymania pewnego rodzaju specjalnego statusu w Waszyngtonie" – czytamy w raporcie. Ten mechanizm działa jednak coraz gorzej. „Wyzwania dla samych podstaw irlandzkiego cudu gospodarczego szybko się piętrzą. To z kolei powoduje, że w Waszyngtonie patrzą z większą uwagą na to, co dzieje się w Dublinie" – czytamy dalej. Według „Policy Exchange" Irlandia wpadła w spiralę (skrajnie) lewicowego aktywizmu, w chwili gdy „wymagana byłaby większa ostrożność". Dotyczy to nie tylko Izraela, lecz także coraz cieplejszych relacji Dublina z Pekinem. Ta strategicznie autodestrukcyjna postawa nigdzie nie jest bardziej widoczna niż w wyborze wywodzącej się z Partii Pracy Catherine Connolly na prezydenta. Scharakteryzowała ona USA jako niegodne zaufania „mocarstwo imperialne".

IRLANDZKIE ZŁUDZENIA

Zresztą europejscy partnerzy Irlandii również tracą do niej cierpliwość. Krytyka polityki podatkowej tego kraju nie jest już szeptana w kuluarach w Brukseli, lecz wyrażana otwarcie, w miarę jak rośnie presja gospodarcza w UE. „The Economist" pominęło Irlandię na swojej ostatniej „liście najbogatszych krajów" – tabeli porównawczej przedstawiającej poziom PKB – ponieważ dane dotyczące tego państwa są „zanieczyszczone arbitrażem podatkowym".

Irlandia często była dobrze reprezentowana na szczeblu europejskim: w ciągu ostatnich 20 lat zajmowała się rynkiem wewnętrznym, rolnictwem i handlem. Według portalu Politico w tym roku Dublinowi nie udało się jednak zapewnić sobie stanowisk w obszarach polityki uznawanych za ważne, takich jak usługi finansowe, budżet UE i gospodarka. Do tego dochodzą – jak twierdzi „The Economist" – „naiwne złudzenia" kraju w dziedzinie bezpieczeństwa. Obecnie to Wielka Brytania zapewnia ochronę przestrzeni powietrznej Irlandii. Za darmo. Tymczasem według Brendana Flynna z Uniwersytetu w Galway choć ataki sabotażowe na gazociągi łączące Szkocję z Irlandią, które dostarczają prawie 80 proc. irlandzkich zasobów gazu, mogą się wydawać Irlandczykom „mało prawdopodobne", nie znaczy, że do nich nie dojdzie. Irlandia potrzebuje więc „czujników, dronów, okrętów patrolowych i samolotów patrolowych oraz jasnego i skoordynowanego przywództwa".

Tymczasem nowa prezydent Catherine Connolly podkreśliła, że zwiększenie przez Niemcy wydatków obronnych „przypomina jej lata 30.", a NATO jest zbędne. Wydatki kraju na obronę od 2022 r. ledwo przekroczyły inflację. By zabezpieczyć prezydencję UE w lipcu, Dublin poprosił o pomoc sojuszników. Fajnie jest żyć na bogato, częściowo na cudzy koszt, ze sztucznie napompowanym PKB, w poczuciu moralnej wyższości. Ale nic nie trwa wiecznie. I wydaje się, że szczęście Irlandczyków powoli się kończy.

eprasa.pl b3ca89e6a7



Niemiecki po

Już wkrótce wszyscy Niemcy, kobiety i mężczyźni, urodzeni w 2008 r. otrzymają pocztą specjalny formularz. Chłopcy będą musieli wypełnić go obowiązkowo, a dziewczęta – dobrowolnie



JAN ROKITA

Niemiecka armia ma liczyć 260 tys. żołnierzy w służbie czynnej i 200 tys. rezerwistów, a ten cel winien zostać osiągnięty do 2035 r. Jak mówi kanclerz Friedrich Merz, „zbudujemy najsilniejszą armię konwencjonalną na Starym Kontynencie".

Jednak przymusowego poboru do Bundeswehry w zasadzie nie będzie. W zasadzie, bo porozumienie zawarte przez partie centrolewicowej koalicji rządzącej w środowy wieczór 12 listopada 2025 r. pod pewnymi warunkami dopuszcza przeprowadzenie przymusowego poboru. Stanie się tak, wówczas gdy liczba ochotników zgłaszających się do służby w Bundeswehrze nie będzie wystarczać do wypełnienia założonych poziomów uzupełnień. A socjaliści w ostatniej chwili wymusili na Merzu dodatkowy warunek: w takich okolicznościach decyzję o rozpoczęciu przymusowego poboru podejmie nie rząd, ale Bundestag, w większościowym głosowaniu. Oczywiście nie znaczy to wcale, że bez zgody socjalistów taka uchwała nie może zostać podjęta. Owszem, chadecy mogliby ją przeprowadzić z poparciem prawicowej AfD, ale to wywołałoby nieuchronny kryzys w obrębie czarno-czerwonej koalicji.

Sposobem na przyciągnięcie ochotników do armii ma być propaganda służby wojskowej w szkołach oraz jej uatrakcyjnienie. Nie są to – trzeba przyznać – pomysły oryginalne, ale wygląda na to, że państwo niemieckie zamierza w końcu zabrać się za to na serio. Specjalna agencja ds. uzupełnień, która ma siedzibę w Kolonii, zatrudnia już 6,8 tys. pracowników, a jej szef Robert Sieger zapowiada zakup wielu „atrakcyjnych nieruchomości" (cokolwiek miałoby to znaczyć) i zatrudnienie najlepiej wykształconych młodych ludzi, tak by sam proceder wstępowania do wojska uczynić pociągającym dla niemieckiej młodzieży.

Tymczasem szef MON Boris Pistorius poddał publicznej krytyce rząd kanclerz Merkel za to, iż ów rozwiązał w 2011 r. instytucje odpowiedzialne wcześniej za przeprowadzanie poboru. Już od jakiegoś czasu wyspecjalizowani oficerowie Bundeswehry ds. młodzieży, od których też wymaga się młodego wieku, przeprowadzają w szkołach średnich lekcje na temat armii. Tyle tylko, że prawo zakazuje im w czasie tych zajęć agitacji na rzecz wstępowania do wojska albo rekrutowania ochotników. Republikańska dobrowolność służby ciągle jest w Niemczech w cenie.

ROCZNIK 2008

Procedura przewidziana niedawno uchwaloną ustawą, która wchodzi w życie wraz z 2026 r., ma wyglądać następująco. Już wkrótce wszyscy Niemcy, kobiety i mężczyźni, urodzeni w 2008 r. otrzymają pocztą specjalny formularz.

eprasa.pl b3ca89e6a7



mysł na pobór

Chłopcy będą musieli wypełnić go obowiązkowo, a dziewczęta – dobrowolnie. W niemieckich mediach mnożą się protesty młodych mężczyzn przeciw dyskryminacji płciowej przy poborze, którym za przykład służą kolejne kraje nordyckie, zaprowadzające równouprawnienie, gdy idzie o służbę wojskową. Przeszkodą jest jednak niemiecka konstytucja, która przesądza, iż państwo może stosować przymus podczas poboru do armii wyłącznie wobec mężczyzn.

W tych formularzach młodzi Niemcy będą musieli zadeklarować, czy chcą służyć w armii, opisać swoje zdrowie i zaangażowanie obywatelskie, a także zdecydować o gotowości do obowiązkowej służby społecznej, jeśliby odmówili służby z bronią w ręku, a Bundestag zdecydował o przymusowym poborze.

Potem wszyscy urodzeni w 2008 r. będą musieli się stawić na przymusowe badania zdrowia. Dość nieoczekiwanie owe badania wzbudziły emocjonalne wystąpienia organizacji młodzieżowych, a w konsekwencji krytyczne artykuły w wielkich mediach (m.in w popularnym tygodniku „Der Spiegel") wokół na pozór błahej, a w istocie poważnej kwestii, określanej w Niemczech terminem „Eierkontrollgriff".

Hamburski poseł Falko Drossman podniósł tę kwestię na forum Bundestagu, mówiąc, iż podczas badań wojskowych młodych mężczyzn „dotyka się w miejscach, w których nie chcieliby być dotykani". Wygląda na to, że opinia publiczna wymusi w tej mierze zmianę procedur badania rekrutów. Cała rzecz jest warta odnotowania, gdyż istotną częścią niemieckiej debaty wokół nowego systemu poboru jest kwestia ochrony godności młodych ludzi rekrutowanych do armii.

Skądinąd ów przymus badań ogólnie budzi niezadowolenie młodych Niemców, czego świadectwa można codziennie znaleźć w tamtejszych gazetach. Minister Pistorius broni jednak tej decyzji, argumentując, iż rząd „musi wiedzieć, kto jest gotów do działania". Widać, że w berlińskim MON istnieje daleko idąca obawa, że wystarczającej liczby rekrutów nie uda się pozyskać ochotniczo. Tymczasem socjaliści, kontrolujący obecnie resort obrony, chcieliby za wszelką cenę uniknąć konieczności przymusowego poboru. Sam Pistorius długo sprzeciwiał się proponowanemu przez chadeków „systemowi loteryjnemu", wedle którego uzupełnienia stanu armii miałyby być przeprowadzane w trybie losowym.

LOSOWO W KAMASZE

Według najnowszego sondażu publikowanego przez „Bild am Sontag" 55 proc. Niemców wyklucza służbę w armii, a 31 proc. byłoby na nią gotowych. Paradoksalnie w tym samym badaniu aż 58 proc. Niemców opowiada się ogólnie za poborem.

Oczywiście tego rodzaju badania opinii pokazują w przybliżeniu poglądy ogółu Niemców, a nie osiemnastolatków, których miałby dotyczyć pobór w 2026 r. Porozumienie koalicyjne zmusza teraz Pistoriusa do zrobienia kroku w tył, gdyż to właśnie „losowy system selekcji" ma zostać wprowadzony od 2026 r., jeśliby Bundestag podjął uchwałę o konieczności przymusowego uzupełnienia poboru. Wiele wskazuje na to, że już przy pierwszym poborze taka konieczność może się pojawić, gdyż w roczniku 2008, w którym w Niemczech urodziło się ok. 350 tys. chłopców, dolny limit uzupełnień został oznaczony na poziomie 30 tys. Oznacza to, że gdyby zachować ochotniczy charakter armii, to blisko jedna dziesiąta pokolenia młodych Niemców musiałaby się zgłosić do służby wojskowej. A to raczej nie wygląda realistycznie. Różnica pomiędzy sytuacją niemiecką a polską jest tu wyjątkowo wyrazista.

Preferowany w Niemczech model będzie wymagać dłuższej służby wojskowej niźli trwająca jeden rok. Zgodnie z nową ustawą i towarzyszącą jej umową pomiędzy chadekami i socjalistami, dopiero w drugim roku służby

eprasa.pl b3ca89e6a7

rekruci dostawać będą otrzymywać miano „tymczasowych żołnierzy" i będzie im przysługiwać wynagrodzenie w wysokości 2,6 tys. euro oraz prawo do opłaty przez armię kursu na prawo jazdy.

Rekruci jednoroczni są nazywani „ochotniczymi członkami sił zbrojnych" i mają być wykorzystywani głównie do służby wartowniczej, nie będą im przysługiwać również dodatkowe przywileje. Minister Pistorius jasno deklaruje, iż państwo stawia na takich żołnierzy, którzy ochotniczo wstępują do armii na rok, ale potem zdecydują się na wydłużenie czasu swojej służby co najmniej o jeszcze jeden rok. Dwa bądź nawet trzy lata to bowiem czas potrzebny do wyszkolenia dobrego żołnierza rezerwy. Pistoriusowi zależy na tym, aby uzyskać efekt dobrowolności dłuższej służby. Właśnie temu ma służyć perspektywa większej atrakcyjności służby dwu- bądź trzyletniej, jak i wynikające z niej przywileje materialne.

Losowy system uzupełniania ochotniczego poboru jest w Niemczech dość szeroko krytykowany jako niesprawiedliwy. Prawicowa opinia publiczna wolałaby system powszechnej służby wojskowej, z kolei na lewicy preferowany jest model pełnej dobrowolności. Państwo niemieckie decyduje się jednak na to, aby spróbować pójść drogą środka, licząc co prawda na sukces poboru ochotniczego, ale zarazem zabezpieczając się za pomocą „losowego procesu selekcji".

Dość nieoczekiwanie tę drogę środka skrytykował jako niesprawiedliwą socjalistyczny prezydent RFN Frank-Walter Steinmeier. 12 listopada, podczas berlińskich obchodów 70-lecia utworzenia Bundeswehry, wezwał on do zaprowadzenia powszechnego i przymusowego poboru, tak aby „wszyscy mieli jednakowy obowiązkowy okres służby". Wówczas byłby to jednak okres najwyżej roczny, a właśnie to – co ważne także z perspektywy polskich debat nad służbą wojskową – jest uważane przez Bundeswehrę za zbyt krótki czas dla wyszkolenia sprawnego żołnierza rezerwy.

MILIARDY NA ARMIĘ

Minister Pistorius jest dość dosadny i bezpośredni, gdy idzie o publiczne precyzowanie celu owego szkolenia. W głośnym wywiadzie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung" deklarował, że do tej pory sądził, iż przed 2029 r. nie będzie konieczności wysłania Bundeswehry na wojnę, jednak „imperialne fantazje Putina" sprawiły, że – jak mówił – „niektórzy spodziewają się, iż ostatnie spokojne lato mamy właśnie za sobą". A to oznacza, że „w przypadku ataku na któryś z krajów NATO Niemcy muszą być przygotowani do zabijania rosyjskich żołnierzy".

> Losowy system uzupełniania ochotniczego poboru jest w Niemczech krytykowany jako niesprawiedliwy. Prawicowa opinia publiczna wolałaby system powszechnej służby wojskowej, z kolei na lewicy preferowany jest model pełnej dobrowolności

Profesjonalizm w zabijaniu Rosjan to cel, który ma osiągnąć niemiecka armia. A szybka rozbudowa stanów liczebnych niemieckich sił zbrojnych jest częścią szerszego projektu militaryzacyjnego, na który mają się składać również duże nakłady finansowe na armię oraz zakupy nowoczesnego sprzętu, nakierowane – co charakterystyczne – nie na dostawy amerykańskie albo przemysłową współpracę z Francją (jak było dotychczas), ale na zamówienia w rodzimym, niemieckim przemyśle zbrojeniowym.

Wewnętrzne dokumenty niemieckiego rządu, które streścił ostatnio dziennik „Politico", mają wskazywać, iż w 2026 r. rząd Merza zamierza przepchnąć przez Bundestag wydatki na kontrakty zbrojeniowe w wysokości 83 mld euro, co będzie realną rewolucją w niemieckich programach zbrojeń. Na następne lata przygotowany jest już ponoć plan dalszych 320 nowych programów zbrojeniowych z zakupami na kwotę 377 mld euro.

„Politico" cytuje wystraszonych polityków francuskich, spodziewających się, że pogrążona w kryzysie finansowym Francja jest skazana na utratę dumnej roli militarnego lidera europejskiej części NATO. Nad Sekwaną przyzwyczajono się do tego, że co prawda Niemcy rządzą europejskimi finansami, ale za to Francja zarządza sprawami militarnymi. Zmiana tej relacji na korzyść Berlina to – zdaniem cytowanych przez gazetę unijnych polityków – najważniejsza rzecz, jaka dzieje się teraz w Unii Europejskiej.

A jeśli wziąć pod uwagę także polskie wydatki na zbrojenia i zakupy wojskowe już w tym roku sięgające kwoty 44 mld euro oraz plany rozbudowy stanu sił zbrojnych do poziomu 450 tys. żołnierzy, ogłoszone przez Sztab Generalny Wojska Polskiego, to widać jasno, że ciężar wysiłku militarnego Europy wyraźnie przesuwa się na wschód.

Wygląda na to, że niemieckie plany wojskowe są najważniejszym i całkiem realistycznym przedsięwzięciem koalicyjnego rządu Merza. Także polskie plany militaryzacji kraju mają szanse się udać, o ile tylko za sprawą rozbuchanych wydatków socjalnych polskie finanse nie pogrążą się w najbliższych latach w głębszym kryzysie. A skoro niemieckie i polskie plany uzupełnień stanów wojska okazałyby się sukcesem, to obie armie wraz z obroną terytorialną i rezerwistami osiągnęłyby za kilka lat łączną liczebność ok. 900 tys. żołnierzy, czyli mniej więcej równą dzisiejszemu stanowi armii ukraińskiej.

Nie ma nic dziwnego w przesuwaniu się wysiłku militarnego na Wschód Europy, skoro to tam toczy się wojna. Ale takie przesunięcie oznacza również, że musi rosnąć polityczne znaczenie Europy Środkowej, coraz intensywniej przygotowującej się do odparcia – wespół z Ukrainą – hipotetycznej moskiewskiej agresji.

eprasa.pl b3ca89e6a7



25 lat po oscarowej roli szlachetnego Maximusa Russell Crowe wcielił się w postać nazistowskiego zbrodniarza Hermanna Goeringa. Zagrał go – w sposób niepokojący i zarazem magnetyczny – w filmie „Norymberga”

Wielki powrót

Fot. Monolit Films

eprasa.pl b3ca89e6a7



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Reżyser i równocześnie autor scenariusza „Norymbergi" James Vanderbilt szukał do roli Hermanna Goeringa „gwiazdora filmowego, który potrafi zagrać kogoś ujmującego". Ucieszyło go, że rolę przyjął Russell Crowe. Działo się to w 2019 r., gdy za sprawą budowanych wtedy ról i związanych z nimi zmian wizerunku raczej trudno było nazwać aktora „ujmującym". A jednak reżyserska ocena i wybór okazały się nad wyraz celne.

PODDAĆ SIĘ ROLI

Przypomnijmy: propozycja zagrania Goeringa przyszła tuż po zakończeniu zdjęć do serialu HBO „Na cały głos", w którym Crowe – wpierany także przez genialną charakteryzację – wcielał się w Rogera Ailesa, wpływowego producenta i założyciela Fox News. A także tuż przed realizacją zdjęć do psychologicznego thrillera „Nieobliczalny" (2020), w którym stworzył postać psychopatycznego kierowcy.

W tym czasie media obiegały zdjęcia coraz bardziej zaniedbanego aktora – z wyraźną nadwagą, potem coraz bardziej zarośniętego, w brudnej koszuli. Nie tylko fani zadawali sobie wtedy pytanie, czy to już równia pochyła dawnego gladiatorskiego bożyszcza. Tymczasem w obu przypadkach było to wchodzenie w rolę. Bo też – co zgodnie podkreślają oceniający Crowe'a – jedynie roli potrafi się on poddać w pełni i bezapelacyjnie.

Za aktorem z Antypodów, który podbił świat rolą generała Maximusa pod reżyserską wodzą Ridleya Scotta, a potem potwierdzał talent m.in. w filmach „Piękny umysł" i „Człowiek ringu" (2005) czy też nagrodzoną Złotym Globem serialową kreacją w „Na cały głos" (2019), od samego początku szła fama „osobnika niepokornego", niepozwalającego sobie na planie na żadne kompromisy. Jednocześnie Crowe, nazywany niekiedy nowym Marlonem Brando – momentami równie nieokrzesanym i wyniosłym, a jednocześnie podobnie ujmującym – gdy było trzeba, potrafił bronić swoich artystycznych wyborów. Tak było z „Norymbergą". Przez kolejne lata, mimo zawirowań, trwał przy projekcie. I dziś może świętować spektakularny powrót na kinowy pierwszy plan.



NA TAKI DRAMAT CZEKAŁEM

„Niekiedy potrzeba czasu, by wszystko się złożyło, ale te wzloty i upadki, zakręty i zwroty doprowadziły nas do miejsca, w którym jesteśmy" – podkreśla aktor.

Już w trakcie zdjęć wyznał też Jamesowi Vanderbiltowi, że dla „Norymbergi" złamał dwa mocne postanowienia – miał grać już tylko w zaroście, ponieważ uwielbia swoją brodę (zgolił ją do roli Goeringa), obiecał również sobie unikania sądowych dramatów. Tymczasem – choć formalnie „Norymberga" nie należy do tego gatunku – w drugiej połowie filmu jest wiele długich sekwencji odtwarzających procesy norymberskie.

Crowe tłumaczy: „Gdy byłem młodszy, zagrałem w dramacie sądowym i dopiero wtedy zrozumiałem, jak trudne są takie zdjęcia. Musiałem dzień po dniu siedzieć w ławie oskarżonych, podczas gdy inni grali na moich oczach. Pomyślałem wtedy: »Nigdy więcej«. Ale kiedy pojawił się scenariusz »Norymbergi«, stwierdziłem: »OK, może właśnie na taki dramat sądowy czekałem«".

O tworzeniu postaci Goeringa mówi: „Zazwyczaj najbardziej przyciągają mnie rzeczy, które mnie przerażają". Wspomina też dylematy: „Jak w ogóle zagrać takiego człowieka?". I odpowiada: „Gdy w mojej głowie pojawia się takie pytanie, wiem, że to rola dla mnie". Dodaje też: „Jeśli jest jedna rzecz, której nauczyłem się przez wszystkie [aktorskie] lata, to że nie ma nic ciekawszego od okazałej, wielowymiarowej postaci. Bez względu na to, skąd ta okazałość i wielkość pochodzi – czy z komplikacji, czy z intencji, czy z jakiegoś ułomnego piękna".

ZMIANY DŁUGOTERMINOWE

Przez lata, które upłynęły od poznania scenariusza do premiery, Crowe przygotowywał się do roli, zgłębiając życie Goeringa i samych procesów. To pełne zaangażowanie widać w roli, którą zbudował.

Ceni sobie ten długi etap przygotowań: „Pięć lat temu niewiele wiedziałem o tym okresie historii. Ale kiedy coś staje się twoim zawodowym celem, wszystko się zmienia". Podkreśla: „Najtrudniejsze było to, że Goering miał w sobie coś pociągającego. Potrafił ująć słowem, sformułować argument, rozbroić rozmówcę, rzucić złowrogie kwestie w tonie niemal towarzyskiej rozmowy".

Rolę w „Norymberdze" Crowe stawia wśród swoich największych aktorskich wyzwań. „I nie chodziło tylko o zrozumienie jego zbrodni, ale o wejście w umysł kogoś, kto do końca wierzył w swoją rację. To była rola, która mnie nie opuszczała także poza planem" – mówi.

W jednym z najnowszych wywiadów (dziś 61-latek) przyznaje, że po zakończeniu zdjęć do filmu przemodelował swoje życie. Ograniczył picie alkoholu i schudł 26 kg. I oczywiście chciałby, aby te zmiany stały się rozwiązaniem długoterminowym.

eprasa.pl b3ca89e6a7



Maciej ***Walaszczyk***

Przełomy naszej wolności

Andrzej Dziubek – jak na bacę przystało – to prawdziwy jednoosobowy szef swej muzycznej pasterki o nazwie De Press. Swoje muzyczne bacowanie kontynuuje zarówno w Norwegii, jak i w orawskiej Jabłonce. Owocem tej pracy są wciąż pojawiające się nagrania, które dowodzą, że jako porządny pasterz konsekwentnie uprawia swój rockowo-nowofalowy podhalański styl.

Choć – jak się okazuje – ta płyta jest rodzajem kompilacji piosenek nagranych w ostatnich latach, w różnych składach i studiach, ale zebranych teraz w jednym miejscu. Ich tożsamość tworzy fakt, że baca zaciąga się na służbę Słowa polskich poetów i ożywia przesłanie zawarte w ich tekstach. Czyni to z „Przełomów" rodzaj apelu do umysłów, a raczej serc Polaków, a może chwilami „żałobny śpiew nad samym sobą". Programowym wierszem otwierającym ten album są sparafrazowane „Wskazania dla Synów Podhala" Władysława Orkana. Równie dobrze odnoszą się do górali, jak i każdego z nas, zarówno w kraju, jak i na emigracji. Nasz prywatny dobrobyt nigdy nie będzie miał trwałych podstaw, gdy ojczyzna straci niepodległy byt, a groźba takiego obrotu wydarzeń jest wyczuwalna coraz mocniej. Ale nie tylko Orkan, którego teksty stały się kanwą także kilku innych ognistych kawałków, jak choćby oberka „Chochołowcy", opowiadającego o góralskiej rewolucji z 1846 r., czy przejmującego w swej wymowie „Dopókiż?", wzywającego prosty lud do odpowiedzialności za własny los. Wyjątkowej urody jest na pewno słynny Norwidowski „Sariusz" – z powodzeniem mógłby się znaleźć na „Gromach i pyłkach", na których De Press zebrał niegdyś swe interpretacje jego znakomitej poezji. Ten rockowy i patriotyczny apel uzupełniają wiersze Władysława Bełzy („Do Polskiej Dzieweczki", „Ziemia Rodzinna") czy słynny liryk Gałczyńskiego o idących czwórkami do nieba obrońcach gdańskiej placówki tranzytowej w gorące dni lata 1939 r. („Westerplatte"). Jest też kapitalna wersja „Marszu Powstańców" z 1863 r., hołd dla wyklętych („Inka") i warszawskich powstańców („Warszawa – Sierpień '44").

Bacówka Andrzeja Dziubka nie tylko jeszcze się broni, lecz także apeluje (także fragmentami homilii JP II), napomina, ożywiając narodowego ducha i realizując w praktyce program Norwidowej reformy polskości. Poruszając motywy z przeszłości swym gitarowym jazgotem i poetyckim Słowem, wzywa do przeniesienia naszego dziedzictwa w przyszłość. Inaczej w „bełkocie obcej mowy" i „zapatrzeni w cudzy blask" zostaniemy jak ten Jasiek, którego „złoty róg jak pies przed pustym domem wyje" („Antyrota").



De Press, „Przełomy", Olifant 2025

Smród ruskiej onucy

„Zapiski oficera Armii Czerwonej" to monodram Piotra Cyrwusa na podstawie prozy Sergiusza Piaseckiego pod tym samym tytułem. Popularny aktor wciela się w nim w postać lejtnanta Michaiła Zubowa, który 17 września 1939 r. bierze udział w ataku na walczącą z Niemcami Polskę. Zubow to prosty, sowiecki, kołchozowy sołdat, zindoktrynowany w warunkach totalitarnego komunizmu, który nie potrafi wyrażać swych myśli inaczej niż rytualną nowomową i brutalnym chamstwem. A do tego podszyty tchórzem i zdolny do każdej podłości.

Cyrwus wspomina, że zapoznał się z tekstem Piaseckiego w powielaczowej wersji podczas strajku studenckiego w 1981 r. Książka faktycznie rodziła się w głowie jej autora już od 1940 r. i została wydana na emigracji pod koniec lat 50. Podobnie jak „Droga donikąd" jest osobistym świadectwem przybliżającym realia życia na okupowanej przez Sowietów Wileńszczyźnie. Wybiega zresztą dalej niż słynna powieść Mackiewicza, bo lejtnant Miszka przeprowadza nas także przez moment niemieckiego ataku na ZSRS, a potem ponowne zajęcie dawnych kresów II RP przez Armię Czerwoną.



„Zapiski oficera Amii Czerwonej" na podstawie Sergiusza Piaseckiego, reż. Tomasz Obara, obsada: Piotr Cyrwus, Scena Metro Warszawa 2025

Wydarzeniom tym towarzyszy nieustanna zmiana sytuacji politycznej, do której pozbawiony wolnej woli Zubow musi się ciągle dostrajać. Gdy bierze udział w ataku na Polskę, „noc była jak sumienie faszysty, jak zamiary polskiego pana, jak polityka angielskiego ministra", a jego wodzami są do spółki Stalin i Hitler, którzy – jak wierzy – „wymalują wkrótce świat na czerwono". Jednak zetknięcie z rzeczywistością, w której ludzie idą do piekarni, by kupić biały chleb, chłopi gospodarują na własnych majątkach, a wokół jest pełno eleganckich kobiet, wywołuje jego zdumienie, zazdrość i żądzę nieustannego rabunku, co symbolizują liczne zegarki na rękach. Książka – a w ślad za nią monodram – na szczęście nie wypełniają wymogów politycznej poprawności. Ten ruski sołdat to postać początkowo śmieszna, ale ostatecznie – nadzwyczaj odrażająca. Cyrwus nie przypadkiem po spektaklu delikatnie nawiązywał do wojny toczonej na Ukrainie.

Aktor wystawia ten znakomity monodram na scenach zazwyczaj małych i kameralnych – jak ta w podziemiach warszawskiego metra na Bródnie – czy domach kultury od ponad 35 lat. Spektakl miał bowiem swoją premierę w krakowskim teatrze STU w 1990 r. I cieszmy się, że Zubowa wciąż możemy spotkać najwyżej w teatralnej karykaturze, a nie w rzeczywistości.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl b3ca89e6a7





HITY i KITY ZAREMBY

„Kos” – polski woke, jeszcze do przyjęcia

„Kos” Pawła Maślony to film euforycznie przyjęty przez recenzentów i znaczną część elit dwa lata temu. W Gdyni dostał Złote Lwy. TVP1, pokazując go teraz, zapewniła mu drugą premierę, telewizyjną

Piotr Kletowski, ceniony i raczej konserwatywny filmoznawca, dostrzegł w nim zdradliwe pierwiastki ideologii woke. Polega ona na dekonstrukcji tradycyjnej historii w imię eksponowania krzywd – rasowych czy społecznych. Prawda, film uderza w „szlachetczyznę”, która była istotnym fundamentem naszej narodowej tożsamości. Także dla wielu chłopów: w międzywojniu w ludowych bibliotekach najchętniej czytało się... „Trylogię” Sienkiewicza.

Maślona splótł dwa wątki – Tadeusza Kościuszki, który przybywa do Polski, pozostającej już pod faktyczną kontrolą zaborców, aby szykować powstanie, oraz Ignaca, nieślubnego syna chłopki i dziedzica. Po śmierci ojca ucieka on z rodzinnej wsi. Przekonany, że ojciec go uznał, podróżuje z jego wykradzionym testamentem, a jako niepiśmienny nie jest w stanie go przeczytać. Ich drogi przecinają się w dworku pewnej pułkownikowej, w której Kościuszko kiedyś się kochał.

Cała reszta to – jak napisał Łukasz Adamski – skrzyżowanie „Wesela” Wyspiańskiego z brutalnymi filmami Quentina Tarantino. Ale więcej w nim tego ostatniego.

Film jest świadomie przerysowany, wręcz plakatowy. Kościuszce towarzyszy dawny murzyński niewolnik, teraz jego adiutant (Jason Mitchell). To postać wymyślona, choć po wojnie o amerykańską niepodległość Kościuszko żywo interesował się losem czarnych i zapisał potem część swojego majątku na ich wyzwolenie.

Ten wątek służy snuciu prostej analogii między niewolnictwem i pańszczyzną. Gdyby traktować film jako historyczny wykład, uznałbym to za przegięcie. Zarazem... Tak pisałem po zobaczeniu go w Gdyni: „Ale ja w tym filmie widzę kontynuację odczytywania historii choćby przez Stefana Żeromskiego. Który szukał linków między wyzwoleniem narodowym i społecznym i pokazywał winy polskiej szlachty bez ogródek. Skądinąd można też »Kosa« odczytać inaczej. Jako opowieść o podzielonym narodzie, który dopiero złączony ma szansę przeciwstawić się imperialnej Rosji, którą tu reprezentuje karykaturalny rotmistrz Dunin grany przez Roberta Więckiewicza”.

Nie jest to mój ulubiony film, ma zresztą fabularne niedoróbki. Ale robi na mnie wrażenie jako sugestywna wariacja na temat, nawet jeśli chwilami toporna. Skądinąd teza, że Polska upadła z powodu „ucisku chłopa”, jest ahistoryczna. Szlachta Rosji czy Prus uciskała ich jeszcze mocniej. Prawdą jest za to, że skoro już Rzeczpospolita zaczęła gasnąć z powodu słabej władzy, bezrządu czy dezorganizacji państwa, to wciągnięcie w jej obronę niższych warstw było jedyną szansą. Kościuszko zaczął to robić. Może występki szlachty są tu piętnowane zbyt dydaktycznie, ale pamiętajmy: Kościuszko czy pułkownikowa też są jej reprezentantami.

Mocną stroną filmu jest nie tylko widowiskowość, lecz także aktorskie kreacje. Trudno nie być poruszonym losem Ignaca, kiedy gra go Bartosz Bielenia. Trudno nie kibicować Kościuszce, kiedy jego skromną mądrość przybliża nam Jacek Braciak.

Jeśli się czegoś obawiam, to naśladowców „Kosa”, którzy uznają ten film za zachętę do jeszcze większej przesady w wywracaniu naszej historii, aby zwyciężyło polskie woke. Skądinąd Maślona w Gdyni kojarzył przesłanie filmu z antypisowskością. O ile niektórzy prawicowi publicyści przyjmują jego zabawy historią ze zgorszeniem, warto spytać, która strona polskiej polaryzacji jest bardziej ludowa. Dopiero co Jerzy Stuhr obśmiewał pisowców jako potomków pańszczyźnianych chłopów...

Piotr Zaremba

Profesor Nowak jako kronikarz upadku

Siódmy tom „Dziejów Polski" Andrzeja Nowaka trafia do księgarń. To opowieść o latach 1673–1763, tytuł tej części brzmi: „Upadanie i powstawanie". Na razie „powstawania" tu jeszcze jak na lekarstwo. Za to upadek tamtego państwa oglądamy w pełnej krasie

Systematyczność dostarczania nam kolejnych tomów musi budzić podziw. Profesor przywołuje najświeższe badania, zapoznaje nas z nowymi odkryciami. Tu dostajemy portret panowania Jana III, Augusta II i Augusta III. Dwaj ostatni tworzą epokę saską. Stała się ona symbolem najgłębszej zapaści, choć znaczna część szlachty uważała zwłaszcza rządy biernego Augusta III za czas wręcz błogosławiony.

Jan III mógł się jeszcze poszczycić ostatnimi sukcesami militarnymi, acz wielu jego przedsięwzięć nie dało się już zrealizować. Machina Rzeczypospolitej za bardzo się zacinała. Rządy saskich Wettynów to czas zanikania państwa, wojen domowych i wplątywania Polski w konflikty sąsiednich potęg, podczas gdy jej terytorium było bezceremonialnie deptane przez sąsiadów, ostatecznie rozstrzygających też, kto ma być królem.

Za Augusta III zostały zerwane – poza jednym – wszystkie sejmy. Bez nich nie można było się skutecznie bronić, nie mówiąc o byciu podmiotowym. Zagrożenie rozumieli nieliczni: wymieńmy ks. Stanisława Konarskiego i stronnictwo Czartoryskich. Ono jednak polegało na Rosji, która pielęgnowała polską zapaść.

Aż się prosi o dyskusję z autorem, który w poprzednich tomach bronił wolnościowego ustroju Rzeczypospolitej. Widział jego pogłębiające się wady, ale tłumaczył ówczesną szlachtę. Pokazywał mechanizm przemiany szlacheckiej demokracji w magnacką oligarchię, ale był skłonny przypisywać go przede wszystkim zanikowi ducha obywatelskiego, a do pewnego stopnia także cechom kresowych magnatów. Ja się upieram, że silna monarchia gwarantowałaby przetrwanie ogromnego państwa. Jego bezwolność – profesor sugestywnie ją opisuje – nie była zbiorem przypadków, a konsekwencją.

Uderzające, jak wiele było w tym korupcji. Magnaci, w tym najwyżsi urzędnicy, brali pieniądze od sąsiednich dworów, także tych najbardziej zainteresowanych naszym opłakanym stanem (Prusy, Rosja). Nie sądzę, aby byli gorsi od arystokracji francuskiej czy niemieckiej. Po prostu tamci, też nieraz zdradzający, mogli mniej. Tu wolność otwierała drogę sprzedajności.

To materia do rozmowy z prof. Nowakiem. Na razie zauważę, iż jestem bliski jego krytyce „ludowej historii Polski". A już na pewno – piszę o tym w sąsiedniej recenzji – nie upatruję w kondycji pańszczyźnianych chłopów powodu upadku. Autor jak zwykle malowniczo opisuje polityczno-bitewne korowody i ich aktorów. Ja najbardziej lubię jego opowieści o kulturze, choćby zakończenie, gdy przewrotnie broni postbarokowego poety ks. Józefa Baki, od zawsze uznawanego za symbol grafomanii.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



NIESZCZĘŚLIWI PIEKARZE RAPUJĄ

Ostatnio w poniedziałkowe wieczory lecą powtórki albo mecze, jest więc okazja, aby napisać o telewizyjnym spektaklu „Pieśni piekarzy polskich" Mariusza Gołosza w reżyserii Klaudii Gębskiej sprzed kilku tygodni. Otwiera on cykl „Nowej Dramaturgii Polskiej" i budzi moje idealnie mieszane uczucia

Przedstawienie było zrealizowane w krakowskiej Akademii Sztuk Teatralnych, teraz przeniesiono je do telewizji. Jest reklamowane jako „rapowy musical", a zarazem tekst przesycony buntem tzw. prekariatu.

Praca piekarza jest ciężka – choćby dlatego, że nocna. Niedawno rozmaitych wyrzutków zmarginalizowanych w kapitalizmie umieścili właśnie w piekarni twórcy serialu Canal + „Powrót" – o facecie, który wstał z martwych. Tę sztukę napisał z kolei człowiek, który pracował jako piekarz. Faktycznie, jest naszpikowana fachowymi terminami. Już z tego powodu odbieram ją jako wartą uwagi ciekawostkę.

Głównych bohaterów grają ze swadą, naprawdę dobrze, Piotr Tuleja i Filip Zaręba. Dziś tego ostatniego można zauważyć wszędzie: w filmie „LARP. Miłość, trolle i inne questy" czy serialu „1670". Tu czarują nas rapowymi kawałkami, zresztą napisanymi przez siebie.

Utwory mają swój klimat, to specyficzny rodzaj poezji, choć wielu widzów może odrzucać choćby spory ładunek wulgarnych słów. W Teatrze Telewizji to wciąż nowość. Z wszelkimi konsekwencjami.

Ale ja się nie oburzam. Zastanawiam się, jakie wrażenie po tym zostaje. Na pewno zagubienia młodych ludzi wypchniętych gdzieś na margines. Z silną domieszką skargi: na ciężką pracę i własną „deklasację" w stosunku do majątkowej elity. W tym kontekście nie dziwi mnie opieka artystyczna Pawła Demirskiego. On animuje takie klimaty.

Powtórzę: jest w tym poetyczność. Zarazem ten lament młodego pokolenia, wbrew zajawkom, nawet nie rewolucyjny, warty zauważenia jako znak czasu, wydaje mi się odrobinę jałowy. Jako „dziaders" po prostu niespecjalnie kupuję ten żal nad samym sobą, nawet jeśli nie trwa przez cały spektakl. Ale Filipa Zarębę miło znów zobaczyć.

3 MIŁOŚCI

Jest nadzieja



ROBERT TEKIELI

Trwa zimna wojna. Pomiędzy Chinami a USA. Trwa wojna. Federacji Rosyjskiej z Rzecząpospolitą Polską. Trwa wojna domowa. Polski rząd prowadzi hybrydową wojnę z własnym narodem.

Dyscyplina to miłość wyrażona w działaniu. Cnota to utrwalona zdolność do czynienia dobra. Naród pogrążony w grzechach jest narodem słabym. Rosjanie próbują nas zastraszyć. Czy jesteśmy narodem słabym?

W 1993 r. komunistyczne Chiny odrzuciły dyktat USA, ówczesnego globalnego supermocarstwa – nie do przyjęcia był dla nich amerykański model liberalnej demokracji i wolnej gry sił rynkowych. Pójście wschodnioazjatycką drogą – połączenia sił rynkowych i państwowego interwencjonizmu – przyniosło im wielki sukces. W niecałe dwie dekady marksistowskie państwo gospodarczo wyprzedziło Japonię, stając się mocarstwem numer dwa na świecie. Pozostając państwem totalitarnym.

Chwilę potem, w 2014 r., asertywny nowy cesarz Xi Jinping rzucił Jankesom już jawne wyzwanie, ogłaszając swą geostrategiczną wizję Pasa i Szlaku. Obiecał aparatowi Chińskiej Partii Komunistycznej, że Chiny staną się światowym hegemonem do 2049 r., na jej stulecie. O pysze Amerykanów świadczy fakt, że do odpowiedzi gotów był dopiero Donald Trump, w marcu 2018 r. wypowiadając Chinom wojnę handlową i celną. Ile lat za późno?

Do dziś trwa rozpoczęta wtedy wymiana ciosów. Niedawno Chiny po raz pierwszy odpowiedziały adekwatnie (zamrożenie handlu minerałami ziem rzadkich). USA chwilę stały zamroczone w narożniku. Oba mocarstwa są przy tym zaskoczone skalą własnych współzależności, co oznacza odłożenie konfrontacji/pełnoskalowego konfliktu (?) na kilka lat. Na ile?

Chiny zbroją się na potęgę, mają zapas żywności na dwa lata, skupują złoto, zezwoliły Moskwie na agresję na Ukrainie. Bo wojna Federacji Rosyjskiej z Ukrainą jest właśnie zastępczym konfliktem pomiędzy Chińską Republiką Ludową a Stanami Zjednoczonymi – przewodniczący Xi mógłby ją zakończyć jednym telefonem. Ale jej nie kończy, bo miło mu patrzeć, jak potencjały Rosji i USA ulegają ścieraniu. A Stany nie mają dziś przemysłu, dzięki któremu mogłyby się zbroić równie szybko jak Chiny. Globalizacja dokonała deindustrializacji Zachodu.

Rosjanie chcą nas rzucić na kolana. Wzbudzić powszechny strach. Dlatego potrzebne jest nam wzmocnienie morale narodu. Naród pogrążony w grzechach jest narodem słabym. Rosjanie próbują nas zastraszyć. Niemcy – rozłożyć naród moralnie. Dlatego najważniejsza jest walka o naszą duchową suwerenność

Im dłużej trwa wojna na Ukrainie, tym później Rosja zacznie agresję na kierunku bałtyckim lub polskim. A zaatakuje, bo musi. Putin wsiadł na tygrysa, sukces jest warunkiem jego przetrwania. Przegrana armia, wracając, zawsze obalała cara. Tak było w 1904 r., tak było w 1917 r., ZSRR rozpadł się po klęsce w Afganistanie.

Federacja Rosyjska od 17 lat prowadzi wojnę z Rzecząpospolitą. Aleksander Olech z Defence24 wymienia listę wybranych sabotaży, prób ingerencji, obserwacji, inwigilacji: Warszawa – Akademia Sztuki Wojennej, siedziba Polskiej Agencji Prasowej, podpalenie marketu na Radzymińskiej, centrum handlowego na Marywilskiej, magazynu europalet w Markach, atak cybernetyczny na Sejm, Kancelarię Prezydenta, MON, ataki cybernetyczne na sądy okręgowe i rejonowe. Kraków – lotnisko, ataki cybernetyczne na sądy. Powidz – inwigilacja bazy NATO. Zakłady Mechaniczne w Tarnowie. Centrum logistyczne DHL we Wrocławiu. Poznań – lotnisko, ataki cybernetyczne na sądy. Drawsko Pomorskie – inwigilacja bazy NATO. Lotnisko w Szczecinie-Goleniowie. Restauracja w Gdyni. Gdańsk – lotnisko, centrum budowlane. Ingerencja w bioreaktor w Nowym Mieście Lubawskim. Stacja uzdatniania wody w Szczytnie. Atak cybernetyczny na sądy w Olsztynie. Centrum logistyczne DHL w Jabłonowie. Centrum logistyczne DHL w Radomiu. Do tego pas graniczny z Białorusią: masowe akcje przepychania migrantów na granicę z Polską przez białoruskie służby mają miejsce od wiosny 2021 r. Ich kulminacja – wraz z próbami siłowymi – nastąpiła w listopadzie 2021 r., gdy doszło do dużego szturmu migrantów na przejście w Kuźnicy. Potem na granicy zginął żołnierz RP. Następnie samoloty NATO strzelały do fali rosyjskich dronów zmierzających ku sercu Polski.

Federacja Rosyjska wytoczyła Rzeczypospolitej tę wojnę już w 2008 r. 23 stycznia tamtego roku pod Mirosławcem zginęło kilkunastu wysokich oficerów lotnictwa, w tym dwaj generałowie. Dwa lata potem zginął prezydent Rzeczypospolitej i 95 towarzyszących mu osób.

Gdy trwa terrorystyczny atak Federacji Rosyjskiej na Rzeczpospolitą Polską, część polskiej klasy politycznej walczy z polskim społeczeństwem. Dziś w War-

eprasa.pl b3ca89e6a7

szawie mamy rząd, któremu przewodzi polityk likwidujący od 2007 r. polskie wojsko na wschodzie naszego kraju i będący aktywnym aktorem wydarzeń związanych z tragedią smoleńską. Gabinet Donalda Tuska prowadzi działania dywersyjne wobec państwa polskiego. Żołnierze pilnujący granicy są ścigani przez specprokuratorów, a celebryci i aktywiści obrażający polski mundur i plujący na żołnierzy, przemycający ludzi, są uniewinniani i nagradzani. W czasie, gdy w każdym państwie zagrożonym przez Rosję w sprawach bezpieczeństwa mamy konsensus, Donald Tusk wydaje totalną wojnę opozycji, dążąc do jej wyeliminowania z polskiej sceny politycznej. To wojna Tuska z Polską. Precyzyjnie zaplanowana.

Bo celem działania Moskwy jest indukowanie w Polsce powstania istotnej społecznie grupy ludzi, którzy będą przekonani, że wojna z Rosją jest absurdem; że lepiej zgodzić się na redukcję armii i niesuwerenność, co jest celem działań Federacji Rosyjskiej, byle nie było w Polsce potworności Buczy czy Mariupola.

W czasie wojny w Wietnamie i w latach 80. Moskwie udało się doprowadzić do tego, że większość młodych w USA hołdowała hasłu: „Lepiej być czerwonym niż martwym".

W wyniku kolejowego sabotażu sprzed tygodnia mogły/miały zginąć setki obywateli Rzeczypospolitej. Zamiarem Moskwy jest zastraszenie Polaków. I osiągnięcie swoich celów – odbudowy imperium zewnętrznego i strefy wpływów. W 2008 r. Rosja zaatakowała Gruzję. I osiągnęła swój cel. Tbilisi odwróciło się od NATO. Dokładnie tego samego Moskwa chce od Ukrainy, Litwy, Łotwy, Estonii i Polski.

Rosjanie chcą nas rzucić na kolana. Wzbudzić powszechny strach. Dlatego potrzebne jest nam wzmocnienie morale narodu. Naród pogrążony w grzechach jest narodem słabym. Rosjanie próbują nas zastraszyć. Niemcy – rozłożyć naród moralnie.

Naszym celem jest rozdarcie Rosji po szwach narodowościowych, a w Niemczech – powrót do sytuacji sprzed 1871 r. Jednak najważniejsza jest walka o naszą duchową suwerenność.



Jesteśmy poddani presji dwóch imperializmów i światowej rewolucji. Walczymy z sojuszem trzech cywilizacji śmierci.

Niemieckie i lewicowe rewolucyjne media szerzą w Polsce rozwiązłość, atakują rodzinę, zniechęcają do posiadania dzieci. „Gazeta Wyborcza", Onet, polki.pl, „Wysokie Obcasy" – mógłbym wymienić kilkadziesiąt tytułów. Zachęcają do zdrady, postulują normalizację prostytucji, promują bezpłodne z definicji związki monopłciowe. Kampania rewolucyjnej zachodniej lewicy o legalizację pornografii toczyła się równolegle z wojną o legalizację aborcji. Pornografia niszczy kolejne młode pokolenie. A we Francji i Hiszpanii zabijane jest co czwarte poczęte dziecko. We Francji w 2021 r. było 240 tys. aborcji. Przyrost naturalny w Niemczech jest ujemny. Co roku rodzi się tam 90 tys. osób mniej, niż umiera, a liczba aborcji to 100 tys. Dlatego z taką zaciekłością toczą się w Polsce boje o legalizację aborcji na życzenie – bo aborcja to ciężkie wykroczenie przeciwko duszy.

Grzech rodzi grzech, a w konsekwencji wadę, która wskutek powtarzania tych samych czynów prowadzi do skłonności osłabiających sumienie. Jesteśmy wtedy niezdolni do oceny dobra i zła. Grzech pożera nasze siły, osłabia wolę, odciąga od życia duchowego, tapla w błocie.

Walka z grzechem zaczyna się od decyzji. I w tej walce mamy potężnego sojusznika. Boga. On tylko czeka na najlżejsze drgnięcie serca człowieka ku dobru. Gdy pojawi się w nas najmniejsza iskierka dobrej woli, stajemy się bliscy Jezusowi.

Znamy z Ewangelii przykład wielkiego grzesznika mikrego wzrostu. Szefa celników Zacheusza. Był w pogardzie u najbardziej złajdaczonego Izraelity. Był ciekaw, kim jest ten Jezus, o którym wszyscy mówią. Nie baczył na śmieszność, wdrapał się na drzewo, by go zobaczyć. Jezus rzekł do niego z miłością: „Zacheuszu, zejdź prędko, albowiem dziś MUSZĘ się zatrzymać w twoim domu". Obdarowany bezinteresowną miłością Jezusa Zacheusz odczuł skruchę. Połowę majątku rozdał biednym. Zadośćuczynił.

Jest nadzieja dla grzeszników. Popatrzcie: Zacheusz najpierw zbliżył się do Jezusa, a dopiero potem odmienił życie. Wystarczy więc mała iskierka. Miligram woli.

Przeciwieństwem cnoty są wada, słabość, skaza. Biorą się z praktykowania grzechu. Wady są stałymi dyspozycjami do zła. Tego chcą dla nas wrogowie naszej wolności. Funkcjonariusze Syndykatu. I ci materialni, i bezcielesne inteligencje.

Polakom potrzeba walki z osobistym grzechem. Polakom potrzeba dyscypliny. Miłości wyrażanej w działaniu.

Nie tylko strzelnica, nie tylko kościół. Formacja intelektualna i duchowa. Praktykowanie cnoty.

I w tym wszystkim mamy wielkiego sojusznika. Bóg jest przyjacielem grzeszników. Święci są blisko Boga, ale dobra nowina jest też taka, że można być bliskim Bogu z powodu grzechu. Na szczęście Jezus przyszedł do grzeszników, a nie do tych, co mają się dobrze.

eprasa.pl b3ca89e6a7

Polityka obronna Unii Europejskiej wyzwaniem dla Polski



JAN PARYS

Nasz kraj stoi przed dylematem, czy przygotowywać plan obrony Polski w ramach NATO i stosownie do tego rozwijać przemysł obronny oraz naszą armię, czy podporządkować nasz system obrony i modernizację przemysłu wojskowym ambicjom Unii Europejskiej

Bardzo smutne, wręcz przerażające jest to, że przygotowywane w ramach Unii Europejskiej plany w zakresie obrony nie są konsultowane z Kwaterą Główną NATO. Mamy zatem do czynienia z bardzo amatorskim podejściem aparatu UE do spraw obronnych. Mamy wyraźnie do czynienia z traktowaniem obrony Europy jako pola do rywalizacji ze Stanami Zjednoczonymi. Chociażby dlatego nałożono specjalny kaganiec na wykorzystywanie unijnych środków na obronę. Co najmniej 65 proc. wartości każdego programu zbrojeniowego ma być ulokowane w krajach Unii. To oznacza, że Europa sama pozbawia się najnowszych technologii wojskowych i rezygnuje z szybkich dostaw uzbrojenia, np. z USA. Takie kryterium nie ma nic wspólnego z troską o bezpieczeństwo Europy.

Władze Unii zakładają, iż Rosja będzie czekać z operacjami przeciwko Europie, aż ta zdąży się uzbroić sama, bez wsparcia Ameryki. Zapominają jednak, że to USA są gwarantem bezpieczeństwa naszego kontynentu. I to nie ze względu na deklaracje czy traktatowe zapisy, lecz z powodu najsilniejszego potencjału militarnego i największych wydatków na obronę. Zamiast przyjąć, że kwestie bezpieczeństwa zależą od wspólnych działań w ramach NATO, Unia próbuje realizować własne ambicje w dziedzinie obronności. Te ambicje nie mają podstaw w traktacie o Unii Europejskiej. Zamiast zatem uznać służebną rolę UE wobec NATO w dziedzinie bezpieczeństwa, aparat unijny projektuje budowę odrębnego potencjału militarnego.

NIEWIARYGODNY PARTNER

O tym, jakie jest realne podejście aparatu UE do kwestii obronności, my, Polacy, dobitnie przekonaliśmy się w ostatnich latach. Przypomnę, że gdy Rosja wraz z Białorusią rozpoczęła atak hybrydowy na naszą granicę wschodnią za pomocą presji migracyjnej, władze w Brukseli wcale nam nie pomagały.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b3ca89e6a7

Wtedy nasz kraj bronił nie tylko swojej, lecz także unijnej granicy. Mimo to polskie władze były wściekle atakowane przez polityków Unii, którzy nie rozumieli zagrożenia. W rzeczywistości w ogóle ich nie obchodziło ani bezpieczeństwo naszego kraju, ani Europy, a dyrektor Fronteksu, który chciał bronić wschodnich granic Unii, został natychmiast wyrzucony ze stanowiska.

Drugi fakt, który świadczy o zdolności Unii do obrony Europy, dotyczy postępowania Komisji Europejskiej wobec Polski już po rosyjskiej agresji na Ukrainę. W tym czasie dla każdego trzeźwo myślącego człowieka było jasne, że skończyła się era pokoju i z winy Rosji weszliśmy w epokę konfrontacji.

Jak wtedy zachowywała się Unia wobec Polski, która broniła kilkuset kilometrów granicy z Rosją i Białorusią? Komisja Europejska zablokowała środki z KPO dla naszego kraju. Brukselskich urzędników znów nie obchodziło bezpieczeństwo ani Polski, ani Europy. Zajmowali się wyłącznie walką polityczną z polskimi władzami. Dlaczego? Bo w demokratycznym głosowaniu Polacy wybrali rząd o poglądach konserwatywno-republikańskich, a nie liberalno-lewicowych. I do ograniczonej umysłowo przez ideologię Komisji Europejskiej nie docierały żadne argumenty o zagrożeniach ze strony Rosji.

Na tych dwóch przykładach widać, że UE nie jest wiarygodna w dziedzinie obronności, bo w jej władzach i aparacie dominują ludzie, którzy nie rozumieją zagrożeń ze strony rosyjskiego imperializmu i nie znają się na kwestiach bezpieczeństwa. Nawet sankcje wobec Rosji, które ogłaszają, są tak nieskuteczne, że decyzje o nich trzeba podejmować kilkadziesiąt razy.

Do tego można dodać wyłączenie rurociągu Nord Stream z ustawodawstwa unijnego przez Komisję Europejską i przyjęcie za prawdę kłamstw kanclerz Angeli Merkel, że NS jest inwestycją prywatną, bez znaczenia geopolitycznego. Jak wiadomo, na wniosek Niemiec Nord Stream został wyłączony z tzw. europejskiej dyrektywy gazowej. W ten sposób nie tylko Niemcy, lecz także władze Unii przyczyniły się do finansowania rosyjskich zbrojeń i umożliwiły wybuch wojny w Europie w 2022 r.

W tym roku władze UE z dumą ogłosiły kilka programów zbrojeniowych, nazwanych Planem Gotowości Obronnej na 2030 r. W ramach tego planu ma być uruchomiony m.in. unijny program kredytów zwany Safe. Przewiduje on, iż Unia pożyczy na rynku 150 mld euro i z tego będzie udzielała pożyczek zainteresowanym krajom. Program ma być przeznaczony na sfinansowanie dodatkowych zakupów amunicji oraz modernizację zakładów zbrojeniowych w Europie. Zaproponowano tzw. cztery projekty flagowe: rozwój obrony dronowej, rozwój straży wschodnioflankowej, tarczę obrony powietrznej oraz tarczę zdolności kosmicznych. Polsce obiecano kredyty na kwotę 43 mld euro.

Za bardzo ważny dla obronności Europy należy uznać unijny program, który dotyczy modernizacji korytarzy transportowych na wypadek wojny z Rosją. Ma to umożliwić szybki transport czołgów, piechoty i ładunków wojskowych przez nowe mosty, tunele oraz odpowiednio szerokie i przystosowane do ciężkiego transportu drogi. Na zwiększenie mobilności wojsk Unia ma przeznaczyć 17 mld euro. Ten program wspierania obronności jest naprawdę cenny i warto go wspierać.

DECYZJA NIE W POLSCE, LECZ W BRUKSELI

Oceniając aktywność Unii w dziedzinie obronności, należy podkreślić całkowity brak konsekwencji w polityce Komisji Europejskiej. Z jednej strony UE deklaruje wsparcie dla zwiększania zdolności obronnych, z drugiej – Komisja Europejska forsuje Zielony Ład, który poprzez politykę energetyczną paraliżuje produkcje przemysłową w Europie. Tym samym Unia przyczynia się do likwidacji bazy przemysłowej – w tym przemysłu obronnego – na naszym kontynencie. Mamy tu zatem całkowity brak konsekwencji w działaniach UE. Bo nie da się jednocześnie wprowadzać Zielonego Ładu i rozbudowywać przemysłu zbrojeniowego.

Wszelkie środki z Unii przeznaczone na obronność będą obciążone tzw. kryterium warunkowości. Czyli Komisja Europejska i Rada Europejska, zdominowane przez polityków z Niemiec i Francji, będą mogły w dowolnym momencie zablokować dostęp do środków finansowych z UE właściwie na podstawie dowolnego postanowienia. Władze w Brukseli, kontrolowane przez urzędników z tych dwóch prorosyjskich państw, będą zatwierdzać każdy kontrakt, który będą chciały finansować z własnych kredytów państwa członkowskie. To nie Sztab Generalny Wojska Polskiego czy polski rząd będą zatem decydowały o tym, czego potrzebuje nasza armia. To urzędnicy w Niemczech i we Francji będą *de facto* szantażowali polskich generałów i polski gabinet. To oni będą decydowali, na co w dziedzinie zbrojeń nam wolno brać kredyt, który my mamy spłacać. Jeżeli Komisja Europejska forsuje takie rozwiązania prawne, to znaczy, że zależy jej głównie na tym, by móc szantażować państwa, których polityka nie podoba się w Berlinie i Paryżu. Bezpieczeństwo kontynentu jest na dalszym miejscu – lub można raczej powiedzieć, że jest narzędziem budowy nowej hegemonii w Europie.

Komisji Europejskiej w ogóle nie idzie o bezpieczeństwo, lecz o uzależnienie poszczególnych państw członkowskich od prorosyjskich polityków urzędujących w Brukseli, Paryżu i Berlinie. Z tego powodu nasz kraj nie może mieć zaufania do uczciwego postępowania Komisji w dziedzinie bezpieczeństwa. Dla KE kwestie ideologiczne zawsze były i będą ważniejsze niż obrona granic Unii, niemiecko-rosyjskie interesy handlowe zawsze będą ważniejsze niż bezpieczeństwo flanki wschodniej. Dopóki Unia i elity we Francji oraz w Niemczech nie odsuną od władzy polityków odpowiedzialnych za reset z Rosją, do UE nie można mieć zaufania.

Aby Unia Europejska odeszła od błędnej polityki, musi się bowiem zmienić paradygmat myślenia elity w Brukseli. Trzeba w końcu przyjąć, że Unia będzie silna, gdy państwa członkowskie będą silne. Dziś w Brukseli forsuje się inny projekt: to Komisja ma być silna, a państwa członkowskie – słabe. Uprawnienia KE trzeba zatem ograniczyć. Europa, w tym Niemcy, będą bezpieczne, gdy główny kraj flanki wschodniej, czyli Polska, będzie silny. W interesie Niemiec i innych państw Unii jest zatem, by nasze państwo było silne, z silną gospodarką. Bo tylko wtedy będzie skutecznie bronić wschodnich granic Europy.

eprasa.pl b3ca89e6a7



Wojna zimowa

Jak Finlandia pokonała Związek Sowiecki



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Na przełomie 1939 i 1940 r. mała Finlandia stanęła naprzeciw jednego z największych imperiów świata. Choć skazana na porażkę, zadała Armii Czerwonej upokarzające straty. Jak to możliwe, że naród liczący ledwie kilka milionów mieszkańców zatrzymał stalinowską machinę wojenną i obronił niepodległość?

30 listopada 1939 r. fińskie miasta obudziły się od huku bomb i wycia syren. Sowieckie lotnictwo uderzyło o świcie, a na wschodniej granicy rozległy się pierwsze salwy artylerii. Zaczęło się starcie, którego wynik wydawał się z góry przesądzony. Przeciwko niewielkiej Finlandii rzucono potężną Armię Czerwoną. Jednak już pierwsze dni pokazały, że agresor trafił na wyjątkowo twardego przeciwnika.

DZIELENIE ŁUPÓW W EUROPIE

Sowiecka napaść na Finlandię była bezpośrednim następstwem układu Ribbentrop–Mołotow, który podzielił Europę Wschodnią między niemiecką III Rzeszę a ZSRS. Po wspólnej agresji na Polskę we wrześniu 1939 r. Stalin przystąpił do realizacji swojej części porozumienia. Korzystając z bierności Zachodu, Armia Czerwona w szybkim tempie wymusiła na państwach bałtyckich – Estonii, Łotwie i Litwie – zgodę na stacjonowanie sowieckich garnizonów, co w praktyce stało się początkiem ich późniejszej aneksji.

W tej sytuacji Finowie wiedzieli, że po połkniętych już przez Moskwę

Fot. imma.fi

eprasa.pl b3ca89e6a7

państwach bałtyckich to właśnie oni będą następnym celem stalinowskiej ekspansji. Kreml już w październiku wystosował ultimatum do władz Finlandii: Stalin żądał cesji terytorialnych, oddania baz wojskowych, gwarancji niewpuszczenia Niemców do Finlandii czy wreszcie „dzierżawy" wysp na Bałtyku. Helsinki, patrząc na wydarzenia w Polsce i państwach bałtyckich, były zdecydowane bronić swojej niepodległości i odrzuciły ultimatum. Z kolei Moskwa nie zawahała się użyć siły.

Młoda skandynawska republika była solą w oku sowieckich władz. Finowie wykorzystali moment słabości państwa rosyjskiego i wywalczyli niepodległość w 1917 r. Oprócz tego granica fińsko-sowiecka przebiegała ledwie 20 km od Leningradu, jednego z największych miast ZSRS i kluczowego ośrodka przemysłowego.

Finlandia przez lata koncentrowała się na budowie stabilnych instytucji i unikalnej kultury narodowej. Był to kraj ubogi, rolniczy, ale społecznie spójny i przywiązany do zasad demokratycznych. Krwawa wojna domowa z 1918 r. pozostawiła blizny, lecz kolejne dekady przyniosły pracowite budowanie zaufania i poczucia dumy z niepodległego państwa.

LINIA MANNERHEIMA

Mimo ograniczonych zasobów Finlandia od lat inwestowała w defensywę. Świadomi dysproporcji sił fińscy sztabowcy postawili na mobilność, znajomość terenu i wykorzystanie specyfiki swojego terytorium. Powszechne szkolenia rezerwistów, rozwinięte organizacje paramilitarne oraz konsekwentnie budowane umocnienia tworzyły system, który pozwalał stawić skuteczny opór na trudnym, leśnym i podmokłym pograniczu. Jego fundamentem była Linia Mannerheima – rozbudowany kompleks fortyfikacji na Przesmyku Karelskim, nazwany od twórcy niepodległej Finlandii marsz. Carla Gustafa Mannerheima. Nie stanowił on jednolitego muru, lecz sieć bunkrów, rowów strzeleckich i przeszkód terenowych, umiejętnie wkomponowanych w krajobraz.

Żądania terytorialne Stalina obejmowały m.in. część tych umocnień, co do złudzenia przypominało sytuację Czechosłowacji w 1938 r., gdy oddanie Sudetów pozbawiło ją głównych linii obronnych i ułatwiło późniejsze bezkrwawe zajęcie przez Niemcy. Z tego powodu Finowie nie mogli sobie pozwolić na spełnienie sowieckich żądań.

SOWIECKA PROWOKACJA

Pod koniec listopada 1939 r. atmosfera na fińsko-sowieckiej granicy stawała się coraz bardziej napięta. Związek Sowiecki gromadził wojska w pobliżu, a Finlandia zdecydowała się na przeprowadzenie mobilizacji. Kika dni przed inwazją, 26 listopada, artyleria Armii Czerwonej ostrzelała miejscowość Mainila, znajdującą się po stronie ZSRS. Sowiecki rząd ogłosił, że był to „atak fińskiej artylerii", w którym mieli zginąć sowieccy żołnierze. Stalin zażądał od Finlandii przeprosin oraz odsunięcia wojsk o 20–25 km na zachód, co oznaczałoby opuszczenie przygotowanych fortyfikacji. Finowie ponownie odrzucili żądania. Dla Sowietów nie miało to już znaczenia – mieli pretekst do ataku.

DAWID I GOLIAT

30 listopada 1939 r. Armia Czerwona rozpoczęła inwazję na całej długości granicy. Z powietrza spadły bomby na Helsinki i inne miasta, a na ziemi do ataku ruszyły potężne zgrupowania liczące ponad 450 tys. żołnierzy. Strona sowiecka dysponowała kilkoma tysiącami czołgów i ogromną przewagą artylerii oraz lotnictwa. Fińska armia zawodowa liczyła ledwie ok. 30 tys. żołnierzy. Dzięki powołaniu rezerwistów oraz członków organizacji paramilitarnych jej liczebność wzrosła do ok. 150 tys. Największym jej problemem był jednak brak broni pancernej i ciężkiego uzbrojenia. Finowie liczyli, że uda się zrekompensować dysproporcje zarówno w liczbie wojsk, jak i sprzętu lepszym przeszkoleniem, sprawniejszym dowództwem i zaangażowaniem.

Główne natarcie Rosjan miało miejsce w okolicach Leningradu i jeziora Ładoga. Zamierzano szybko przełamać obronę na Przesmyku Karelskim i w ciągu kilku dni zająć Helsinki. Na początku grudnia w tym rejonie trwała walka graniczna, a później Finowie postanowili wycofać się za Linię Mannerheima. Dzięki determinacji obrońców i świetnemu wykorzystaniu umocnień Armia Czerwona przez wiele tygodni nie mogła jej przełamać, mimo ogromnej przewagi ogniowej. Każdy metr zdobytego terenu był okupiony setkami poległych.

„BIAŁA ŚMIERĆ"

Finowie skutecznie wykorzystywali taktykę bazującą na wojnie partyzanckiej, mobilnych grupach i szybkich punktowych kontratakach. Zasadzki, niespodziewane uderzenia i błyskawiczne wycofywanie się dezorientowały sowieckich dowódców. Kluczową rolę odegrała taktyka „motti", polegająca na rozbijaniu sowieckich kolumn na mniejsze odcinki i niszczeniu ich po kolei. Małe, dobrze zorganizowane fińskie oddziały działały szybko, poruszały się na nartach, a do kamuflażu wykorzystywały białe kombinezony. Precyzyjny ogień i umiejętność znikania w terenie stały się znakiem rozpoznawczym fińskiej obrony.

Symboliczną postacią fińskiego oporu stał się Simo Häyhä zwany „Białą Śmiercią", który w ciągu kilku miesięcy zlikwidował podobno ok. 700 sowieckich żołnierzy. Całymi dniami, często samotnie i w ekstremalnych warunkach, siał spustoszenie w szeregach wroga. Dopiero 6 marca 1940 r. został trafiony w szczękę przez sowieckiego snajpera i zapadł w śpiączkę. Wybudził się z niej po 11 dniach, w ostatnim dniu wojny zimowej. Jego niezwykła skuteczność przeszła do legendy już w trakcie działań zbrojnych. Stanowił ucieleśnienie ducha narodu gotowego walczyć do samego końca. Nie był przy tym jedynym wybitnym snajperem. Tysiące fińskich strzelców wyborowych, narciarzy i ochotników bez końca nękało kolejne nacierające wojska przeciwnika.

POGODA, DROGI I CZYSTKI W ARMII

Równie istotna okazała się pogoda. Zima 1939–1940 r. przyniosła bardzo ciężkie warunki atmosferyczne, a mrozy sięgały nawet -40 stopni Celsjusza. Drogi w Finlandii były wąskie, zasypane śniegiem i niemal całkowicie nieprzejezdne dla ciężkiego sprzętu.

eprasa.pl b3ca89e6a7

Podstawą planu Związku Sowieckiego były szybkie natarcia kolumn pancernych, lecz pojazdy utknęły w lasach, gdzie stawały się łatwym celem dla fińskich grup uderzeniowych. Słaba infrastruktura, zamiast być słabością Finlandii, okazała się jej tarczą.

Pod względem stanu dróg najlepsza sytuacja dla agresora istniała na południowym odcinku walk, ale tam Rosjanie bezskutecznie próbowali sforsować linię Mannherheima. Na północy sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej. Armia Czerwona natrafiła tam na niemal nieistniejącą infrastrukturę. Nieliczne drogi umożliwiały powolne przemieszczanie się, wykluczały natomiast jakiekolwiek manewrowanie. Sowieckie wojska tworzyły długie kolumny, łatwe do podzielenia i rozbicia. Istną plagą dla Armii Czerwonej było niszczenie kuchni polowych i strzelanie do żołnierzy gromadzących się przy ogniskach.

Na północy wojna szybko przerodziła się w impas, w którym sowieckie oddziały marzły, głodowały i traciły morale pod wpływem nękających ich Finów. Między grudniem 1939 r. a styczniem 1940 r. w okolicach Suomussalmi i Raate kilkanaście tysięcy fińskich żołnierzy zniszczyło po kolei dwie sowieckie dywizje piechoty i dwie dywizje strzeleckie. To zwycięstwo zniweczyło plany przecięcia Finlandii na pół i dojścia do granicy ze Szwecją koło miasta Oulu. Porażkę poniosły także natarcia na dalekiej północy w rejonie Kemijärvi i Salla, a także na północ od jeziora Ładoga.

Kreml zlekceważył przeciwnika, zakładając, że niewielka Finlandia załamie się po pierwszym ciosie. Przeszacowano możliwości Armii Czerwonej, a całkowicie nie doceniono fińskiej determinacji, doskonałej znajomości terenu oraz przygotowań obronnych. Sowieckie wojska były też fatalnie przygotowane do działań w zimowych i leśnych warunkach: brakowało im odpowiedniego wyposażenia, a uzależnienie od transportu samochodowego wymagało ogromnych ilości paliwa i części zamiennych. Podczas skrajnych mrozów pojazdy musiały pracować bez przerwy, by paliwo nie zamarzło, co tylko pogłębiało problemy logistyczne.

Sytuację dodatkowo komplikowały wcześniejsze czystki w korpusie oficerskim, które pozbawiły Armię Czerwoną doświadczonych dowódców. Prowadziło to do chaosu, powtarzania tych samych błędów taktycznych oraz masowych strat. Przełom 1939 i 1940 r. przyniósł tysiące poległych, ogromne ilości zniszczonego sprzętu i brak wyraźnych sukcesów operacyjnych. Im dłużej trwała wojna, tym większym upokorzeniem stawała się dla Moskwy.



Symboliczną postacią fińskiego oporu stał się Simo Häyhä zwany „Białą Śmiercią", który w ciągu kilku miesięcy zlikwidował podobno ok. 700 sowieckich żołnierzy. Całymi dniami, często samotnie i w ekstremalnych warunkach, siał spustoszenie w szeregach wroga

SOWIECKIE PRZEŁAMANIE

W tej sytuacji Stalin zdecydował się na poważne zmiany kadrowe. Na początku 1940 r. Klimienta Woroszyłowa zastąpił bardziej kompetentny Siemion Timoszenko, który natychmiast przystąpił do reorganizacji i przygotowania nowej ofensywy. W lutym 1940 r. ruszyło zmasowane natarcie na Linię Mannerheima. Tym razem Sowieci zmienili taktykę, wprowadzili lepszą koordynację ognia, a na froncie pojawiły się nowe, ciężkie czołgi. Dodatkowo część sprzętu udało się przetransportować przez zamarznięty Bałtyk, co groziło odcięciem fińskich pozycji.

Po miesiącach zażartych walk Armia Czerwona zaczęła przesuwać się naprzód i ostatecznie zdołała przełamać linię obrony Finów. 15 lutego padła Linia Mannerheima, a 18 i 28 lutego fińskie oddziały musiały się wycofać na kolejne, słabsze pozycje. Choć agresor wykrwawiał się z każdym dniem, obrońcy również tracili siły, amunicję i zdolności bojowe. Rosnąca presja Armii Czerwonej stwarzała realną groźbę okrążenia fińskiej armii i utraty niepodległości kraju.

INTERWENCJA ZACHODU I ROZEJM

Gdyby Armia Czerwona zdobyła Helsinki w ciągu kilku dni, świat najpewniej przeszedłby nad wojną zimową do porządku dziennego, podobnie jak nad zajęciem państw bałtyckich czy atakiem na Polskę. Jednak heroiczna obrona niewielkiej armii fińskiej przeciw potędze ZSRS z czasem wzbudzała coraz większy podziw opinii publicznej na całym świecie. Już pod koniec 1939 r. konfliktem zaczęły żywo interesować się rządy innych państw. Do Finlandii płynęło finansowe i sprzętowe wsparcie z Europy oraz Stanów Zjednoczonych, a ochotnicy z wielu krajów zgłaszali się do walki po stronie obrońców. 13 grudnia Liga Narodów usunęła Związek Sowiecki ze swoich szeregów. W stolicach zachodnich zaczęto poważnie rozważać interwencję zbrojną: od wysłania wojsk przez Skandynawię po uderzenie na sowieckie instalacje naftowe w Baku, które miało sparaliżować gospodarkę ZSRS.

Coraz wyraźniejsze sygnały o możliwej ingerencji mocarstw niepokoiły Stalina, który obawiał się zarówno międzynarodowej izolacji, jak i rozszerzenia konfliktu. Tymczasem Finlandia była skrajnie wyczerpana i pozbawiona realnych możliwości prowadzenia długotrwałej skutecznej obrony. Obie strony zaczęły więc skłaniać się ku rozmowom pokojowym. W marcu 1940 r. osiągnięto rozejm, a 12 marca podpisano traktat pokojowy. ZSRS uzyskał znaczną część Karelii, na której utworzono Karelofińską SRR, a ok. 450 tys. mieszkańców musiało opuścić rodzinne strony. Mimo utraty ok. 10 proc. terytorium Finlandia zachowała niepodległość, co w ówczesnych realiach postrzegano jako jej wielkie zwycięstwo. Wojna zimowa stała się symbolem niezwykłej determinacji narodu, który potrafił zatrzymać znacznie potężniejszego wroga.

Fot. imma.fi

eprasa.pl b3ca89e6a7

Najgorszy papież

Czy Duch Święty, jak twierdzi wielu katolików, nieomylnie wybiera i prowadzi każdego papieża? Burzliwe dzieje Jana XII pozwalają odpowiedzieć na to pytanie. Warto się dowiedzieć, jak



GRZEGORZ GÓRNY

W różnych dyskusjach i polemikach na temat papiestwa często zdarza się usłyszeć argument, że papieża wybiera Duch Święty, a nie ludzie (czyli kardynałowie zgromadzeni na konklawe), w związku z czym każdy taki wybór jest przejawem woli bożej. Innymi słowy: Bóg chciał widzieć właśnie tego, a nie innego dostojnika na Tronie Piotrowym. W tej optyce jakakolwiek krytyka poczynań biskupa Rzymu jawi się wręcz jako sprzeciwianie się zamysłom samego Boga.

Kard. Joseph Ratzinger miał na ten temat inne zdanie. Analizując ten problem, stwierdzał: „Kto wybiera papieża? Normy prawne stanowią jasno: są to kardynałowie – elektorzy […]. Konklawe ma być natomiast czasem szczególnej współpracy kardynałów z Duchem Świętym. […] Równocześnie wiemy, że człowiek posiada zawsze wolną wolę i może odrzucić łaskę Bożą, niezależnie od tego, czy jest świeckim, wikarym, kardynałem czy papieżem. Może ją odrzucać na różny sposób, poprzez niewiarę, pychę i wszystkie inne grzechy świata. W dziejach Kościoła było wielu bardzo złych papieży. Część z nich była, kolokwialnie mówiąc, złymi ludźmi, inni nie mieli predyspozycji moralnych, umysłowych czy organizacyjnych. Nie godzi się obarczać tymi wszystkimi wyborami Ducha Świętego".

NAJMŁODSZY PAPIEŻ

By się przekonać o prawdziwości stwierdzeń kard. Ratzingera, wystarczy prześledzić biografie niektórych następców św. Piotra, zwłaszcza tych żyjących w X stuleciu, które przeszło do historii Kościoła pod nazwą *saeculum obscurum*. Dwór papieski w Rzymie stał się wówczas ośrodkiem zepsucia moralnego, rozwiązłości, przekupstwa, symonii, nepotyzmu i innych nadużyć. Szczególne miejsce w ponurej galerii ówczesnych postaci zajmuje Jan XII, którego Doktor Kościoła św. Robert Bellarmin uznał za najgorszego papieża w dziejach chrześcijaństwa.

Już sam jego wybór na Tron Piotrowy dokonał się z pogwałceniem wszelkich norm kościelnych. Przede wszystkim zgodnie z tradycją i prawem (konkretnie: dekretem Symmachusa z 499 r.) nie można było wybierać przyszłego papieża jeszcze za życia urzędującego. W przypadku Jana XII tak się właśnie stało. W 954 r. za pontyfikatu Agapita II ówczesny jedynowładca Rzymu Alberyk II zobowiązał dostojników kościelnych i świeckich w Wiecznym Mieście, by po śmierci obecnego papieża wybrali na następcę jego własnego syna – Oktawiana z Tusculum. Oni nie tylko wyrazili na to zgodę, ale jeszcze poświadczyli ją uroczystą przysięgą. Rok później, po zgonie Agapita II, potomek Alberyka II został zwierzchnikiem Kościoła katolickiego.

Drugim poważnym pogwałceniem norm kościelnych było to, że Oktawian nie osiągnął jeszcze wieku kanonicznego, by objąć tak wysoki urząd. W chwili wyboru na papieża miał zaledwie 18 lat, dzięki czemu przeszedł do historii jako najmłodszy w historii biskup Rzymu. Nie był wówczas nawet duchownym ani nie otrzymał żadnego wykształcenia religijnego. Mimo tak rażących nadużyć, które powinny spowodować nieważność wyboru na papieża, Kościół katolicki uznaje go za prawowitego namiestnika Chrystusa.

Ten fakt powinien dać dużo do myślenia zwłaszcza tym, którzy podważają dziś prawowitość elekcji Franciszka, argumentując, iż podczas konklawe w 2013 r. naruszono postanowienia konstytucji apostolskiej „Universi Dominici Gregis" o wakacie Stolicy Apostolskiej i wyborze papieża.

NAJGORSZE ŚWIADECTWA

Znacznie więcej kontrowersji niż sposób wstąpienia na Tron Piotrowy wywołuje jednak postępowanie Jana XII. Jak najgorsze świadectwo wystawiają mu jednomyślnie wszystkie ówczesne źródła historyczne – nie tylko jego krytycy, np. kronikarz Liutprand z Cremony, związany z dworem cesarskim, lecz także pisarze reprezentujący Kościół, np. mnich Benedykt z Monte Soratte. Zgodnie z ich opisami, 18-letni Oktawian prowadził rozwiązły styl życia, którego nie porzucił nawet po wyborze na papieża. Nadal oddawał się rozpuście, zamieniając Pałac Laterański w dom rozkoszy, w którym trwały niekończące się libacje.

Żywiołem młodego pontifeksa w większym stopniu niż religia była polityka. Podobnie jak ojciec, wszedł on w konflikt z Berengarem II, który rywalizował z Rzymem o panowanie nad północną Italią. Ponieważ ponosił porażki, wezwał na pomoc króla Niemiec Ottona I. Ten ostatni zgodził się zbrojnie wesprzeć Jana XII pod warunkiem, że papież koronuje go na cesarza. Tak też się stało. 2 lutego

eprasa.pl b3ca89e6a7



962 r. w bazylice laterańskiej doszło do koronacji Ottona I, która stała się aktem założycielskim Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Poza koroną nowy imperator otrzymał od Jana XII coś znacznie cenniejszego, a mianowicie zobowiązanie, że w przyszłości każdy papież przed rozpoczęciem urzędowania powinien składać przysięgę na wierność cesarzowi.

Jan XII nie zamierzał jednak dotrzymywać tej obietnicy. Po opuszczeniu Rzymu przez Ottona złamał więc przysięgę lojalności i zawiązał sojusz ze swym dotychczasowym wrogiem – Berengarem II. Na wieść o tym cesarz ponownie wyruszył do Rzymu, zaś papież uciekł z miasta. Gdy Otton po raz drugi przybył nad Tyber, zwołał w grudniu 963 r. w Bazylice św. Piotra synod, na którym oskarżono Jana XII o wiele niecnych czynów, m.in. morderstwo, świętokradztwo, bluźnierstwo, cudzołóstwo, kazirodztwo, krzywoprzysięstwo, kradzież, symonię, a nawet paktowanie z diabłem.

Wszyscy ojcowie synodalni, zarówno duchowni (w tym biskupi i członkowie kurii rzymskiej), jak i świeccy (patrycjusze i przedstawiciele ludu) stwierdzili pod przysięgą, że papież „zamienił święty pałac w prawdziwy burdel", „oślepił Benedykta, swego duchowego ojca, który wkrótce potem zmarł", a także „zabił kardynała subdiakona, odcinając mu genitalia". Miał też „grając w kości, przyzywać pomocy Jowisza, Wenus i innych demonów".

DETRONIZACJA, POWRÓT, ZEMSTA I ŚMIERĆ

Papież odmówił stawienia się przed zebranymi, więc zaapelowali oni do Ottona I: „prosimy Waszą Cesarską Mość, aby ten potwór, którego żadna cnota nie jest w stanie przesłonić jego wad, został wypędzony ze świętego Kościoła rzymskiego". Jan XII został zatem potępiony i zdetronizowany, zaś synod – pod wpływem cesarza – wybrał jego następcę. Został nim świecki notariusz kurii, który w tym samym dniu przyjął święcenia diakona, prezbitera i biskupa, a następnie objął władzę papieską, przyjmując imię Leona VIII. On także, mimo że został wybrany z naruszeniem prawa kanonicznego, jest oficjalnie uznawany w Kościele za prawowitego papieża. Od swego poprzednika różnił się tym, że prowadził bogobojne i moralne życie.

Jan XII nie zamierzał rezygnować. Gdy tylko Otton I opuścił Rzym, znów wkroczył do miasta, zmusił Leona VIII do ucieczki i zwołał nowy sobór, który ekskomunikował jego następcę. Zaczął też mścić się na kardynałach, którzy poparli jego przeciwnika. Jednemu z nich kazał obciąć prawą rękę, a drugiemu nos, język i dwa palce.

Wszyscy spodziewali się, że dojdzie do kolejnej konfrontacji między Ottonem I a Janem XII, ponieważ cesarz rozpoczął przygotowania do nowej wyprawy na Rzym. Do starcia jednak nie doszło, ponieważ 7 maja 964 r. papież niespodziewanie doznał udaru mózgu. Jak było naprawdę, tego pewnie nigdy się nie dowiemy. Według Liutpranda z Cremony podczas odbywania stosunku seksualnego z mężatką miał go zabić demon. Zdaniem Gregoriovisa, cios zadał nie tyle diabeł, ile zazdrosny mąż wspomnianej kobiety. Uderzenie nie było śmiertelne. Jan XII zmarł tydzień później, nie odzyskawszy świadomości, bez przyjęcia sakramentów. Miał wówczas zaledwie 27 lat.

„Liber pontificalis", pierwsza księga zawierająca biografie papieży, podaje, że Jan „całe życie spędził na cudzołóstwie i frywolności". Po jego śmierci Otton I znów przybył do Rzymu i mimo sprzeciwu mieszkańców miasta zdołał doprowadzić do powrotu na Tron Piotrowy Leona VIII.

PONTYFIKAT NA DNIE

Historycy, komentując panowanie Jana XII, są zgodni w swych ocenach. Rudolf Fischer-Wollpert w „Leksykonie papieży" pisze: „Ogólny sąd o tym pontyfikacie – nawet przy tak ogromnym zdziczeniu obyczajów tego okresu – może być jedynie druzgocący: zostało osiągnięte dno".

Odnosząc się do przypadku Jana XII, włoski historyk Roberto de Mattei zauważa: „Każdy, kto wierzy, że Duch Święty nieomylnie wybiera i prowadzi każdego papieża, zaprzecza faktom i ryzykuje, że wyświadczy Kościołowi niedźwiedzią przysługę". Można powiedzieć, że taką samą przysługę wyrządzają Kościołowi ci katolicy, którzy widzą zło popełniane przez papieży, a jednak usprawiedliwiają je, nazywając dobrem – tak jak było w przypadku popleczników Jana XII.

Kard. Joseph Ratzinger zauważał, że gdyby to Duch Święty wybierał papieży, to nie byłoby w przeszłości wyborów niewłaściwych osób na ten urząd, a wiemy, że takie były. Inaczej nie miałyby też w ogóle sensu modlitwy o wybór dobrego papieża. Jak mówił Benedykt XVI, Duch Święty jest obecny podczas konklawe na tyle, na ile kardynałowie otwierają się na Jego działanie. Jest to zresztą zgodne z Bożą „ekonomią zbawienia", która pozostawia człowiekowi wolną wolę.

Fot. Domena publiczna

08/0425/F/ZAL

eprasa.pl b3ca89e6a7

KTO OCALI KOŚCIÓŁ?

Według niektórych historyków Kościoła o miano najgorszego papieża w historii z Janem XII mógłby rywalizować jedynie Rodrigo Borgia, czyli Aleksander VI. W rozmowie z Vittorio Messorim, jeden z liderów włoskiej chadecji, Oscar Luigi Scalfaro, prezydent Włoch w latach 1992–1999, przyznawał: „Mam taki zwyczaj, który jak sądzę, jest tylko moim. Co pewien czas zaprzyjaźniony ksiądz otwiera mi kościół zwyczajnie zamknięty, przy via Monserrato, w centrum Rzymu. Wchodzę i klękam, aby się modlić przed starym grobem: grobem Aleksandra VI, papieża Borgii. Ten nieszczęsny papież jest mi drogi, ponieważ i przede wszystkim w nim – bardziej niż w papieżach świętych – lśni potęga Boga. Bóg jest Bogiem, ponieważ świeci przepalonymi żarówkami; gdyby używał dobrych żarówek, jakim byłby Bogiem?”

Te same uwagi można odnieść także do Jana XII i innych papieży żyjących w X w. Jest jakimś paradoksem, że to właśnie w owym „ciemnym stuleciu”, w którym w Rzymie panowało niezwykłe zepsucie, aż sześć wielkich krajów w Europie przyjęło chrześcijaństwo. Władcy Polski, Rusi, Węgier, Norwegii, Danii i Islandii przyjęli chrzest dobrowolnie, nieprzymuszeni przez nikogo. Zdaniem wspomnianego Roberto de Mattei wiara mogła rozwijać się w tamtych czasach dynamicznie głównie dzięki ludziom świeckim, którzy wykazywali się wówczas większą pobożnością niż biskupi, a nawet papieże.

Podobna sytuacja miała miejsce w IV stuleciu, gdy świat chrześcijański zmagał się z kryzysem arianizmu. John Henry Newman w swej monografii na ten temat zauważał, że ówczesny Kościół został ocalony nie przez biskupów, lecz przez świeckich, którzy w większości, w odróżnieniu od hierarchów, wytrwali przy prawdziwej wierze. Świadek tamtych wydarzeń św. Hilary z Poitiers w swym dziele „Contra Arianos” pisał, że „uszy wiernych są bardziej święte niż usta biskupów”. Wtórował mu św. Grzegorz z Nazjanzu, który porównywał ówczesnych hierarchów do kameleonów, ponieważ „potrafią nadać swoim słowom różne kolory”. Załamywał nad nimi ręce, mówiąc: „Zaprawdę, pasterzy ogarnęło szaleństwo”.

A jednak Kościoła nie złamała ani herezja ariańska, za którą poszła większość biskupów na świecie, ani zepsucie Rzymu, któremu ulegali nawet papieże. Ratunek często przychodził spoza szeregów duchowieństwa.

Jeden z największych kaznodziejów XX w. abp Fulton Sheen uważał, że obecnie świeccy w Kościele stoją przed podobnymi wyzwaniami, jak w IV czy X stuleciu. W 1972 r. wygłosił głośne kazanie poświęcone kryzysowi, który ogarnął świat katolicki. Mówił wówczas: „Na kogo można liczyć, aby uratować nasz Kościół? Nie na naszych biskupów, naszych kapłanów ani członków zakonów. To wasze zadanie, ludu wiernego! Pan Bóg dał wam rozum, oczy i uszy, abyście uratowali Kościół. Wasza misja to pilnować, aby wasi kapłani zachowywali się jak kapłani, biskupi jak biskupi, a zakonnicy jak zakonnicy!”

REKLAMA

SALTUS | 30 lat
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.



Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

Zabierz głowę na zakupy



GRZEGORZ SZAFRANIEC

„Wyprzedaż”, „okazja”, „promocja”, „ostatnie sztuki” – takie hasła osaczają nas przed świętami w niemal każdym sklepie. Black Friday, czyli coroczne święto przecen i promocji, choć pierwotnie było handlowym piątkiem, dziś zmienia się w długie tygodnie. Niektórzy sprzedawcy wieszają w witrynach i zamieszczają na stronach internetowych napisy: „Likwidacja działalności”, sugerując ogromne obniżki. A są takie miejsca, które „likwidują się” od lat. Cel jest jeden – zwabić, omamić i nakłonić do zakupów. Jak nie dać się podejść handlowym wyjadaczom?

Za oceanem Black Friday zawsze jest obchodzony w pierwszy piątek po Święcie Dziękczynienia i symbolicznie otwiera w handlu sezon atrakcyjnych przecen. Promocje są komunikowane reklamami wykorzystującymi krzykliwe kolory, skąd zatem ta „czerń” w nazwie? Istnieje kilka teorii. Najpopularniejsza jest powiązana z Filadelfią z lat 60., gdzie z całego kraju zjeżdżały tłumy kibiców na rozgrywany rokrocznie kluczowy mecz futbolu amerykańskiego. Zakorkowane ulice i tłumy w sklepach sprawiały, że policjanci określali ten dzień jako „czarny”. Inna wersja sugeruje, że handlowcy zapisywali wpływy ze sprzedaży czarnym tuszem – a właśnie w ten piątek przechodzili ze strat (czerwony tusz) na zysk (czarny).

W tym roku Black Friday w Polsce przypada 28 listopada. I choć zjawisko trwale przyjęło się w naszych zwyczajach zakupowych dekadę temu – wraz z ekspansją e-commerce i dużych, międzynarodowych sieci handlowych – wciąż budzi spore emocje. Nie tylko kupujących.

WYMAGAJĄCY CZAS DLA FIRM KURIERSKICH

Przedświąteczne wyprzedaże z Black Friday na czele to dla firm kurierskich intensywne tygodnie, do których przygotowują się przez cały rok. – Inwestycje w infrastrukturę wsparte zatrudnieniem pracowników sezonowych oraz intensyfikacją pracy sortowni pozwalają sprawnie obsłużyć rosnącą liczbę przesyłek. Aby zapewnić bezpieczeństwo danych i obsługiwanych paczek, wyposażyliśmy nasze maszyny w systemy monitoringu – usłyszeliśmy od przedstawicieli InPostu, największej polskiej firmy kurierskiej.

ŻELAZNE ZASADY ZAKUPOWICZA

Choć e-handel rośnie, większość zakupów wciąż robimy w sklepach stacjonarnych. A tam czekają na nas niespodzianki, naciągacze lub zwykli oszuści. Jak stawić im czoło? Przede wszystkim trzeba mieć plan zakupowy i twardo się go trzymać. Nie należy obniżać naszych wymagań co do jakości produktu tylko dlatego, że coś jest tanie. Złym pomysłem okaże się też wizyta w sklepie spożywczym czy galerii handlowej z burczącym brzuchem, bo w spożywczaku na pewno wydamy wówczas więcej na jedzenie, którego wcale nie potrzebujemy. W pozostałych placówkach grozi nam zrobienie nieprzemyślanych, chaotycznych zakupów, ponieważ będziemy się spieszyć, by móc w końcu zaspokoić głód. Warto również ustalić maksymalną kwotę, jaką jesteśmy w stanie wydać i nie przekraczać jej, nawet jeśli zobaczymy coś „ekstra”.



Fot. kaskp/Shutterstock.com

TRIKI Z BRODĄ WCIĄŻ DZIAŁAJĄ

Sprawdzonym chwytem sprzedażowym jest wywarcie na kliencie wrażenia reglamentacji towaru, jego ograniczonej dostępności i trwającej „tylko dziś", „tylko teraz" wyjątkowej promocji. To chwyt, który (w połączeniu z obniżoną ceną) świetnie działa, skłaniając do przyspieszonego wydania pieniędzy.

Kolejny wypróbowany wybieg, na który wciąż się nabieramy, dotyczy percepcji cen – wszak 199,99 zł wygląda lepiej niż 200 zł, choć różnica jest prawie żadna. Sprzedawcy wykorzystują to, że człowiek ma skłonność do zaokrąglania wszystkich liczb w dół, wbrew zasadom matematyki. Dlatego większość z nas produkt kupiony za 199,99 zł potraktuje jako rzecz za 190 zł.

Nieuważni klienci mogą nie dostrzec jeszcze jednej pułapki zastawianej najczęściej na stoiskach z owocami, warzywami oraz innymi produktami sprzedawanymi luzem. Jesteśmy bowiem przyzwyczajeni, że zwykle ceny są określane za 1 kg danego produktu, jednak w przypadku droższych artykułów mogą one dotyczyć 100 g lub 1 sztuki, bo wyglądają wtedy na bardziej atrakcyjne.

FAKE FRIDAY

To określenie zjawiska nieuczciwego podwyższania cen przez sprzedawców kilka czy kilkanaście dni przed sezonem wyprzedaży, a następnie ich redukowania z wykorzystaniem sfingowanych promocji, by klient odbierał je jako okazjonalne, choć *de facto* są wyższe niż normalnie. Żonglowanie cenami ma niewiele wspólnego z etyką handlowca. Na szczęście takie działania da się zdemaskować, choćby porównując podobne oferty w kilku konkurencyjnych e-sklepach. Jakie inne sygnały – poza znaczącymi podwyżkami cen przed Black Friday, mogą świadczyć o tym – że promocje są fałszywe? M.in. sztucznie ograniczony czas akcji wyprzedażowej czy brak szczegółowych informacji o produkcie i sklepie. Omijajmy takie oferty szerokim łukiem.

WYNALAZEK Z PIEKŁA RODEM

Sklepy zlokalizowane przy wyższych uczelniach, kościołach, dużych zakładach pracy czy stacjach kolejowych pracują w swoim rytmie i łatwo można przewidzieć, kiedy przewinie się przez nie fala klientów. A gdyby tak właśnie w tym momencie rozsądnie podnieść ceny? Doprawdy, kusząca perspektywa. Do niedawna było to niemożliwe, bo wydrukowanie nowych etykiet, oznaczenie nimi produktów i wprowadzenie zmian do systemu kasowego wymagało przynajmniej kilku godzin. Jednak wszystko zmieniło się wraz z debiutem elektronicznych etykiet, pozwalających na błyskawiczną korektę. Można sobie wyobrazić, jak skutecznym narzędziem mogą się one okazać w ręku promocyjnych żonglerów.

Na szczęście w sukurs kupującym przychodzi dyrektywa Omnibus z 2023 r. Nakłada ona na sprzedawców obowiązek informowania o najniższej cenie każdego produktu z ostatnich 30 dni przed promocją. Dzięki temu klienci mogą sprawdzić, czy rzeczywiście obniżka jest korzystna, czy może wygląda na taką jedynie na pierwszy rzut oka. Jeśli widzimy, że „promocyjna" cena jest taka sama, jak najniższa z ostatnich tygodni, staje się jasne, że sklep nie oferuje realnej zniżki.

POSŁUCHAJ SPECJALISTY

A jakie niespodzianki czekają nas w sektorze e-commerce?

– W internecie cyberprzestępcy wykorzystują każdą okazję, żeby zdobyć nasze dane i pieniądze, np. tworząc fałszywe sklepy internetowe. Trzeba o tym pamiętać szczególnie w czasie wielkich wyprzedaży. Ostrożność, weryfikacja i zgłaszanie fejkowych witryn to podstawa – mówi Katarzyna Grabowska, specjalistka ds. budowania świadomości cyberbezpieczeństwa w NASK. Dodaje, że przestępcy podszywają się pod znane serwisy sprzedażowe. Wystarczy przytoczyć dane z 2024 r., w którym to NASK odnotował 14 tys. przypadków wykorzystujących wizerunek platform Allegro i OLX, tworząc fałszywe sklepy internetowe. W 2025 r. było już 1,6 tys. tego typu zgłoszeń.

PRAWIE 100 TYS. OSZUSTW ROCZNIE

Komenda Główna Policji informuje, że w ubiegłym roku doszło do ponad 92 tys. oszustw internetowych, a od stycznia do września 2025 r. – do ponad 67 tys. Komisarz Marcin Zagórski, rzecznik prasowy Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości w KGP, zwraca uwagę na to, że nieuczciwi sprzedawcy posiłkują się reklamami w wyszukiwarkach internetowych i mediach społecznościowych, a także wysyłają wiadomości e-mailowe z fałszywymi promocjami. Oszuści kierują użytkowników na spreparowane strony, by przejąć nasze poufne dane do bankowości. Powszechne jest też przejmowanie kont i wysyłanie znajomym prośby o kod BLIK – żeby uniknąć weryfikacji, oszust najczęściej zaznacza, że „nie może teraz rozmawiać".

NIC NIE ZASTĄPI ZDROWEGO ROZSĄDKU

Teoretycznie obowiązujące w Polsce przepisy zapewniają klientowi robiącemu zakupy przez internet poza siedzibą sprzedawcy możliwość zwrotu nabytego produktu w ciągu 14 dni, i to bez obowiązku podawania przyczyn takiej decyzji. Słowo „teoretycznie" jest jak najbardziej właściwe, bo jeśli mamy do czynienia z fałszywym e-sklepem, o żadnych przepisach nie może być mowy. Pozostaje więc zdrowy rozsądek, nieuleganie emocjom i odrzucenie narzucanej przez wielu handlujących w sieci presji. Nie zapominajmy, że w trakcie robienia zakupów pośpiech jest bardzo złym doradcą.

Dark patterns zniekształcają rzeczywistość

Klienci sklepów internetowych muszą uważać m.in. na tzw. dark patterns, a więc na mechanizmy, które przedsiębiorcy wykorzystują do manipulowania działaniami konsumentów w przestrzeni wirtualnej. Poprzez odpowiednie zaprojektowanie interfejsu wpływają oni na użytkowników, aby dokonali wyborów, na które nie zdecydowaliby się, gdyby interfejs nie zniekształcał prezentowanych informacji lub nie ograniczał ich w działaniu na podstawie tych informacji. Często spotykaną praktyką jest np. wrzucenie do elektronicznego koszyka jakiejś drobnostki na ostatnim etapie zakupów – choćby parasolki czy kubka. Oczywiście płatnej.

Tomasz Chróstny, prezes UOKiK

eprasa.pl b3ca89e6a7



Magia toruńskich pierników

IGA SARZYŃSKA-KOMOROWSKA
MISTRZYNI CUKIERNICTWA

Piernik to absolutnie wyjątkowe ciasto. Wzbudza pozytywne emocje, przywołuje wspomnienia z dzieciństwa i łączy to, co nam bliskie, znane, czyli miód, z tym, co odległe, egzotyczne – w tym przypadku z przyprawami korzennymi.

Pierniki towarzyszą nam w ważnych okolicznościach i uroczystościach. Nie może ich zabraknąć w czasie Bożego Narodzenia. Poza smakiem i zapachem mają walor symboliczny i potrafią być piękne. Jak żadne inne ciasto – może poza tortami, które są jednak o wiele mniej trwałe – pozwalają też na autorski artystyczny wyraz.

W tym roku smak piernika ma dla mnie dodatkowe znaczenie. Za sprawą filmu „Piernikowe serce", który właśnie wchodzi do kin, zadebiutowaliśmy na wielkim ekranie. Jedna ze scen była kręcona w naszym flagowym piernikowym butiku przy ul. Szerokiej, czyli w samym centrum toruńskiej Starówki.

Z powodu pierników przeprowadziliśmy się do Torunia z moim mężem Maciejem Komorowskim. Zamieszkaliśmy na poddaszu, nad dawną fabryką Johanna Weesego, najbardziej znanego toruńskiego piernikarza. Od tamtej pory mogliśmy łączyć cukierniczą pasję z marzeniem o własnej marce, a więc także naszej wersji toruńskich pierników oraz miejsc, w których można ich skosztować.

Najbardziej szlachetny jest piernik długo dojrzewający, tzw. staropolski. Żeby go upiec na grudniowe święta, ciasto powinniśmy wyrobić już w październiku i odstawić w chłodne miejsce, by dojrzało. Oczywiście jeśli nie zdążyliśmy, możemy zacząć go robić także teraz. Im szybciej, tym lepiej. Poza tym mamy jeszcze inne opcje, np. kruche korzenne ciasteczka – i te możemy przygotować tuż przed świętami – ale oczywiście nie ma to jak piernik.

Równie ważne, jak samo dojrzewanie piernika, są jego składniki. Przede wszystkim naturalny miód – może być wielokwiatowy lub nektarowo-spadziowy. Do tego dochodzą przyprawy. Mieszanka musi być bogata, aromatyczna i zrobiona z przypraw wysokiej jakości. Nie może wśród nich zabraknąć cynamonu, kardamonu, imbiru, ziela angielskiego, kolendry. My dodajemy jeszcze czarny pieprz indyjski. Znakomicie podkręca smak. Wielu naszych klientów uwielbia nasze „pierniczki pierne", czyli pieprzne. W ogóle słowo „piernik" pochodzi od staropolskiego terminu „pierny", czyli „pieprzny". Pieprz dodaje wyrazistości i pikanterii.

Oprócz miodu i przypraw potrzebujemy też masła (żaden inny tłuszcz nie daje takiego efektu) oraz mąki pszennej lub żytniej. To bardzo ważne: przesianej. Ja często mieszam obie mąki (żytnia ma inny aromat). Lubię też nasz piernik żytni z dużą ilością bakalii, które także możemy dorzucić do ciasta. Podobnie jak orzechy. Oczywiście nie do małych pierniczków wykrawanych z większej płaszczyzny, lecz do ciasta z formy.

Każda forma piernika potrafi dodać smaku i aromatu świątecznej atmosferze. Nasze pierniki wnoszą do toruńskiej tradycji coś jeszcze – magię wspomnień. Zapraszamy do ich skosztowania.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Królewski sznyt domowych pierniczków

Do zrobienia ciasta na pierniczki wystarczy 30 minut, ale potrzeba jeszcze kilku godzin, by ciasto poleżakowało w lodówce. Wychodzi mu to na dobre. Dodatkowo schłodzone łatwiej się rozwałkowuje i mniej lepi (uwaga na ilość mąki, którą podsypujemy kolejne rozwałkowywane kawałki ciasta, żeby nie było jej za dużo).

Potem nadchodzi czas indywidualnej inwencji – kształtów wycinanych foremką lub własnoręcznie, a po upieczeniu – zdobienia. Do tego najbardziej szlachetnego potrzebujemy lukru królewskiego, czyli… bardzo domowej masy na bazie białka jaj, cukru pudru i soku z cytryny. Białko ucieramy z cukrem pudrem, dodajemy odrobinę soku z cytryny (pamiętając o dość zwartej konsystencji) i możemy się oddać kreacji.

eprasa.pl b3ca89e6a7



SŁODKO-SŁONY

Pogromca przeziębień

ANNA MONICKA

Kiedy na festiwalu orientalnych smaków pierwszy raz spróbowałam perskiej zupy z soczewicy, postanowiłam sobie, że będę do niej wracać. Porozmawiałam z kucharzem, który podzielił się wiedzą, co i w jakiej kolejności mam wrzucać do garnka. Powtarzał, żebym nie szczędziła cebuli oraz czosnku, a na koniec – soku ze świeżych cytryn lub limonek. Impreza odbywała się jednak w pełni lata, żar lał się z nieba, więc nie wyobrażałam sobie, że stanę przy kuchni, spływając potem.

Teraz to co innego. Skrobiąc rano samochód ze szronu, doszłam do wniosku, że miło będzie się ogrzać i powdychać woń przypraw. Większość składników zawsze mam pod ręką, dokupiłam tylko półkilogramowy woreczek czerwonej soczewicy. Trzeba ją wypłukać, namoczyć przez pół godziny i gotować bez przykrywki 10 minut. Najmniej przyjemna część to krojenie sześciu cebul w kostkę. Zalewam się łzami i nie pomagają mi żadne kulinarne triki, więc ich nie siekam. Do tego tyle samo ząbków czosnku – posiekanych lub przeciśniętych przez praskę – i kilka pokrojonych w kostkę ziemniaków. Warzywa trzeba podsmażyć w dużym garnku na oliwie razem z przyprawami: pieprzem, solą, wędzoną papryką, cynamonem (ja dodaję garam masalę, bo lubię), szczyptą kurkumy (wolę curry) i startym imbirem, cały czas mieszając, żeby cebula i czosnek zeszkliły się na złoto, ale nie przypaliły, bo do dania wkradnie się gorycz. W oryginalnym przepisie powinien jeszcze być kmin rzymski, ale córce ten smak kompletnie nie pasuje, więc go pominęłam. Zapach i tak jest wspaniały w całym domu.

Teraz czas na sos pomidorowy – najlepiej własnej roboty, z kawałkami pomidorów, ale mogą też być pomidory w zalewie. Znowu kilka minut trzeba dusić, dodać odcedzoną soczewicę, dobrze wymieszać i uzupełnić bulionem. Kucharz mówił o wywarze na kurzym mięsie, ja dodałam warzywny. Mam wspaniałą ukiszoną papryczkę chili, więc żeby zupa zamieniła się w prawdziwego pogromcę przeziębień, dodałam całą łyżkę. Soczewica i ziemniaki złagodziły jednak ostry smak. Zupa musi popyrkać w garnku pod przykrywką co najmniej pół godziny. Na koniec dodajemy sok z cytrusów. Moim zdaniem limonka pasuje znacznie lepiej niż cytryna, bo ma bardziej świeży, wyrazisty smak i zapach.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Bluszcz

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Bluszcz (*Hedera helix*) to rodzime pnącze, można by go nawet nazwać polską lianą. Jest trujący dla ludzi i części zwierząt, więc oczywiście trzeba mieć to na uwadze, wprowadzając go przy domu (wystarczy go jednak nie spożywać, nie wydziela bowiem np. substancji lotnych, które mogłyby szkodzić zdrowiu).

Z tą rośliną jest związanych wiele korzyści. Oprócz tego, że lubi piąć się po drzewach, znakomicie obrasta również budynki. Nie stwierdzono, żeby ściana pod bluszczem ulegała zawilgoceniu. Wykazano natomiast, że pnącze to odgrywa rolę naturalnej izolacji, zmniejszając straty ciepła zimą i chroniąc przed przegrzewaniem się latem. W przeciwieństwie do winobluszczów, niebędących roślinami polskimi, jest zimozielony i zachowuje piękne, gęste, ciemnozielone liście przez cały rok.

Późne, jesienne kwitnienie sprawia, że dostarcza pożytków owadom w okresie, w którym na ogół brak już innych kwiatów. Nie wszystkie osobniki kwitną, jeżeli jednak uda się to osiągnąć, zapewniając bluszczowi dobre warunki wzrostu, jest to kwitnienie obfite. Poza tym jego gęstwina jest chętnie wykorzystywana przez ptaki, np. kosy, do zakładania gniazd.

Do tego jest długowieczny, żyje nawet kilkaset lat. Rośnie powoli, kiedy się już jednak rozrośnie, nadaje budynkom szlachetnego wyglądu.

W przeciwieństwie do drzew i przynajmniej niektórych krzewów nie wymaga dużo miejsca. Dla korzeni wystarczy nawet wąski pasek gruntu, można go więc wprowadzać na budynki, które nie mają ogrodów czy nawet większych zieleńców. Duży bluszcz ma przy tym masę liści, porównywalną z dużym drzewem. Są one trwałe, długowieczne, zrzucane rzadko i pojedynczo, nie trzeba się więc obawiać, że obecność bluszczu będzie się wiązała z koniecznością sprzątania.

Do tego bluszcz lubi łagodniejszy klimat. Nie ma wielkich wymagań co do gleby, choć woli nieco żyźniejszą, nie powinien też mieć zbyt sucho. Najbardziej przeszkadzają mu duże mrozy. Ostatnio jednak zdarzają się rzadko, dzięki czemu bluszcz nie tylko stał się częstszy w lasach, lecz także znacznie łatwiej przyjmuje się w uprawie, np. właśnie na budynkach.

eprasa.pl b3ca89e6a7

OGNIEM NA WPROST

Ptaki Madziara nad Pokrowskiem



Andrzej Rafał Potocki

Trwa mordercza bitwa o Pokrowsk w Donbasie. Według ukraińskiego portalu informacyjnego Hromadske siły Moskwy kontrolują obecnie ok. 60 proc. Pokrowska. Ukraińskie brygady broniące miasta borykają się z poważnym niedoborem piechoty. Niektóre jednostki nie są już zdolne do walki, ale nie zostały wycofane z miasta na bezpośredni rozkaz gen. Ołeksandra Syrskiego, który nadal osobiście zarządza operacjami na linii frontu. Obronę Pokrowska koordynuje 7. Korpus Szybkiego Reagowania Ukraińskich Sił Powietrzno-Szturmowych, dowodzący pododdziałami z kilku rodzajów wojsk, w tym brygad zmechanizowanych i jednostek piechoty morskiej. „Istnieje poważne zagrożenie okrążenia. Jeśli nie zostanie przeprowadzone przegrupowanie, część ludzi zginie, część trafi do niewoli. Jeśli nikt nie wyda rozkazu przegrupowania, od 1 tys. do 1,5 tys. żołnierzy może zostać otoczonych" – powiedział Hromadske jeden z ukraińskich dowódców w Pokrowsku. Naczelny dowódca Sił Zbrojnych Ukrainy gen. Syrski zwrócił się do Głównego Zarządu Wywiadowczego (HUR) o pomoc w wzmocnieniu ukraińskich pozycji w pobliżu Pokrowska, podczas gdy siły Kremla kontynuują postępy w obrębie strategicznego miasta na wschodzie Ukrainy. Na nagraniu wideo widać dwa śmigłowce UH-60 należące do HUR lądujące w pobliżu Pokrowska i wysyłające tam wojska. Misja miała prawdopodobnie na celu stabilizację zachodniego skrzydła miasta – obszaru kluczowego do utrzymania otwartych szlaków logistycznych umożliwiających zaopatrzenie i ewakuację. W starożytnym Rzymie taką sytuację określano frazą *res ad triarios venit*, czyli „sprawa doszła do trzeciego szeregu". Była to ostatnia linia rezerw – trzeci szereg składający się z weteranów walczących w trzeciej linii manipułów, których na ogół wprowadzano do walki w krytycznych momentach dla legionu.

To nie pierwszy raz, kiedy gen. Ołeksandr Syrski zwrócił się o pomoc do Kyryła Budanowa. W 2023 r., gdy moskiewskie wojska ominęły ukraińskie linie obronne na północ od Bachmutu i dotarły do ostatniej drogi zaopatrzeniowej prowadzącej do miasta, Syrski zwrócił się do Budanowa o pomoc w ponownym otwarciu jednego z kluczowych szlaków prowadzących do Bachmutu – jak podaje ukraiński portal militaryland.net. Podczas bitwy o Bachmut Budanow rozmieścił doborowy pułk Kraken (jednostka sił specjalnych Kijowa) i kilka mniejszych oddziałów, aby ustabilizować sytuację i zabezpieczyć to, co stało się znane jako „droga życia". Wszystkie inne planowane operacje zostały wstrzymane, a jednostki przekierowano do wsparcia wysiłków Syrskiego w obronie miasta, wówczas już praktycznie straconego. Zdaniem Syrskiego operacja zakończyła się sukcesem: kontrola nad kluczową drogą została przywrócona, co pozwoliło Bachmutowi utrzymać się przez kilka kolejnych tygodni. Koszt był jednak wysoki. Kraken poniósł straty i odbudowa trwała prawie rok. Niektóre mniejsze jednostki całkowicie przestały istnieć. W czasie wojny najlepsi zawsze muszą płacić najwyższą cenę.

Nie wygląda na to, żeby Ukraińcy nosili się z zamiarem oddania Pokrowska. Oprócz wysłania tam cieszącego się nieposzlakowaną reputacją dzielnego 1. Korpusu Gwardii Narodowej „Azow" dodano również najsilniejszą i najsławniejszą jednostkę dronową: 414. Samodzielną Brygadę Uderzeniową Bezzałogowych Statków Powietrznych „Ptaki Madziara". Oba te ugrupowania słyną ze śmiertelnej skuteczności w walce z Moskalami. Według portalu Defence24 „przykładowo w strefie walk Korpusu Azow stosunek zabitych Rosjan do rannych jest nawet dziesięciokrotnie większy niż normalnie i wynosi 1 do 2,3 (a nie jak wcześniej 5 do 1). Podobnie jest na obszarze, gdzie działają »Ptaki Madziara«. Tylko 18 listopada 414. brygada wyeliminowała 83 rosyjskich żołnierzy, z których 48 zginęło, a 35 zostało ciężko rannych. Dzień wcześniej »Ptaki Madziara« unieszkodliwiły 123 Rosjan (w tym 84 zabitych i 39 rannych)". Tak duże straty wynikają ze sposobu działania operatorów dronów tej jednostki, którzy uważają pojedynczych bojców za cele równie ważne co pojazdy wojskowe i systemy artyleryjskie. Dlatego ruscy żołnierze są atakowani w większości przypadków przez dwa drony kamikaze. Pierwszy z nich ma ich unieruchomić, a drugi sprawdza, czy zaatakowana osoba nie żyje i ewentualnie uderza ponownie, by ją dobić. Operatorzy „Ptaków Madziara" nie oszczędzają więc dronów, wiedząc, że za zabitych wrogów będą premiowani kolejnymi bezzałogowcami. I tak koło się zamyka. „Ptaki Madziara" publikują później te nagrania na swoim koncie na kanale Telegram, wyróżniając szczególnie te ujęcia, na których widać twarz atakowanego i zabijanego Moskala. Takie działanie ma na celu odstraszenie bojców i pokazanie, co ich czeka na Ukrainie.

Współpraca: ***„Skipper"***

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b3ca89e6a7

***Michał Korsun prezentuje:* Kto płaci Sikorskiemu za ataki na prezydenta Nawrockiego?**



Wycinki z przeszłości

W polskich górach nie brakuje dziś schronisk (najbardziej znane jest nad Morskim Okiem w Tatrach). Podobnie było przed wojną na Kresach. Na Podolu PTTK stworzyło całą sieć miejsc dla wędrowców. Największy był Dom Wycieczkowy w Zaleszczykach, posiadający 40 łóżek. Drugie co do wielkości zapraszało w Kręciłowie niedaleko rzeki Zbrucz, a w Krzywczu i Czornkowie na schroniska zaadaptowano zamki. Były też inne, przeznaczone specjalnie dla „kajakowców". Doba w nich kosztowała od 20 gr do 1 zł.

(sp)


KURJER PORANNY

Schroniska wycieczkowe na Podolu

Jedna z ulic Czortkowa i jego ładne zabytkowe budynki.

Z WOLEJA

„Do boju, Polsko", czyli „Słownik haseł zabronionych"



Ryszard Czarnecki

Wolałbym pisać o „czystym" sporcie bez politycznych odniesień, ale to coraz trudniejsze. Tak jakby rację miał rodak Franza Beckenbauera i Gerda Müllera pisarz Thomas Mann, mówiąc, iż „Nie ma nie-polityki. Wszystko jest polityką". Tytuł „Do boju, Polsko" zaczerpnąłem z „sektorówki" (dla niewtajemniczonych: gigantyczna flaga zakrywająca cały lub prawie cały sektor na stadionie piłkarskim), która miała się pojawić na meczu eliminacyjnym do przyszłorocznego, północnoamerykańskiego mundialu Polska–Holandia. Nie pojawiła się jednak na Stadionie Narodowym, bo zablokowały to „służby". MSWiA może być zadowolone, bo trawestując prezydenta jedynej bodaj stolicy w Europie, która nie ma dużej hali sportowej – „Po co: »Do boju, Polsko«, kiedy może być: »Do boju, Niemcy?«".

Niewpuszczenie tego groźnego napisu, za którym stała jakże radykalna treść, uzasadniono... względami bezpieczeństwa. Tyle że dwa dni te same służby w tej samej Warszawie potem bez żadnych kłopotów wpuściły na stadion „sektorówkę", tyle że innej reprezentacji! Chodzi o Ukrainę, która tego dnia grała decydujący o wejściu do baraży mecz z Islandią. Oto filozofia tej władzy: czego nie wolno Polakom – wolno innym (w tym przypadku Ukraińcom). Co wolno w Polsce naszym sąsiadom (w tym przypadku wschodnim), tego nie wolno gospodarzom! Wilhelmie Tellu, symbolu niepodległości Szwajcarii, gdzie twoja kusza? Bo powiedzenie, że „nóż się w kieszeni otwiera", to zdecydowanie za słaba reakcja na ten megaskandal z zabronioną „sektorówką". Skądinąd mówi on wszystko o filozofii obecnej władzy.

Otwiera się tu pole dla badaczy, którzy już teraz mogą pracować nad przygotowaniem „Słownika haseł zabronionych" (wszelkie prawa autorskie zastrzeżone!). Potencjalna publikacja puchnie w oczach. Właśnie w mediach posłusznych wobec władzy trwa akcja wyciszania hasła, które polscy kibice uparcie skandują na meczach i ligowych, i reprezentacji: „Donald, matole, twój rząd obalą kibole". Widziałem już na paru portalach, że zamiast przytoczenia owego hasła były eufemistyczne wzmianki o „haśle obrażającym premiera". Jak tak dalej pójdzie, to hasło skandowane przez wyżej podpisanego w czasach młodości („Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę") też będzie zabronione, bo... wzywa do przemocy. Zresztą domaganie się od mistrza Helwecji w łucznictwie, aby pożyczył mi kuszę, też może podlegać pod paragraf. I co z tego, że to fikcyjna postać, a obywatel Tell nie żyje od 700 lat. Ma pan akt zgonu, panie Czarnecki?

egzemplarz prasa.pl b3ca89e6a7



OD A DO ZYBERTOWICZ

Caryca Bruksela

Zarówno Katarzyna II, jak i Unia Europejska budują narrację wspólnoty, która w praktyce przekłada się na utrwalanie dominacji i kontroli

„Twoja siostra, przyjaciółka i sąsiadka" – tak podpisywała caryca Katarzyna II swoje listy kierowane do Stanisława Augusta, ostatniego króla Polski.

W sobotę 15 listopada 2025 r., kilka dni po Święcie Niepodległości, z satysfakcją obejrzałam spektakl Teatru Klasyki Polskiej zatytułowany „Król i caryca".

Na scenie teatru w Starej Oranżerii w Łazienkach zobaczyłam wyniosłą carycę Katarzynę (świetna kreacja Haliny Rowickiej), która listownie komunikuje się z polskim królem, swym niedawnym kochankiem (równie wyrazisty Jerzy Zelnik). Sztuka bazuje na autentycznej korespondencji króla i carycy. Tylko na pierwszy rzut oka rzecz wygląda jak opowieść o romansie i polityce. Między słowami odsłania się bowiem sfera, którą dziś określa się mianem deep state, czyli tzw. głębokiego państwa (to nieformalna sieć wpływowych urzędników i instytucji mogących działać poza kontrolą demokratycznie wybranych władz).

Rowicka gra carycę, ale równie dobrze mogłaby grać... dzisiejszą biurokratyczną Brukselę. Tak, tak – uczestnicząc w tym spektaklu, w swojej głowie widziałam równolegle dwie bohaterki.

DWIE UZURPATORKI

Oto caryca Katarzyna II. Urodziła się jako niemiecka księżniczka. Choć zapisała się w dziejach jako Katarzyna Wielka, wcale nie była córą Rosji, musiała udowodnić swoją „rosyjskość", by uprawomocnić swą władzę. Budowała obraz matki narodu, ale zarazem jej celem – brutalnym i przyziemnym – było umocnienie imperium i podporządkowanie sąsiadów. W tym Polski. Narracja o bliskości („siostra, przyjaciółka") z jej listów była fasadą dla rzeczywistej dominacji.

Oto Unia Europejska – stara się tworzyć wizję wspólnoty, ale zarazem jest organizmem spinającym brutalną geopolitykę. Ojcowie założyciele tego projektu – Robert Schuman, Konrad Adenauer, Jean Monnet, Alcide De Gasperi – chcieli wspólnoty narodów zakorzenionej w chrześcijańskiej kulturze Europy. Różnorodność miała tu być jednym z zasobów wspólnoty, a nie celem samym w sobie.

Współcześnie Unia Europejska coraz częściej mówi o „europejskiej tożsamości", ale w istocie kosztem tradycyjnych tożsamości narodowych. Tu mamy mechanizm podobny do carskiego: tworzenie narracji wspólnotowych – solidarność, wartości nowoczesne, oświeceniowe, praworządność – tyle że w praktyce często dominuje dopinanie interesów największych graczy.

PODTRZYMYWANIE ILUZJI

Katarzyna jako cudzoziemka musiała pokazać, że stała się prawdziwą Rosjanką. Unia Europejska jako projekt ponadnarodowy musi manifestować, że jest prawdziwą wspólnotą Europejczyków.

Zarówno Katarzyna II, jak i współczesna Unia Europejska budują narrację wspólnoty, która w praktyce przekłada się na utrwalanie dominacji i kontroli. Różnica polega na tym, że Katarzyna była jednostką i reprezentowała Rosję, a Unia jest strukturą biurokratyczną i wielopaństwową, choć wiadomo, że kluczowe są interesy niemieckie. Ale mechanizm języka „wspólnoty" jako fasady geopolityki pozostaje podobny. Katarzyna wzmacniała imperium, Unia Europejska wzmacnia pozycję podmiotów o ambicjach globalnych – nierzadko kosztem narodowych racji stanu.

GABINET LUSTER

Korespondencja Katarzyny II i króla Stanisława Augusta – trochę jak w czarodziejskim zwierciadle – odbija kulisy wydarzeń, które doprowadziły do rozbiorów i zniknięcia Rzeczypospolitej z mapy Europy na ponad 120 lat. W listach widać, jak osobista relacja i deklarowana „przyjaźń" stopniowo ustępowały miejsca politycznej kalkulacji.

Katarzyna, z pozoru zatroskana o stabilność polskiego tronu, w rzeczywistości skutecznie wykorzystywała własny autorytet i rosyjskie zasoby, by sterować naszymi wewnętrznymi sporami i ograniczać suwerenność państwa. Stanisław August, rozdarty między ambicją modernizacji kraju i presją ze Wschodu, coraz bardziej utykał w roli monarchy, który musi negocjować nie tylko z własną magnaterią, lecz także z „dobrotliwą" opiekunką z Petersburga.

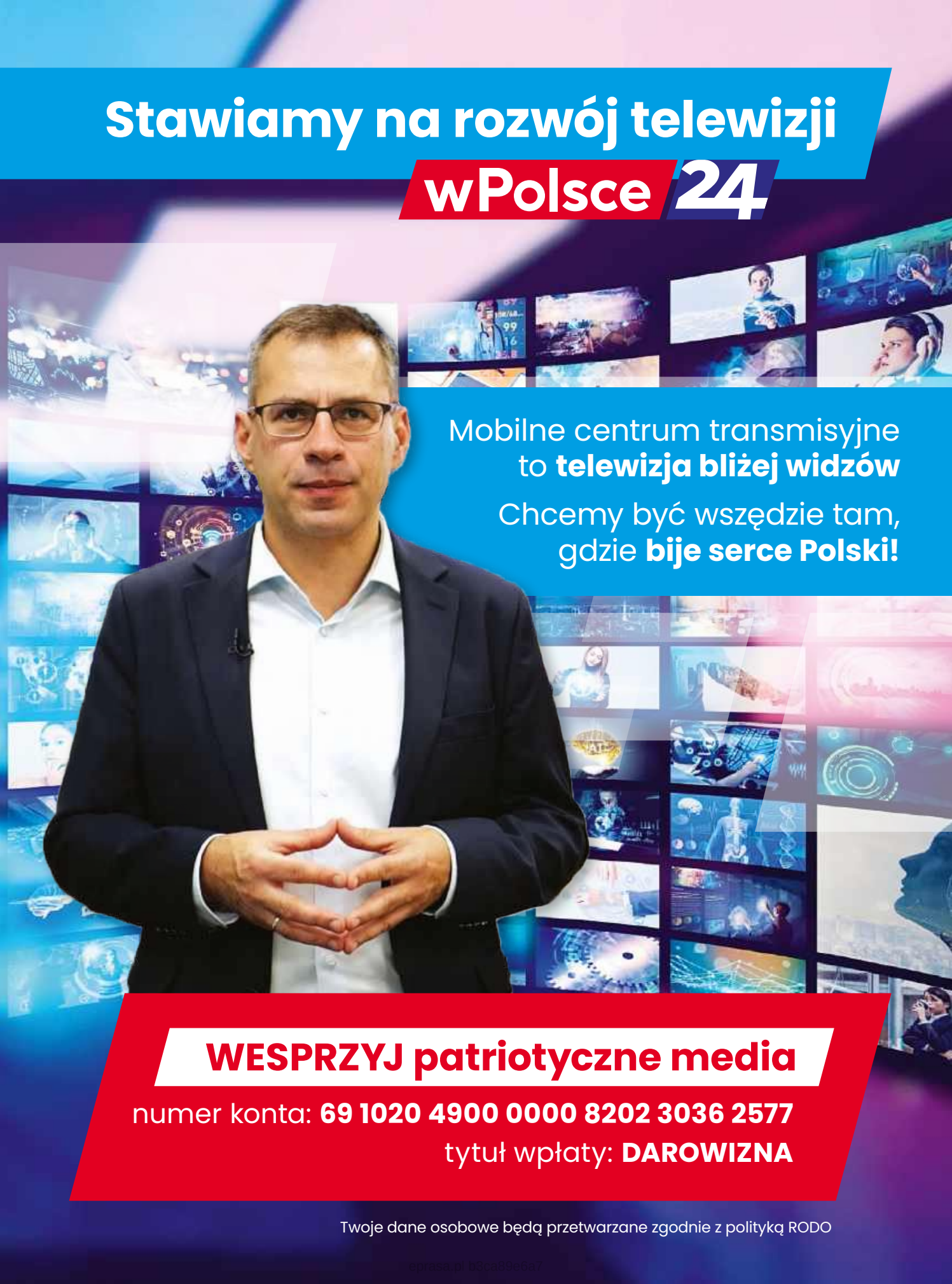
Dziś inna „siostra, przyjaciółka i sąsiadka" z troską dogląda „praworządności" w Polsce. Ale często staje się politycznym krzywym zwierciadłem deformującym polską rzeczywistość.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl b3ca89e6a7

Stawiamy na rozwój telewizji wPolsce24



Mobilne centrum transmisyjne
to **telewizja bliżej widzów**

Chcemy być wszędzie tam,
gdzie **bije serce Polski!**

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

epresa.pl b3ca89e6a7

STUDIO
MAGDALENY OGÓREK

| wieczorne rozmowy
| wyjątkowi goście
| ważne dla Polski sprawy



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:
52 telewizja naziemna
909 921, 196 polsat box
62 CANAL+
192 netia
32 orange
825 vectra
65 339, 121 PLAY
459 inea
631 TOYA
43 evio

eprasa.pl b3ca89e6a7